

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Bogusława Latawiec

CIEMNIA

„W PRZYSIONKU chrzesczczą mekintosze" – i do dziś nie wiem, jak wtedy trzynastego grudnia śnił mi się ten wers: czy śniły mi się słowa Norwida, czy tylko ich przestrzeń. Wiem na pewno, że obudził mnie zapach i smak jabłek. Miałam go w ustach, a w uszach chrzesczczący rytm tego zdania. Dziecinne poczucie bezpieczeństwa, ciepło pod kołdrą, gdy za oknem mróz, szyby pokryte lodem. Zakopałam się głębiej w poduchę, zwinęłam w kłębek. Było dobrze.

Znowu miałam trzy lata, a ciotka Bacha wsunęła mi akurat pod poduszkę szarą renetę. W czasie wojny pracowała w biurze, koło rynku, rejestrowała stragany, zbierała opłaty, a poza tym pisywała przekupkom podania, skargi. Pomagała im, jak umiała. Znała dobrze język niemiecki. Odwdzięczały się jej po swojemu: jabłkami, jajkiem, ćwiartką kury. Znosiła to do domu dla swojego, jak mówiła, „pupusia” (po niemiecku die Puppe – lalka). Jabłko pod poduszką rozgrzewało się leciutko i zaczynało pachnieć. Wkładałam je pod kołdrę, potem sama pod nią włożyłam razem z głową i oddychałam przez chwilę słodko-kwaśną wonią. To był cały rytuał. Leżałam z tym jabłkiem jak najdłużej, tak długo, jak długo potrafiłam poskromić potężną żądzą, aby je wreszcie dopaść i wgrzyźć się w mięsz. Samo jedzenie odbywało się błyskawicznie. Potężny chrzest pod namiotem z kołdry. Wydawało mi się, że całe łóżko trzęsie się od niego i zaraz obudzę ojca, który w niedzielę i to po nocce ma prawo spać dłużej. Ciotka wymykała się cichutko z pokoju rodziców, nawet w najcięższe mrozy boso, w cienkiej koszuli. Matka wysuwała czasem czubek nosa spod kołdry i budząc ojca przejmująco krzyczała:– Jezus Maria, dostaniesz zapalenia płuc! – W niedzielne poranki Bacha miała jeszcze inne, mrozące krew w żyłach, przyzwyczajenie. Stawiała na środku kuchni ogromną miednicę z zimną wodą i szorowała się pedantycznie piaskiem, przydziałowego mydła nie wystarczało. Powtarzała przy tym zawsze to samo zdanie:

– A niedoczekanie ich, żeby jeszcze brudem zarosła!

Ich to znaczy Niemców. Nie miała swoich kąpeli w Bałtyku, za to miała miskę z wodą w kuchni. To miała! Rozpalała później pod płytą, czerwona, pachnąca wodą, podśpiewując pod nosem: „Chryzantemy złociste w kryształowym wazonie stoją na fortepianie...” I choć gra na fortepianie była jej drugą wielką po morskich kąpielach namiętnością, której nie mogła zrealizować, robiła wrażenie, że już samo słowo „forte pian” z popularnej piosenki sprawia jej radość.

W pokoju było teraz mleczno-niebiesko od zamarzniętych szyb. Pomyślałam z żalem, że takie ostre doznania barwy zdarzały mi się najczęściej w dzieciństwie. Otworzenie powiek i od razu buch z ciemności, z niebycia w życie. Nie było automatyzmu wstawania, wstawania z konieczności, z nawyku. Sen opóźniał jedynie przygodę zabawy, był głupią, wymyśloną przez dorosłych koniecznością. Witać się z porankiem? Dlaczego od dawna tego nie robię? Ciotka gruba i zwalista staje do dziś co rano w oknie i szerokim ruchem ramion (niezależnie od pogody) otwiera je na oścież, wdycha kilka razy powietrze...

Jaka szkoda, że nie przyjedzie już w tym roku na Wigilię. Zateśniłam .nagle za nią po dziecinne. Zapach jabłek... W kuchni, na bufecie leżą jabłka, nie renety wprawdzie, ale właśnie mekintosze, jak z Norwida, ze snu.

– Edek, śpisz? – spytałam cicho, z nadzieją w głosie. Może wstanie i przyniesie. Nacisnęłam klawisz w radiu, dobudzę go muzyczką. Było nastawione na stację zachodnią. Słuchaliśmy w nocy o kończącym się właśnie strajku studentów, o Kongresie Kultury, na który Edward nie pojechał, bo dopiero wrócił z wykładów w Sztokholmie. Pomruki chmur radialnych walących w nadajniki, chrzęsty powietrznych mekintoszy, z których nagle wyłoniły się

bezsensowne w ten bezpieczny poranek strzępy zdań: „zupełne zaskoczenie”, „stan wojenny”, „Polska cierpiąca”. Znowu straszą, pomyślałam, leniwie wsłuchując się w kanonadę „mekintoshowych” chrzęstów. W Warszawie szedł Chopin, walił Chopin, choć powinny być wiadomości. Ściszyłam głos, przesunęłam skalę na zachód, a tam nagle w chrobotach już zupełnie wyraźnie: „Zerwano Kongres Kultury...” – Znowu na Warszawę... I – marsze wojenne...

Usiadłam na łóżku. Edek też już siedział, nawet szukał bosymi stopami papci, które gdzieś mu się wsunęły pod tapczan, i nie spuszczał oczu z radia, jakby miał nadzieję, że to mu ułatwi słuchanie. Telefon był głuchy, w telewizorze martwy ekran z wałącym jak w radiu Chopinem.

Za oknem skostniała od mrozu biel. Już nie mleczno-niebieskawa mgiełka, ale ostra, tnąca biel z ogromnymi ptaszyskami, które przylatywały do nas od kilku zim gdzieś ze wschodu: Edek mówił na nie „te czarne”, „te czarne już są”, a nasz pies, pekińczyk, gonił je po parku trochę niepewnie, z wyraźnym strachem, bardziej z nawyku niż z psiej ochoty. Unosiły się leniwie spod samego jego nosa i podlatywały trzy, cztery metry dalej. Jung (Karol Gustaw) natychmiast uznawał, że wykonał już swoje zadanie i do końca spaceru udawał konsekwentnie, że ptaków nie ma.

Pamiętam, że tego grudniowego ranka obsiadły całe drzewo naprzeciwko naszego balkonu. Nie mogłam od nich oderwać oczu, wyglądały jak czarne narośle. Kiedy już pokazano na ekranie telewizora spikera w mundurze, na tle jakiegoś dziwnego studium, które przypominało celę bez klamek, obitą skórą, poczułam się po raz pierwszy w naszym mieszkaniu jak w klatce, przez pręty tej klatki ze wszystkich stron czujnie nas obserwowano. Dom nagle przestał być domem. Byliśmy wydani oku, słuchało nas wmontowane w telefon, a może i pod tynk, ucho. Przez wiele tygodni nasłuchiwaliliśmy kroków na schodach i nie zapowiedzianych dzwonek u drzwi.

„Chrząst mekintoszy” zamienił się w chrząst wałących o naszą ulicę wozów pancernych i ciężarówek pełnych żołnierzy. Jechały w kierunku Zakładów Cegielskiego. Czołgi z wyciągniętymi lufami przez wiele miesięcy stały przy wszystkich trzech bramach fabryki. Rynio mówił, że wyglądają jak dinozaury i że wkroczyliśmy w epokę lodowcową.

* * *

Jak ma wyglądać mieszkanie przygotowane do rewizji? Były dwie wersje: totalny bałagan, hałdy zakurzonych książek, sterty papierysk, kosze z brudną bielizną, skarpetkami, w kuchni nie umyte naczynia. Niech grzebią w brudach, gazetach, jeśli to lubią, niech kichają od kurzu i co godzinę myją ręce lodowatą wodą (ciepłą wyłączono), niech im spierzchnie skóra, niech się pokaleczą od zacinających się szuflad, spadających półek. Jeśli rozkładany tapczan ma uszkodzone zawiasy, nie uprzedzać, jeśli krzesło ma tylko trzy sprawne nogi, pozostawić rzecz swojemu biegowi. Podwójny blat od stołu, który źle chwycony wali się nagle na stopy, o, taki blat jest wyjątkowo użyteczny! Dobrze, jeżeli są pawlacze pełne pajęczyn, walizek zapchanych szmatami, worków turystycznych, pudeł z zabawkami, do tego jedno lub dwa stare żelazka z wypadającymi żeliwnymi duszami, rakiety badmintona, szczątki hamaków, złamane leżaki, trzepaczki i gumowe dzwony do odtykania rur kanalizacyjnych, nie otwierane od lat dymniki i pełne sadzy stare piece.

Wersja druga – wszystko przejrzone, uszeregowane, powiązane, kurze starte. Sterylna czystość. Bielizna pościelowa w kostkę, szafy pachnące lawendą, bielizna osobista ułożona warstwami, książki seriami i obwolutami, w pojedynczych szeregach. Rękopisy ukryte, listy też. Niech przynajmniej czują cień wstydu, że naruszają harmonię, że się pchają z łapami w czyjeś życie, że grzebią w nim, rozwalają i demolują. Być przy tym uprzedzająco grzecznym, towarzyszyć radą, podać coś ciepłego do picia.

Nie odpowiadała nam ani jedna koncepcja, ani druga. Sprzątać dla nich nie będziemy, brudu hodować – też nie. Będzie go tyle, ile jest. Wystarczy. Rewizja zresztą w mieszkaniu tak

rozpasanym jak nasze, w mieszkaniu od końca wojny zamieszkałym przez tę samą rodzinę, której wszyscy członkowie z dziedzicznym maniactwem gromadzili i gromadzą książki – wydawała mi się aktem możliwym tylko teoretycznie. Tego nikt nigdy nie przeryje do końca. Pięć pokoi zapchanych książkami, rękopisami, maszynopisami. Sami od lat przestaliśmy się w tym wszystkim orientować. Co kilka tygodni Edward wszczynał akcję poszukiwawczą: a to zginął mu kawałek wykładu, a to umowa z adresem wydawnictwa, albo czyjś referat, doktorat, który miał recenzować „na wczoraj” – przypominało to zakrojone na szeroką skalę działania wykopaliskowe. Szafy otwierały swoje rude brzuszyska, szuflady gubiły spinacze, rulony kalek, papier klejący, a wszystko razem było kopalnią odkrywkową, w której kwitło zgoła nieprzewidywalne „warstwiarstwo”. Jung, od szczeniaka przyzwyczajony do obcowania z żywiołem książek, leżał wyciągnięty na dywanie, opierając łeb na *Semiotyce kultury* albo Łotmanie, wodził cierpliwie oczami za szalejącym między papierzyskami Edwardem i co parę minut wzdychał znacząco, kichał – że czas już najwyższy na spacer. Rzadko kiedy poszukiwania wieńczyło zwycięstwo, najczęściej Edek kapitulando stwierdzał: – Znajdzie się przy okazji! – I wychodził z psem.

Z czasem zauważyłam u niego z niepokojem początek procesu, którego wszystkie kolejne fazy znałam doskonale z obserwacji ojca. Finałem jest zabobonny lęk przed własnym księgozbiorem, który wymknął się spod kontroli, zaległ mieszkanie, zaczął tyranizować i doprowadzać do nerwicy. No bo jeśli się wie na pewno, że książka jest w domu, zna się kolor jej obwoluty, nawet krój czcionki, a nie można jej odnaleźć...

Kiedy usiłowałam wyszukać potrzebną mi pracę z biblioteki ojca, dreptał za mną i płaczliwie prosił:

– Nie otwieraj. Zostaw! Nie ruszaj! I tak nie znajdziesz! – Sam już od dawna nie wszczynał żadnej tego typu akcji. Pamiętam, że aktem końcowym było szaleństwo, któremu uległ na kilka miesięcy.

– Zginął mi manuskrypt – oświadczył kiedyś o świcie. – Cała monografia o Mickiewiczu!

– Absurd – tłumaczyłam, bezskutecznie próbując przemknąć do łazienki. – Ktoś skradł? Po co? Zawieruszyłeś gdzieś.

– Nie ma – odpowiedział tragicznie. – Wszystko przepadło! Pierwszy raz w czasie wojny, a teraz drugi raz.

Od tego czasu już nigdy niczego nie szukał. Maszynopis znalazł się zresztą po kilku latach zupełnie przypadkowo, w jednej z szuflad wypadło dno i teczka zsunęła się za tylną ścianę biblioteki.

Ja jedna w naszym domu potrafiłam jeszcze szukać książki przez kilka dni z rzędu, metodycznie półka po półce, regał za regałem. Pies okrążał mnie wtedy z daleka szerokimi łukami, wlaził pod tapczan, wystawiając tylko mordę. Byłam niebezpieczna.

W pierwszych dniach stanu wojennego straszili spikerzy, dziennikarze i wojskowi w telewizorach, straszili przyjaciele, u których były już rewizje: zabierają cały drugi obieg, legalną, solidarnościową prasę, nawet biuletyny Komitetu Wojewódzkiego.

– Literaturę piękną też?

– Też!

Gdzie to ukryć? Podobno mają dobrych fachowców. Bezbłędnie wynajdują miejsca tajemne, skrytki, drugie dna, lufciki itd.

– Bibułę w worek plastikowy – pouczał autorytatywnie Rynio, przestępując z nogi na nogę. – Dobrze zawiązać i wywiesić w siatce za okno, w razie czego dopaść, przeciąć sznurek i już. To jest sekunda, błysk. Spadnie na balkon sąsiadów i z głowy! Warunek: trzeba mieć zaufanych sąsiadów.

Bibuła za oknem, zamiast jak dawniej bywało w okolicy świąt – zając za oknem.

Ale książki? Co robić z książkami? Chodziliśmy od pokoju do pokoju. Zwiedzaliśmy nasze opasłe, wielkie meble, zaglądaliśmy na czworakach pod tapczany, regały. Jung zachwy-

cony nową zabawą wpychał między nas swoją moką mordę. Jedną parę drzwi, prowadzących z korytarza do pokoju, zabiliśmy kiedyś dyktą, w środku dla wygłuszenia poupychaliśmy pakulę, wióry. Może tam? Od strony pokoju do drzwi był przybity regał, sięgający aż do sufitu. Dopadliśmy do niego w bojowym nastroju z młotkiem i obcęgami, ale gdy spojrzeliśmy na sterty książek, Edek stwierdził hardo:

– Pieprzę, niech zabierają! Nie będę własnych książek zabijał deskami!

Stańmo w końcu na tym, że rozmieścimy drugi obiegić po całym mieszkaniu, trochę tu, trochę tam, wszystkiego nie znajdą, część ocaleje.

Zaczęliśmy upychać książki po najbardziej dziwnych miejscach. Ja zajęłam się kredensem w kuchni. Dwie jego części były zapełnione naczyniami, ale w trzeciej leżały stare maszynopisy, jakieś gazety i zepsute kuchenne mechanizmy. Pamiętam, że wciskając cenny egzemplarz *Małej apokalipsy* między przepalony młynek do kawy a związaną sznurkiem paczkę listów – napotkałam na zdecydowany opór. Szarpnęłam wściekle jakiś plik i po kuchni rozsypały się zdjęcia z okresu wojny. Poczułam się jak aktor rzucony od razu, bez przygotowania na plan filmowy, aktor biorący udział w karkołomnej, przerastającej jego doświadczenia fabule wymyślonej przez wytrawnego scenarzystę.

Ileż szczegółów, jaka rozległa perspektywa historyczna! Na podłodze leżały kawałki naszego miasta sprzed czterdziestu lat, twarze rodziców z zaczajonym w oczach strachem i różne coraz starsze wersje mnie samej od niemowlaka do pięcioletniej pannicy.

Za oknem znów godzina milicyjna, ulice z hałdami zakrzepniętego śniegu, sypiąca o puste chodniki ostra, kłująca zadymka, a we mnie w środku poza warstwą spokoju, niby normalną twarzą, napięte oczekiwanie na dzwonek u drzwi, kotłująca się gdzieś w środku starannie ukrywana panika. Światło w kuchni było żółte, w każdej chwili mogli je wyłączyć, elektrownie pracowały na zmniejszonych obrotach.

Wyzierałam zdjęcia z podłogi, rozłożyłam na stole w pokoju, spuściłam wiszącą lampę jak najniżej i z lupą w ręce, wbrew protestom Edka (należało przed świtem wszystko ukryć, rewizję robiono najczęściej o szóstej rano), zaczęłam je dokładnie oglądać.

To ciotka, a nie matka pilnowała, by mnie fotografowano co najmniej dwa razy do roku.

– W porządku – tłumaczyła rodzicom. – Teraz jest wojna, ale przecież nie będzie trwała wiecznie, a pupuś się zmienia, rośnie. Potem nawet nie będziecie wiedzieli, jak wyglądała wasza córka.

Znalazła fotografa na peryferiach miasta, ale fotografowanie u niego było połączone z ryzykiem. Matka usiłowała protestować, lecz na jej argumenty Bacha miała zawsze te same słowa:

– Trzeba żyć normalnie!

– Co to znaczy normalnie? Jak ty w ogóle możesz tak mówić? Kto dziś żyje normalnie?

– Ja – odpowiadała dumnie, a matkę doprowadzało to do złości. Czasem nawet wybuchwała płaczem.

– Histeria – ucinała ciotka sucho. – Lepiej zadbaj, żeby dzieciak miał się w co ubrać, jak pójdziemy. Trzeba jej coś uszyć.

– Jak ty w takiej sytuacji możesz myśleć o fatalazkach? Przecież po Czecha mogą przyjść w każdej chwili. Pamiętaj, w każdej! Teraz też. On tak wygląda na robotnika, jak ja na królową bengalską. Wystarczy, że go ktoś pozna, doniesie. Cudem się wywinął z obozu...

– Ale się wywinął, więc się ciesz, a że tam trochę pomacha kilofem, to jeszcze nikomu nie zaszkodziło. Od tego się nie umiera. Jeśli dotąd nie donieśli, to już nie doniosą. Czy ty myślisz, że któryś z tych robotników choć przez moment uwierzył, że Czechu jest fizyczny? A ten kierownik na przykład? Jak zaryzykował, to zaryzykował. Kropka i nie ma o czym gadać.

– Ale uczeń, jak go zobaczy jakiś uczeń z Marii Magdaleny...

– Tak mówisz, jakby wszyscy Czecha uczniowie byli folksdojczami, masz manię przesładowczą, uważaj, bo źle skończysz.

Spirały się tak, dogadując sobie, ale nawet ja widziałam, jak te rozmowy uspokajały matkę. Po chwili już obie pochylały się nad nocnymi koszulami ciotki, mówiąc: – Z tej różowej! Tak, ta będzie dobra. Przy szyi zrobię riuszkę, a na przedzie zmarszczenia, takie szczypanki, o widzisz? A z tej powłoczki na poduszkę można by uszyć bluzkę, musiałybyś ją tylko wyhaftować.

Patrzyłam uważnie na swoje zdjęcia. W różowej sukience z koszuli ciotki jestem równo o rok młodsza, niż w bluzeczce z powłoczki.

Jest jeszcze zdjęcie zrobione na ulicy: Bacha, ja, matka – trzymamy się za ręce. Przybliżyłam do niego lupę: Ależ tak! Na przegubie ciotki jest wyraźnie widoczna, kuta, srebrna bransoletka. Podarowała mi ją później w dzień mojego ślubu. W czasie wojny kazała przytwierdzić do niej na samym środku polską srebrną złotówkę z żaglowcem pod pełnymi żaglami, chyba Dar Pomorza. Podobno była to jakaś krótka, cenna edycja. Nosiła tę monetę na bransoletce przez całą okupację. Matka powtarzała: – Zdejm ją, no proszę cię, zrób to dla mnie. Nosisz ją tak ostentacyjnie, jakbyś chciała ich specjalnie kłuć w oczy. Zobaczysz, to się źle skończy.

– Dla mnie to ich tu nie ma, rozumiesz? – odpowiadała.

Ciotka nigdy nie wychodziła z domu bez bransoletki, ja zresztą później także nie. Przeszedł z ciotki na mnie, razem z bransoletką, sposób jej wkładania. Tych kilka prędkich ruchów wykonywałam zupełnie automatycznie. Bransoletkę trzymałam w prawej dłoni, zahaczałam nią o lewy przegub, trochę bokiem, bo wtedy łatwiej wchodziła, zginała się leciutko (tu właśnie później pękła) i już była na ręce, ciężka, chłodna. Czuło się ją przez parę minut, póki nie nabrała temperatury ciała. Tak było przez dwadzieścia parę lat, aż do zeszłego miesiąca. W końcu listopada pękła. Jubiler nie chciał już jej złutować. Powiedział, że to nie ma sensu, bo od razu pęknie kawałek dalej. – Jak to pani wytłumaczyć? No po prostu to srebro jest zmęczone.

I nagle, pozornie bez powodu, wpadłam w panikę. Odłożyłam lupę, serce załomotało, krew; uderzyła mi do głowy. Dlaczego pękła akurat teraz? Co to może oznaczać? W śnieżnej, głuchej ciszy za oknami kościelny zegar z przeciwka wybił głośno drugą w nocy.

* * *

„Zdemoralizowali się nie kontrolowani ludzie”, powiedział w drugim dniu stanu wojennego spiker w mundurze do „zdemoralizowanych milionów”, które go słuchały, siedząc sztywno, w swoich, nie swoich domach, na swoich, nie swoich tapczanach, do ludzi, którzy nagle zaczęli pracować w nie swoich fabrykach, chodzić po obcych miastach. I jeszcze ten mróz. Kostniały od niego ręce i myśli.

Oto znana z dzieciństwa ulica nagle tuż przed godziną milicyjną zamienia się w niebezpieczny wawóz, a z cienia każdej bramy może wyjść uzbrojony patrol. Bieg wzdłuż kamienic, byle dopaść swojej klatki schodowej. Bieg po znanych na pamięć płytach chodnika, przeskakowanie wyrw, ślizganie się po oblodzonych kamieniach.

Ulegliśmy razem z Edwardem takiej psychozie. Tramwaj zmienił trasę, okazało się, że jedzie do zajezdni. Musieliśmy przebiec w ciągu dziesięciu minut odcinek, który spacerem pokonywaliśmy w pół godziny. I cały czas biegnąc, myślałam tylko to jedno zdanie: – A mimo wszystko te same topole! – Nawet lekko poruszałam wargami „... te same topole”, „te same...” Co dziesięć kroków topola, oszroniony, biały dym na czarnym niebie. Świeciły temu naszemu biegowi jak latarnie, których od tygodni nie zapalano. Czy mogło mi się stać coś złego między topolami, które coraz wyższe wprawdzie, ale „zawsze te same” znały mnie od lat trzydziestu sześciu, może nawet rozpoznawały rytm moich kroków? Czy ich korzenie czuły upływ czasu? Słyszały najpierw mój bieg dziecinny, skakanie przez linkę i w czasie gry w klasy, potem codzienny rytm powolnego chodzenia po własnej ulicy. I nagle ten tupot ni

stąd, ni zowąd, zwariowany furkot przerażonych stóp, bicie podeszwami o lód, ucieczka... Czy uchwyciły zmianę?

Przez cały czas, biegnąc („A mimo wszystko te same topole”) czułam wstyd. Przed nimi? Przed drzewami? Uciekam po własnej ulicy, we własnym kraju? Ja, jak nie ja, już nie swoja, a ze stanu wojennego, z innej rzeczywistości. Ten lęk nie do opanowania był tak dotkliwy, tak głęboko upokarzający, że nie mówiąc o nim, nie komentując go – nigdy wieczorem nie wychodziliśmy z domu. Nie nazwaliśmy go, nie daliśmy mu słów, żeby nie wrócił. A jednak został ze mną aż do teraz. Pamiętam, że kiedy wreszcie położyliśmy się spać, a z pokoju obok rytmicznie co parę minut, tak jak co noc, poskrzypywała wiklinowa buda Junga, za każdym razem, kiedy obracał się przez sen, posapując – zastanawiałam się, czegośmy się właściwie tak bardzo bali.

Mięzał (rudy plastik) wprawdzie opowiadał, że na widok zomowców zawsze na wszelki wypadek przechodzi na drugą stronę ulicy. – Oni mają pałki, a ja co? No co ja? – pytał, patrząc na nas rzewnymi, pełnymi smutku oczami. – Dopadną i spałują! – Mówiono o nich, że działają automatycznie, atakują bez uprzedzenia, jak maszyny do bicia. Napomykano o narkotykach. Wierzyło się w to i nie wierzyło jednocześnie.

Musiałam sobie w końcu w trakcie tej nieprzespanej nocy przypomnieć i rzeczywiście przypominałam zdarzenie, które było w naszym domu wielokrotnie opowiadane. Rozegrało się w czterdziestym pierwszym lub czterdziestym drugim, późną jesienią. Bacha przekroczyła wtedy w trakcie kilkunastu godzin parę zarządzeń niemieckich. Straganiarka, której wyrobiła zezwolenie na handel, zaprosiła ją na „uczte”.

Bacha upiła się samogonem, to po pierwsze, po drugie wyszła z przyjęcia; w środku nocy (nikt tego nie zauważył), jakby nie było żadnej wojny, żadnej godziny policyjnej i najnormalniej w świecie stanęła na przystanku tramwajowym. Po trzecie, weszła do wagonu tylko dla Niemców i zasnęła w nim. Obudziła się na końcowym przystanku. Na ziemi leżały rozsypane „chryzantemy złociste”, które podarowała jej przekupka, a przed Bachą stał oficer niemiecki. Natychmiast wytrzeźwiała, ale nie na tyle, aby od razu zacząć mówić po niemiecku. Skomentowała to później krótko: – W końcu byłam jeszcze we własnym kraju, tak czy nie? – I po czwarte pozwoliła, aby ten „dżentelmen niemiecki” odprowadził ją do domu. – Przecież sama bym nie doszła! – Tu już złamała zakaz polski. Ojciec, który czekając na nią, stał przez pół godziny w oknie (matka cały czas zawodziła płaczką: – Czesiek, zrób coś!), kiedy zobaczył ich, a właściwie usłyszał, jak szli środkiem jezdnii głośno rozmawiając po niemiecku, wpadł w szal. Ogarnęły go, mówiąc jego językiem, jednocześnie „czarna rozpacz” i „szewska pasja”.

– Krawiec kraje, jak mu materii staje – oświadczyła ciotka następnego dnia, odmawiając wszelkich dalszych wyjaśnień. – To było wyłącznie moje ryzyko!

Rodzice zastanawiali się później, czy cała ta przygoda wyniknęła z braku wyobraźni ciotki, czy była jej prywatną grą z losem: czarno-białe pola, ucieczka i atak zygzakami po całej szachownicy. Bunt. Nie przyjmować do wiadomości ograniczeń. Żyć normalnie za wszelką cenę, przecież świat się nie przechyla! Można chodzić po krawędzi.

Wieczorami krzątała się koło siebie, prasowała, myła, szcotokowała włosy, podkreślała... – Nie mam zamiaru zmieniać przyzwyczajęń tylko dlatego, że ich tu przyniosło – wyjaśniała matce. – Mam się starzeć w przyspieszonym tempie, bo jest wojna? Ja to ja, wojna to wojna! Myślisz, że ta twoja maska, którą nosisz zamiast twarzy, jest komuś potrzebna?

Po nocach, kiedy nie mogła zasnąć, kładła pasjanse na kuchennym stole. Lekko stukał przy tym co parę minut jej pierścionek z szafirem.

Raz w miesiącu znikwała z domu na dwa dni. Dzięki przekupkom nawiązała kontakt ze wsią. Zawoziła do różnych miejscowości adresy i nazwiska rodzin z miasta, którym trzeba było zorganizować natychmiast żywność. Uczyla się tych adresów na pamięć, jeździła podmiejskimi pociągami, furkami, wędrowała piechotą, gdy trzeba było, udawała Niemkę. Zdarzało się, że sama, ryzykując VII fortem, szmuglowała mięso. Z każdej takiej podróży przy-

woziła jedną lub dwie opowieści. Należały (później, już po wojnie) do jej stałego repertuaru. Zabawiała nimi przyjaciół. Wracała tak zmęczona, że spała bez przerwy całą noc i dzień. Rodzice o nic jej nie pytali. Zauważyłam tylko, że słysząc kroki na schodach milkli nagle w środku rozmowy.

Któregoś wieczoru przybiegł do nas jej kolega z pracy i błagał ojca, by coś zrobił z Bachą, by jej wytłumaczył. Ciotka od tygodnia naraża całe biuro. Za każdym razem, kiedy wchodzi oficer niemiecki, a szef ryczy „Heil Hitler”, Bacha uśmiechając się zalotnie, wtrącała półgłosem „Pocałuj mnie w dupę...”

Edward spał, pies posapywał, a za oknem czaiła się bezgwiezdna noc. Żadnych aut, szumu opon, świateł reflektorów, które zazwyczaj co parę minut pasmami wędrowały po zasłonach i suficie. Cisza, a w mięśniach ślad biegu wzdłuż oszronionych topól, łopot serca, jakby stado gołębi uniosło się nagle nad trawnikiem.

Myślenie o ciotce, o tych wszystkich odległych zdarzeniach, które dopiero w wiele lat po wojnie ułożyły mi się w logiczną całość, gdy wysłuchałam wielokrotnych o nich! opowieści matki, ojca, i gdy połączyłam je z własną pamięcią, a więc powracanie do nich dawało mi poczucie równowagi. Świat się tylko przechylił, wmawiałam sobie. Trzeba chodzić tak, jakby się tego nie dostrzegało. Nie tracić równowagi.

* * *

Sen Rynia z tamtego czasu: jest razem z Moniką na wsi. Hodują coś w wodzie, jakieś żyjątka, nie jest pewne, czy to są ryby. Utrzymują się z tego. Woda jest szara i wielka aż po horyzont. Słychać daleki plusk. Nad jezioroem w trójkącie z ognia (pomarańcz i czerwień) – oko. Oko opatrności. Tak o nim wtedy pomyślał. Nagle chmury się rozsuwają i zamiast oka pojawia się ogromna twarz towarzysza Albina Siwaka. Ta twarz płynie, jest coraz bliżej. Zajmuje już całe niebo. Rynio boi się o Monikę. O siebie nie.

Siwak, którego głowa wędruje w śnie po niebie, umundurowani spikerzy w telewizji. Ich świecące twarze w naszych pokojach, zaraz po nich urodziny Breżniewa, wręczają mu order Lenina, znany profesor daje patrolowi żołnierzy w centrum Warszawy dyplom uznania od siebie i czerwony goździk ze słowami: „aby wam tu świecił”, potem od razu zadki świń wypędzanych z obory z komentarzem: „wzmaga się skup” – to wszystko działo się jednocześnie, toczyło się przez nas, w nas. Traciliśmy poczucie proporcji.

Przypominam sobie dokładnie, że kiedy już ukryliśmy w mieszkaniu wszystko, co mieliśmy do ukrycia (pracowaliśmy nad tym przez dwie noce) i spojrzeliśmy na siebie pełni dumy, nasz wzrok nieomal jednocześnie padł na Junga. Wylazł właśnie z budy zdziwiony, że się tak tłuczemy po nocy i demonstrował oto na środku zielonego dywanu całą swoją brązową, zaspianą psiość. Wyciągnął przednie łapy i tylne tak, jak tylko pekińczyk potrafi, ziewnął rozdzierająco, a widząc, że się na niego gapimy, przewrócił się na grzbiet. Proszę bardzo, on się może bawić nawet o trzeciej nad ranem.

Przyglądaliśmy mu się w milczeniu, a każdy z nas myślał o tym samym: co zrobimy, jeśli będzie trzeba go wyprowadzić w czasie godziny milicyjnej? Zdarzały mu się czasem takie nocne musy, im bliżej wiosny, tym częściej.

- No to już koniec – powiedział Edek ponuro.
 - Może na podwórko?
 - Żeby nas to chamidło, ten stróż zwymyślał, że mu zasrywa asfalt?
 - Ile taki pekińczyk narobi?
 - Ja w każdym razie na podwórze z psem nie wyjdę, on tam zresztą i tak nic nie robi.
- Uzna, że to jest dalszy ciąg mieszkania, przecież w ogrodzie nawet nie siusia.
- Pójdę sama.
 - W życiu cię nie puszcze!

– Więc co proponujesz?

Jung przewrócił się znowu na brzuch, spojrzał na nas z leniwą pogardą, wstał, wyciągając najpierw prawą tylną łapę, potem lewą; pomaszerował do budy. Rozległo się skomplikowane, wielogłosowe skrzypienie i zapadła cisza.

– Na dziś mamy spokój. Ale w ogóle chromolę takie życie...

– Ciotka wróciła kiedyś w środku godziny policyjnej kompletnie pijana – próbowałam nadać naszemu lękowi właściwy rozmiar.

– Kochanie, nie pieprz mi t e r a z o ciotce – syknął Edek. – Nie wolno robić prymitywnych analogii, każda sytuacja jest nowa, ta jest zupełnie nowa.

– Dam ci relanium; jak będzie trzeba, to się wyjdzie i już.

– S i ę wyjdzie! Ciekawie mówisz. S i ę!

* * *

Karmiłam parę synogarlic. Należały do naszego okna. Samiec odziedziczył nasz parapet po swoich rodzicach. Wyklął się w gnieździe na zdziczałej czereśni, piętro niżej. Matka regularnie przyprowadzała go do nas na okruchy, a później on przywiódł tu swoją samiczkę. Lubił jeść z dłoni. Ona była ostrożniejsza. Jej zadanie polegało zresztą przede wszystkim na wywabianiu mnie z pokoju. Gdy tylko wypatrzyła mój zielony, wędrujący za szybami szlafrok, siadała na parapecie i cierpliwie czekała, aż otworzę okno, a później jeszcze cierpliwiej, aż wysypię ryż czy pokruszoną bułkę. Była znakiem, nastroszonym znakiem ptasiego cierpienia w czasie mrozów, nie pozwalała mi o nim zapomnieć. Czasem wchodziła nawet na wewnętrzny parapet, śmialiśmy się, że rozważa problem, czy nie należałoby zająć naszego pokoju jako wyjątkowo ciepłego gołębnika. Jung wtedy szalał. To była jawna agresja na naszą domową niezależność. Nie spuszczał oczu z ptaka. Zewnętrzny okap wspaniałomyślnie oddał synogarlicom, ale wystarczało, aby przynajmniej jedna z nich choćby o centymetr przekroczyła wyznaczoną granicę... Ptaki lekceważyły jego zawzięte ujadanie, tak samo jak te „czarne” z parku.

Karmiłam je właśnie, kiedy zadzwoniono po raz pierwszy. Na schodach jakieś szurania, szmery. Wstrzymując oddech spoglądałam przez dziurkę. Twarze były znajome, ale zupełnie nie umiałam ich umieścić w żadnej przestrzeni. Dopiero gdy chłopcy weszli do środka, gdy tupiąc zrzucali na wycieraczkę grudy śniegu, gdy zdjęli i wytrzepali czapy – poznałam swoich uczniów. Florka, jasnego z włosami do ramion i Piotra z parocentymetrową, sterczącą czupryną. Ma tak doskonały kształt czaszki, że zawsze, patrząc na niego, musiałam myśleć, że najlepiej by mu było, gdyby ostrzygł się aż do skóry.

To, że przez moment przyglądałam się im, jak obcym ludziom, których rysy miały wprawdzie coś znajomego, ale były tak odległe; tak niejasne, że równie dobrze mogły być przypomnieniem twarzy widzianych na przykład na obrazach Dürera, świadczyło o tym, na jak innej ziemi żyłam od tych kilkudziesięciu godzin. Całkowicie zapomniałam o szkole. A przecież nie dalej jak parę dni temu zadałam właśnie im dwom referaty z *Przedwiośnia*. Po lekcjach uzgadnialiśmy bibliografię, sprawdzałam konspekty. Florek swoim zwyczajem kwitował zarzuty zgodliwym kiwaniem głową i – yhm, yhm poprawię – ale Piotr broniąc się przed dodatkową pracą, żarliwie przekonywał mnie, że jego skrótowe ujęcie będzie rewelacyjne. Pukał w konspekt linijką, gestykulował, budując przede mną w powietrzu swoją genialnie prostą strukturę.

Stali teraz naprzeciwko mnie w żółtym świetle korytarza, ze ściągniętymi twarzami, mimo że weszli wprost z mrozu, bladzi i patrzyli na mnie zupełnie dorosłymi oczami. Wrażenie było tak silne, że wcale bym się nie zdziwiła, gdyby jeden z nich powiedział nagle:

– Cześć, wpadliśmy sprawdzić, czy cię nie internowali.

Dopiero kiedy usiedli koło siebie na kanapie, starając się trzymać ogromne, narciarskie bu-

ciory na gazetach, kiedy śnieg zaczął topnieć, a oni speszeni patrzyli na błoto leżące na papierach – zdołałam opanować pierwszą reakcję. Ich twarze wyrażały jednocześnie trzy uczucia: troskę, zaskoczenie i ulgę. Przyglądali mi się, jakbym była duchem.

– A mówią, że panią profesor internowali!

Zmienili się bardziej niż my: wyostrowiona samokontrola, coś pośredniego między zaczajeniem a gotowością do skoku, jakby wszystkie mięśnie, także mięśnie twarzy, zdołali ostatecznie opanować. Sztwywni, skupieni, przypominali mocno nawinięte wokół szpuli nici, bez jednej szczeliny, bez jednego gruzelka. Na dźwięk dzwonka tylko Piotr odwrócił prędko głowę, Florek nawet nie drgnął, nad słuchując, spokojnie dokończył rozpoczęte zdanie:

– Wiemy na pewno, że przyszli po Monikę, o przepraszam, po profesor Dendzik, ale pani profesor nie spała w domu.

– Po Monikę? – zatrzymałam się w biegu do drzwi, znieruchomiałam z ręką na oparciu kanapy.

– Zostawili u stróża wezwanie.

Skąd o tym wiedzą? Ja nie wiem, a oni wiedzą? Podzielili się i biegają po domach? Próbuje nawiązać łączność. Chcą trzymać rękę na pulsie. Piotr na pewno powiedział: – Do Boguchy pójdę ja z Florkiem. – Byłam ich. Przynależna im, jak mój parapet parze synogarlic. W ostatnich miesiącach w moim liceum im. Słowackiego (wszyscy mówili: w Słowackim) utworzył się w zależności od poglądów, temperamentów i jakichś bliżej nieokreślonych fluidów stabilny układ. Wokół nauczycieli skupiały się grupy młodzieży. Podzielili nas między siebie, nieomal publicznie ogłaszając swój stan posiadania; zaskakujące było to, że my nie mieliśmy na to żadnego wpływu. To oni nas wybierali, a nie my ich. Piotr był przede wszystkim matematykiem. Literatura do Sierpnia w ogóle go nie interesowała. Po prostu uczył się tego, co musiał. Ale na jednej z przerw to właśnie on poprosił, abym została w klasie i nagle bez żadnych wstępów zaczął się dzielić ze mną swoimi opiniami. Charakteryzował kolegów. Ostrzeża mnie, zdążyłam pomyśleć. I rzeczywiście w pewnym momencie prosto i bez ogródek powiedział: – My nie mamy zaufania do Laury. Pani profesor pewno nie wie, że jej ojciec...

– Kto my? – przerwałam gwałtownie, broniąc się przed niechcianą wiedzą.

– No my! – uznał, że powinnam sama rozszyfrować ich podziały.

– Ale pani musi to wiedzieć – dodał po chwili ostro, nie tytułując mnie. – Laura notuje niektóre pani sformułowania, dygresje, no na przykład...

– Nie chcę – uciełam krótko.

Rozmowa o nauczycielach też się nie udała. Nie mogłam przemóc nawyku niemówienia z uczniami o swoich kolegach. To był dotąd, cokolwiek by się działo, temat tabu. Piotr, nie spuszczać ze mnie uważnych, tropiących oczu, zaczął mówić prędko, w obawie, żebym mu znowu nie przerwała, o Pierwszym. Uczył historii według programu „Solidarności”, skrupulatnie wypełniał białe plamy w naszych dziejach. Cenili go.

– A jakie dyskusje prowadzimy! Na jakie tematy! Musiałaby pani profesor słyszeć – chwalił się.

Nie mam pojęcia, gdzie w mojej absolutnie nieruchomej twarzy były ukryte te dwa przerażone słowa, które krzyknęłam gwałtownie sama do siebie w myślach: „Jezus Maria!” Gdzie odnalazł ślad paniki, czy w zacięciu ust, w zmarszczeniu brwi, w zwężeniu źrenic, czy może wykonałam jakiś ruch dłonią, którego sobie nie uświadomiłam, dosyć że wyraźnie zmartwiony powiedział cicho, z żalem: – Ach tak? Bardzo pani profesor dziękuję, to ważne. – I wyszedł. Jeśli to, co poczułam, miałabym do czegoś porównać, to byłby to ogromny, wezbrany lej wodny. Tkwiłam w samym jego środku. Co to miało być? – pytałam samą siebie, gdy drzwi się za Piotrem głośno zamknęły, a z korytarza, jakby się nic nie stało, dochodził zwykły szum przerwy. Jak ja mam w czymś takim pracować? Oni mi donoszą na swoich kolegów, a ja mam im donosić na swoich? I nagle ta zimna, ostra, jak biała igła myśl: A kto będzie winien, jeśli wsadzą któregoś z tych smarkaczy, jeśli Pierwszy naprawdę ma kontakty z „tamtą

stroną”? Przecież nikt z nas nie potrafi przewidzieć, co takim chłopakom może wpaść do głowy.

Nie znalazłam dobrego rozwiązania. Cały czas stałam na granicy, balansowałam na równoważni. Myślę, że w końcu po prostu bezbłędnie nauczyli się czytać z mojej twarzy. Słowa między nami nie były już potrzebne. Inna sprawa, że ja także zaczęłam im się dokładniej przyglądać. Niekiedy czułam się na lekcjach tak, jakbym dotykała granatu. Który z tych chłopców będzie czymś w rodzaju zapalnika, który okaże się najważniejszy? Miałam różne koncepcje. Przyszłość wykazała, jak bardzo się myliłam. Byli sprytniejsi, niż sądziłam. Zachować ich energię, krytycyzm, a jednocześnie pilnować. Czy to było w ogóle możliwe? Wiedziałam, że wystarczyłoby, gdybym ich spytała wprost. Czekali na to? Mogłam wejść do środka. Ale wtedy co dalej?

A teraz siedzieli naprzeciwko mnie z tymi bladymi, ściągniętymi twarzami, a ich oczy zadawały mi nieprzerwanie to samo pytanie, przed którym od roku usiłowałam uciec: – Co robimy?

Tak się złożyło, że my, dorośli, byliśmy tego dnia tak samo zagubieni jak oni. Zrozumiałam, że rzeczywiście moglibyśmy sobie zwyczajnie mówić po imieniu, nie byłoby zahamowań ani z mojej, ani z ich strony. Pierwszy raz poczułam coś takiego w stosunku do własnych uczniów. A uwierzyłam kiedyś, że po tylu latach pracy nic mnie w układzie uczeń – nauczyciel nie zdoła zaskoczyć.

Po drugim dzwonku był trzeci, czwarty, szósty... W ciągu godziny nasze mieszkanie wypełniło się ludźmi. A przecież nikt się nie umawiał, telefony nie działały. Pokoje oddychały nowym rytmem. Były nie nasze. Przypominały salę konferencyjną. Piece zimne, prąd wyłączyli jeszcze w nocy. W mieście mówiono, że to chwyt strategiczny, chcą nas wziąć z zimnem. Panował chłód zmieszany z dymem papierosów. Ludzie w narzuconych na barki płaszczach, jakby zaraz mieli wstać i wyjść, ale nikt się przez wiele godzin nie ruszył. Wierzyliśmy wi docznie, że takie wspólne siedzenie, picie herbaty, mówienie, mówienie, mówienie – zrodzi w nas na powrót utracone poczucie siły lub choćby nadzieję. Kiedy ktoś nowy wchodził, podnosiliśmy głowy i w milczeniu przesuwaliśmy się na kanapie, na krzesłach, aby mu zrobić miejsce. Nikt się nie dziwił, że nas stale przybywa. Ja też nie, chociaż pojawiali się ludzie, których prawie nie znałam. Kto dał im adres?

Opowieści o aresztowaniach. Żona C., gdy go brali, tak krzyczała na balkonie, że było ją słychać na całym osiedlu; matkę F. obezwładnili gazem; dyrektorkę teatru, Lizę Wicyńską, zakuli w kajdanki. Przez te opowieści co chwilę przebijało się pytanie: – Co dalej? – Dobrze, że chłopców już nie było, nie powinni oglądać naszej bezradności.

Kiedy zaczęło się zmierzchać, a po mieszkaniu od zapalonych świec ruszyły nasze cienie, uderzając raz po raz o maski murzyńskie wiszące na ścianach, o wazon z kolorowego szkła, podzieliliśmy się na dwie mniej więcej równe grupy. Pierwsza usiłowała działać w starym stylu – zredagować protest przeciwko stanowi wojennemu, potępić bezprawne łapanki i zebrać podpisy. Druga (z prawnikiem na czele) uważała, że w tej sytuacji jest to wskazywanie palcem, kogo jeszcze powinni internować. Układanie protestu szło mozolnie, potykaliśmy się o słowa jak o stopy kamieni, ludzie rozkładali ręce, zapadały minuty ciszy, w których było słychać tykanie zegara i skrzypienie budy Junga. Za oknami walił śnieg i co chwilę w szyby uderzał podmuch wiatru. Byliśmy zupełnie sami w tej zadymce, w tym mieszkaniu, w tym czarnym, ogłuszonym mieście, z nikim nie można się było porozumieć, góra siedziała, a robotnicy milczeli obstawieni czołgami i wozami pancernymi. Co myśleli? Czy była nadzieja, że zaczną myśleć głośno?

W środku jednej z takich chwil ciszy zadzwonił telefon. Esbecja, pomyśleliśmy wszyscy jednocześnie. Wiedzą o naszym spotkaniu, wiedzą o nas więcej niż my sami o sobie, zaraz nas zgarną. Czemu jednak nie dzwonią po prostu do drzwi? Jung wyskoczył z budy i wydarł się swoim pierwszym, kundlim szczekaniem (nigdy dotąd tak nie reagował na telefony). W

zapamiętaniu przy każdej nowej serii odrywał łapy od podłogi i z furkotem spadał na dół, aby znowu poderwać się do góry. Kiedy uczył się szczekać, był z nami na wsi i całe noce wsłuchiwał się w ujadanie podwórzowych kundli. I nagle w czasie spaceru rozszczękał się tak jak one basem, w tej samej tonacji, na ogromne stado rudych krów. Stały, obróciły łby i przyglądały mu się z zatroskanym zdziwieniem. Potem nauczył się poszczekiwać piskliwie – jak każdy normalny pekińczyk. Tamtego jednak swojego pierwszego głosu nie wyrzekł się nigdy (był dwujęzyczny). Miał go w zapasie i używał w sytuacjach wyjątkowo groźnych.

Szczekanie Junga wyrwało mnie z osłupienia. Męski głos zapytał prędko, czy u nas w domu wszystko porządku. Dzwoni na prośbę pani Barbary. Prosi o zachowanie dyskrecji. – Na razie bez zmian – powiedziałam. – Dziękuję, przekażę. To wszystko. – Słuchawka klapnęła i w telefonie znów zapadła głucha cisza, jak w przekrojonym owocu.

Dzwonił z Gdańska. Bacha przeniosła się tam wiele lat temu. Przez parę minut nasze mieszkanie i my wszyscy byliśmy połączeni z miastem, na którego decyzję czekaliśmy. Tyle tylko, że odezwało się do nas głosem służb specjalnych. Cóż za ironia! Świadomość że Oni kiedy chcą, mogą połączyć się z każdym numerem w Polsce, nie dodawała nam odwagi.

A my? Nasze słowa? Jeśli nawet skończymy układać ten protest, to i tak jego zdania utkną gdzieś w czarnych dziurach, w setkach kilometrów mrozu, między jednym miastem a drugim, między pociągami, które stały w zaspach, między lotniskami, z których długo jeszcze nie wystartuje żaden samolot i nikt ich nie przekaże dalej przez wyłączone telefony.

* * *

Wierzę, że czas jest w nas. To niebezpieczne mieć do wyłącznej dyspozycji taki precyzyjny mechanizm. Drugi dzień stanu wojennego, który rozpoczął się od karmienia synogarlic, trwał trzy razy dłużej niż każdy inny. To nie tylko to, że tak go zapamiętałam. Był taki. Wolniej przesuwało się niebo, wolniej obracały się chmury nad głuchym miastem, nasze ruchy były jak na zwolnionej taśmie, grzęźliśmy po kostki w srebrnym pyłe, w próśzeniu światła. Ktoś nas wyświetlał na ogromnym ekranie przed pustą widownią. Tylko w dzieciństwie zdarzały mi się podobne chwile, oto nagle, bez żadnej zapowiedzi, otaczające mnie rzeczy przedstawiały być zwykłymi rzeczami, znaczyły, tworzyły dekorację dla mojej gry. Odbywało się to błyskawicznie, jakby ktoś przełączał obwody zasilania, poruszałam się już w drugiej rzeczywistości. Zmieniało się nasilenie światła. W takich chwilach było znacznie silniejsze, stałam w kole punktowego reflektora. Tak to czułam. Światło biło o moje dłonie, zwłaszcza o dłonie, którymi dotykałam wybranych sprzętów i roślin. Byłam pewna, że ujawniane są także moje myśli. Wierzyłam, że wystarczy się mocno skupić, a sama potrafię je zobaczyć, tak jak widzą je ci niemi, obserwujący mnie podglądacze z innego wymiaru. Dlatego dokładnie kontrolovałam ich bieg, żadnych dodatkowych skojarzeń, żadnej ucieczki w światy wyobraźni. Tylko ja i myśl prowadząca. Przypominało to dialog na scenie. Niewątpliwie był to rodzaj twórczości. Budowałam osobny byt zawieszony w próżni, wyświetlałam w kosmos film o sobie, jawny, bo zmontowany z moich gestów, twarzy, rąk i działań i jednocześnie tajny, bo spleciony z biegu myśli.

Potrafiłam się w tej grze tak zapamiętać, tak wyłączyć z realnego świata, że powrót do niego był zawsze bolesny. Budzono mnie jak ze snu, potrząsano mną, czasem krzyczano. Pokój na powrót stawał się tylko pokojem, a las zwykłym lasem, pagórkiem obrośniętym szorstką trawą i wrzosem. Światło gasło i przestrzeń zaczynała normalnie oddychać, zgodnie z rytmem mojego serca. Czas posłusznie wracał do zegarka, ulegał dyktaturze nakręconej sprężyny i udawał, że współpracuje ze wskazówkami. Jedynie sekundy pozwalały sobie na pewne drobne anomalie, wystarczało je głośno liczyć, aby natychmiast wydłużały się w nieskończoność, jak napompowane balony. Ale w porównaniu z wcześniejszymi praktykami były to już tylko drobne, nic nie znaczące eksperymenty. Nie budziły lęku. Zabawa w sekundy pozosta-

wała jedynie zabawą.

Pierwsze dni stanu wojennego miały w sobie taką samą niebezpieczną podwójność. Składały się z dwóch żywiołów: z rzeczywistości i niezgody na nią. Moment, a obudzimy się z koszmarnego snu. Ciągłe przeskok z jednego wymiaru w drugi, wrażenie, że ktoś zapala i gasi reflektor. Przez cały czas po naszych pokojach, po naszych myślach tłukły się dwa słowa: „to niemożliwe”. Niemożliwe było to, co nie tylko okazało się możliwe, ale stanowiło jedyną realność. Przypuszczam, że to doznawane w dzieciństwie dziwaczne uczucie podwójności utwierdziło we mnie irracjonalną pewność, że to, co się teraz działo, przytrafiło mi się już wcześniej. Czas się po prostu cofnął, zatoczył koło.

Pamiętam na przykład dokładnie, że kiedy otworzyłam drzwi i zobaczyłam Monikę z Ryniem na czarnym tle klatki schodowej, mrugających oczami, oślepionych zapalonym przeze mnie światłem, natychmiast wiedziałam, że już ich kiedyś tak wchodzących z ciemności w jasność oglądałam.

– Coś tak zdębiała, jakbyś zobaczyła ducha? – spytał Rynio, zsuwając przy tym jednym energicznym ruchem zamek błyskawiczny swojej szeleszczącej kurtki. – Jeszcze żyjemy!

Ale ten dźwięk metalu trącego o metal, ten szorstki, długi zgrzyt, on też nie był mi obcy. On też się powtórzył. Stali zziębnięci. Przyszli piechotą z jakiejś odległej dzielnicy. Nie pytałam, gdzie nocowali. Zaczynały już obowiązywać między ludźmi nowe reguły. Tyle tylko, że o mieście dotąd tak jasnym jak otwarta dłoń, z dzielnicami rozłożonymi wzdłuż linii życia, o mieście tak czytelnym, że mogłabym z zamkniętymi oczami narysować jego mapę, pomyślałam niczym o czarnym labiryncie. Ileż tajnych mieszkań mogło się w nim gnieździć, gniazd z trzema wyjściami na suszarnie, ulice i podwórza, klitek wpuszczonych w piwnice i przemyślnie wmontowanych we wnętrza strychów, dobudowanych do ciemnych facjatek, gdzieś w ustronnych willach! Tak, to mogła być szansa na przetrwanie.

Monika miała czarny sweter pod szyję i srebrną Madonnę na łańcuszku. Wydało mi się, że schudły jej dłonie, a może wcześniej nie zwróciłam na nie uwagi, teraz na tle czerni (bo stale dotykała nimi medalionu) świeciły naciągniętą skórą kości palców i obu przegubów.

W piątek po południu, jedenastego grudnia, dzwoniła do mnie podniecona: – Wiesz, takie s z c z ę ś c i e mnie spotkało, kupiłam sobie skórzaną kurtkę, akurat przechodziłam koło furtzarskiego, kiedy rzucili towar!

A teraz siedziała przede mną zmarznięta, popijała herbatę, ujmując szklanek oburącz, grzejąc o nią raz jeden policzek, raz drugi i z rozrządzeniem słuchała monologu Rynia. Dobrze znałam ten jej nieobecny wyraz twarzy, takie słuchanie, które nie było słuchaniem. Nie miała zwyczaju udawać, że ją coś interesuje, jeśli jej nie interesowało.

Rynio za to od razu zaczął opowiadać. Gdy był w formie, miał ten niezwykły dar mówienia całym sobą – chodził po pokoju, tłukł się między meblami, rysował dłońmi w powietrzu całe konstrukcje przestrzenne. Stanowiły scenografię do jego monodramu.

Nocą z dwunastego grudnia na trzynastego wracali autem od rodziny. Jechali przez uśpione miasto, latarnie i okna wystawowe wygaszono. W reflektorach świecił tylko śnieg i tafle lodu. Prowadził prawie na pamięć, raz po raz wpadając kołem w jakąś niewidoczną wyrwę w jezdni, lub ocierając nim o leżącą koło chodnika zaspę. Szyby kompletnie zamarzyły z boku i z tyłu. Z przodu przy nawiewie były tylko dwa nieduże półokręgi, przez które coś niecoś widział.

– I nagle w tej czarnej, śnieżnej głuszy... – Ryszard zawiesił głos, rozłożył szeroko ręce od regału do tapczanu, aby po sekundzie wykonać prędką, pionowy ruch w górę prawym ramieniem – ...oświetlony od parteru po dach budynek. Światła we wszystkich oknach. Komenda Wojewódzka zapaliła się przed nimi jak biały duch. Cała jezdnia i chodnik płonęły, wszystko to odbijało się jeszcze od śniegu. Formalnie mnie oślepiło!

Zdążył jeszcze pomyśleć – coś jest nie tak! – i odruchowo, gwałtownie zahamował. Zarzuciło nimi w prawo, potem w lewo. Zdołał wyjść z poślizgu o metr przed gazikiem milicyj-

nym. Objechał kwadrat ulic, raz, drugi, trzeci. Za każdym razem mijali ciężarówki zapakowane zomowcami, fiaty milicyjne, gaziki. Wszystko to wyruszało na miasto. Przez moment poczuł się tak, jakby tkwił w środku koszmarne snu, z którego nie można się obudzić. Ta ulica bowiem, wpadająca pod kątem prostym w sam środek drugiej, mocno zatłoczonej, idąca pod górę, nie jest w historii naszego miasta zwykłą ulicą.

W tym roku, w dwudziestą piątą rocznicę czerwcowych wypadków w Poznaniu Rynio mówił o nich przed kamerami telewizyjnymi. Filmowano go na środku tej właśnie jezdni, na tle budynku komendy. W oknach widoczne były sylwetki pracowników, przyglądali się robieniu zdjęć.

– Tu zza tego płotu – powiedział – wylaliśmy benzynę na jezdnię. Ktoś rzucił myśl, żeby komendę spalić. Strzelano już z okien i od nas. Był problem, kto się ma wychylić i podpalić. Baliśmy się. Chłopak, na którego wypadło, dostał w oko – przerwał, ale po chwili dodał jeszcze z wyraźnym żalem: – Niestety, nie dało się spalić. Nie pamiętam, chyba wiatr był nie w tę stronę...

Te słowa padły. Są skrzętnie nagrane i leżą gdzieś w archiwum. Czy krążąc wokół komendy przypominał je sobie, a może pracowników SB oglądających jego twarz na dużych zbliżeniach, a może pomyślał o robotnikach, którzy tu zginęli, o tym co czuł, gdy prznosił rannych do pobliskiego szpitala. Tego nie wiem, ale doskonale rozumiem, dlaczego wpadł w panikę i w poślizg.

Wreszcie stanęli za jakąś ciężarówką, zgasił światła. Obserwowali budynek. W środku trwał gorączkowy ruch. Ciemne sylwetki migały w oknach. Co chwilę pod główne wejście podjeżdżało auto, wsiadało dwóch, czterech milicjantów, ryk silnika na pełnych obrotach, snop światła bijący o śnieg i moment ciszy. Przy czternastym gaziku podjęli decyzję – jada pod Zarząd Regionu!

To, co tam zobaczyli, rozwiało wszelkie złudzenia. Gmach był obstawiony zomowcami w pełnym rynsztunku: tarcze, hełmy, pałki. Na dachu przeciwniejszego domu czarne sylwetki z bronią wymierzoną w Zarząd wyraźnie odcinały się od jaśniejszego nieba. Widzieli, jak zomowcy gęsiego sforsowali bramę regionu. Po kolei zaczęły się zapalać światła najpierw w pokojach na parterze, później na piętrach. Wyprowadzono czterech ludzi w kajdankach, widocznie mieli dyżur przy dalekopisach. Słyszeli jeszcze jakieś trudne do określenia trzaski, jakby siekierami rozwalano drzwi, przewracano szafy, rąbano je w drzazgi, bito w kasy pancerne, rzucono o ziemię jakimś maszynami (do pisania?), słychać było toczenie się po podłogach części metalowych. Cały Zarząd dzwonił, tętnił, pękał, jakby odbywała się w nim jakaś gwałtowna bitwa. A przecież w środku znajdowali się już teraz tylko zomowcy. To trwało. Zmarzli. W końcu Rynio wolno, chowając się za autobusem, zaczął spychać malucha w kierunku jezdni.

Odtwarzał teraz tę scenę w przestrzeni między fotelem a stołem. Wstałam, aby zobaczyć jego twarz pełną napięcia, jego pochyloną sylwetkę, grę mięśni, gdy pchał po dywanie nasze ciężkie, dębowe krzesło.

– Przestałbyś błaznować – powiedziała Monika, odstawiając szklanekę z resztką zimnej herbaty. – Mam dreszcze? – zaniepokoiła się nagle.

Rynio przetoczył auto aż za róg ulicy i tam je dopiero uruchomił. Na pełnym gazie, wciąż na granicy poślizgu ruszyli pod dom przewodniczącego. Ale tam też już stały gaziki, a w bramie paru mundurowych. Postanowili ostrzec strajkujących studentów. W holu i na pierwszym piętrze Uniwersytetu paliło się kilka żarówek, ale gdy tylko zaparkowali, jak na komendę wszystkie światła zgasiły. Brama była zamknięta. Szarpali drzwi. Ryszard walił w nie pięściami, coś krzyczał, ale odpowiadała mu tylko cisza.

– Wzięli mnie widocznie za esbeka – zakończył i usiadł w bujaku. Chwilę kolebał się na nim w ciszy, w tę i z powrotem, jakby stale jeszcze w rytm swojego opowiadania. Nie nocowali w domu. Dopiero dzisiaj dowiedzieli się, że po Monikę przyszli rano, tak jak powiedział

mi Piotr.

Monika poprosiła o jeszcze jedną szklanę herbaty. Jeść nie chciała.

– Od wczoraj nic nie wzięła do ust – skarżył Rynio.

– Nie mogę – upierała się, odstawiając zdecydowanym ruchem talerz z kanapkami. – Nic nie przełknę!

W jej oczach nie ma lęku, tylko pustka, czarna, świecąca w źrenicach świadomość klęski. Aż do dziś w nią nie wierzyła. Jej pewność zarażała innych. Kiedy mówiła do sali wypełnionej robotnikami o konieczności zmian w programach nauczania historii i literatury polskiej, o nowym modelu szkoły – wywoływała spontaniczne oklaski. Śmialiśmy się, że zaczęła jej rosnąć aureola działacza, z dnia na dzień płonęła silniej.

– Chcesz się ukrywać? – zaryzykowałam wreszcie zasadnicze pytanie. Padło już w pełnym świetle naszych trzech lamp, akurat włączono prąd, wyglądało na to, że czuwa nad nami jakiś niewidoczny, ale przytomny reżyser!

Odpowiedziała wolno. Dopiero teraz podjęła ostateczną decyzję?

– Zgłoszę się, kiedy się wewnętrznie przygotuję. Muszę iść do spowiedzi. Trzeba się z głową spakować. Mam wszystko brudne. Wiesz, w jakim młynie ostatnio żyłam, swetry, ciepła bielizna, to ważne.

Dotknęła medalika, zamknęła go w garści, znowu zbieleły jej kostki palców.

– Jak zatrzymają mnie i Rynia – zrobiła przerwę, wzięła głęboki oddech – a któregoś z was nie, to pamiętajcie o Grzegorzcu. Nigdy nie wiadomo, co mu strzeli do głowy. Znacnie go.

– Dlaczego mieliby was od razu aresztować? – pytanie zawisło nad nami w papierosowym dymie, wrysowało się w popielatą barwę powietrza, w zapach dymiących jeszcze świec.

I znowu po raz drugi tego dnia wiedziałam na pewno – to się już kiedyś zdarzyło: my w czwórce ogarnięci lękiem, pochyleni nad stołem, w świetle spuszczonej nisko lampy. Na blacie ostry krąg bieli, w której świecą szklanki, a wyżej nasze oczy, meble tonące w półmroku. Ciekawe, że na korytarzu, przy drzwiach wejściowych także właśnie kontrast w oświetleniu spełnił identyczną, wywoławczą rolę. To on zadecydował o sile powrotu.

Zostaliśmy odbici od jakiegoś tajemniczego brzegu? Nie było to przyjemne uczucie, coś jakby błysk flesza wprost w zaskoczone źrenice. Zmarły mi stopy. Od balkonu ciągnęło chłodem. Zapomnieliśmy w tym roku poutykać między ramy pasma gąbki. Ale któż by myślał o takich drobiazgach, kiedy historia przez cały rok rzucała nami w górę lub tłukła o ziemię?

* * *

W trakcie nocnego czuwania chętnie wracałam do rzeczy, sprzętów, które mi towarzyszyły od dzieciństwa. W świecie zaprzyjaźnionych przedmiotów zło wydawało się mniej realne. Meble wchodziły w konspiracyjny układ z czasem, oswajały jego dzikość, zabudowywały go.

I tak na przykład sprawnie wymieniłam swoje późne dzieciństwo na pokój z dwoma oknami. W każdej chwili mogłam wstać z łóżka, minąć ciemny korytarz i wejść do tego wnętrza, aby sprawdzić wiarygodność własnej pamięci.

Zapach szkolnych podręczników: kiedy wertowane – z chrzęstem odsłaniały po raz pierwszy swoje barwne wnętrza, jedwabny połysk zeszytów czekających na pióro, woskowany, śliski papier na owijki, który zawsze wybierałam bardzo starannie, bo nie było obojętne, jaki kolor będzie dźwięczał na sobie na przykład zeszyt do matematyki – to wszystko razem, te uczniowskie rytuały, rozgrywające się zawsze pod koniec sierpnia, były celebrowane na czarnym stole stojącym pod prawą ścianą. Stół miał na środku jedną rzeźbioną nogę i głęboką szufladę. Był meblem o zagadkowej przeszłości, pozostałością po wielkiej, magnackiej fortune. Straciwszy swoje stałe miejsce pobytu, wędrował po ludziach potrzebujących. Mnie towarzyszył przez całe lata pięćdziesiąte. Wisiał nad nim w szerokiej ramie olejny obraz: żółk-

naące brzozy na podmokłych łąkach. W trakcie wkuwania wzorów lubiłam odrywać wzrok od książki i uciekać w jego malowane światło. Pod stopami ugiwała się nasiąknięta wodą trawa, gorzko pachniały opadnięte liście. Często zdarzało się, że te wędrówki kończyły się wierszem. Skrętnie chowałam go na dno szuflady. Poza stołem miałam w tym pokoju do wyłącznej dyspozycji jeszcze jeden mebel, pełną połysków etażerkę. Zamki i uchwyty zdobiły secesyjne okucia, półki pachniały nie wiadomo czemu ziołami, mimo że trzymałam na nich tylko książki i przywiezione z wakacji trofea – kamyki, muszelki.

Właśnie o tę szafkę opierałam się plecami przez całe kwadransy, gdy mój chłopak, Filip, mieszkający naprzeciwko, puszczał do mnie ze swojego okna na stryżku (urządził tam sobie warsztat) ostre smugi reflektorem. To było jego miłosne SOS. Światło gasło i zapalało się, płonęło, tętniło, pulsowało, jak serce ponad czarną ulicą, na której w ciszy szumiały drzewa. Okucia wpijały mi się w plecy tuż nad łopatkami. Nie wiem już, co myślałam w trakcie tych cowieczornych seansów, ale za to moje oczy doskonale pamiętają błyski lampy, prawa dłoń chłód parapetu okiennego, a plecy kształt zdobień z szuflady. Teraz, gdy stanę w tym samym miejscu, w kącie pokoju między szafką a parapetem, nie zobaczę już okna Filipa, zasłania je korona topoli. Jej gałęzie nie towarzyszą już mojej pamięci, są o wiele młodsze.

Pokój oświetlony lampą z zielonym abażurem, pachnący słomą, którą były wypchane materace, atramentem, farbą drukarską, wodą kwiatową – jest dla mnie do dziś częścią mnie samej. Ciało tego pokoju jest moim ciałem. Starzejemy się razem. Często dotykam z lękiem, którego nie umiem opanować, matowych, lekko spękanych drzwi etażerki. Ostatnio odkryłam, że wykruszył się z nich kawałek okucia. Wmówiłam sobie, że to dlatego, iż matka nie dba o meble, nie czyści ich, nie natłuszcza. Ale sama wiem, że to nieprawda. Szafa jest po prostu stara.

Zamykałam się często w swoim pokoju przed szaleństwami ojca. Słyszałam, jak tłukł się po mieszkaniu, trzaskał drzwiami, krzyczał na matkę. Dopiero w parę lat później zrozumiałam, że ta jego bezsensowna samotność, bo nigdzie ani przy biurku, ani w fotelu, ani w pokoju jadalnym nie umiał sobie znaleźć miejsca, była jedynie słabym odbiciem jego prawdziwej samotności po ponurych wnętrzach lat pięćdziesiątych.

Oto na jego oczach wszystkie „nagie prawdy”, „niezbite dowody”, którymi dysponował i jednoznaczne fakty przestawały się liczyć. Złe szkoły okazywały się dobre, dobre okazywały się złe. Jeszcze wprawdzie walczył z uporem o „kształt polskiej szkoły”, poziom matur, o niezmiennie normy etyczne, prowadził różne, długotrwałe batalie, ale już nie wierzył w ich zwycięstwo. Był osaczony. Przypominał wielkie, ranne zwierzę. Jego szeroko sklepiona głowa, opadające na czoło włosy, przekrwione gałki oczne pod nastroszonymi brwiami, jego energia budziły we mnie fizyczny lęk. Matka uciekała najczęściej do szkoły. Zawsze podejrzewałam, że siedziała w niej dłużej, niż musiała. Któregoś wieczoru przeniosła swoją pościel do mojego pokoju. Odtąd sypiałyśmy razem, ledwo to zauważył. Opanował środek mieszkania, trzaskał drzwiami, rozbierając się rzucał głośno butami o podłogę, szukając jakichś notatek wywalał z wnętrza biblioteki książki, zdarzało się, że wpadał na krzesła, przewracał je, dzwonił pękiem kluczy ładując je do zapchanej teczki.

Ja z matką zainstalowałyśmy się w prawym skrzydle mieszkania. Ciotka Bacha w lewym. Urządziła tam sobie mały, nie ogrzewany pokój tuż przy kuchni. Lubiła ciszę i swoją pracę.

Marnuje się, mówiono o niej w domu. – Tak zniszczyć własną biografię, to powinno być karalne – powtarzał ojciec. Bacha jednak (w przeciwieństwie do niego) nigdy nie robiła wrażenia człowieka, który czuje się w życiu źle. W swoim okienku na poczcie była „u siebie”. Miała wyjątkowe zdolności językowe. Znała dobrze niemiecki, francuski, niezłe angielski, umiała się dogadać po włosku, rosyjsku. W wieku szesnastu lat, łamiąc opory rodziny, zaczęła pracować w rozmównicy. Właściwie przez całe życie pracowała tylko na dwóch poczcie, na poczcie głównej w Poznaniu, a później w Gdańsku.

Kiedy byłam dzieckiem, wydawało mi się, że okienko, przy którym siedziała, było sercem

gmachu. Zabierała mnie często ze sobą, gdy rodzice na dłużej wychodzili z domu. Poczta wyglądała jak teatr. Miała kolumny, wysokie schody i ogromne, wahadłowe, szklane drzwi. Siedziałam na krześle koło Bachy. Z tej strony lady ludzie z holu biegający, stojący w ogonkach, zdenerwowani, wypisujący coś na pochylonych blatach przypominali aktorów na scenie. Lubiłam na nich patrzeć. Zauważyłam, że gdy zaczynała do nich mówić, natychmiast się uspokajali. W jej błyskawicznych, ściśle odmierzonych ruchach czuło się rutynę. Nie było pośpiechu, tylko celowość. Przy okienku ciotki kolejka posuwała się dwa razy prędzej niż przy sąsiednich. Prawie niezauważalny ruch dłoni i album ze znaczkami otwierał się akurat tam gdzie potrzeba, w tym jednym, jedynym miejscu, gdzie leżały znaczki na pocztówki, druga dłoń sięgała po blankiet na telegram, a w pamięci Bacha podsumowywała już kwotę, którą klient miał zapłacić. Potrafiła robić trzy, cztery rzeczy jednocześnie. W trakcie przyjmowania pieniędzy zamawiała rozmowy telefoniczne. Obsługiwała małą centralkę. Manewrując sprawnie kablami mówiła swoim niskim, melodyjnym głosem do jakiejś Józki czy Krysi z drugiego końca Polski: – Dziękuję. Łączę. – I głośno – Warszawa, druga kabina. – Po chwili: – Proszę mówić. – Ludzie z holu wzywani przez nią nie zrywali się w panice i nie biegli przedko, w hysterii, że rozmowę rozłączą. Wszystko odbywało się bez zakłóceń. Nigdy nie słyszałam, aby odezwała się do kogoś podniesionym, albo choćby niecierpliwym tonem. Słowa ciotki były odmierzone, tylko te jedyne, niezbędne. Kiedy się zmęczyłam, przemyślałam oczy i wtedy dźwięki dochodzące z wnętrza okienka układały mi się w całą frazę muzyczną: terkot wykręcanej tarczy, bicie pieczętki, sygnały telefoniczne, szelest wydzieranych z arkuszy znaczków, głos ciotki coraz cichszy i znowu rytmiczne uderzenia datownika, raz, dwa, trzy, wertowanie kopert, brzęk tłukącego o siebie bilonu, szelest pieniędzy.

Dla mnie sześciolatniej nie ulegało wątpliwości – ciotka była na poczcie niezbędna! Nigdy nie podzieliłam opinii ojca: – Co to za los, osiem godzin dziennie tłuc datownikiem! – Bacha nie polemizowała z nim. Przyglądała mu się tylko uważnie, z uśmiechem, jakby posiadała jakąś tajemną wiedzę o życiu, której on nigdy nie zdobędzie.

Powoli przewlekły stan zapalny, który od kilku lat pożerał kraj, wtargnął także do naszego domu. Ciotkę męczyły zwłaszcza wybuchy ojca i długie opowieści matki, jak go szykanują, wykańczają, szlochą, że go wsadzą lub wyrzucą z pracy, że znajdziemy się wszyscy „na bruku”. Zauważyłam, że Bacha wypracowała sobie sprawny system obronny. Zaczęła tak cicho wchodzić do mieszkania, że nigdy nie wiedzieliśmy, czy jest u siebie, czy nie. Niekiedy nocowała poza domem, lub wracała, gdy rodzice już spali. W najtrudniejszym okresie, kiedy przenoszono ojca z kuratorium do szkoły i kiedy odrzucono jego pracę o Mickiewiczu pod groźnym zarzutem, że odzwierciedla „idealistyczne fluktuacje” i jest obca klasowo, ciotka spróbowała zmienić atmosferę w domu. Po kolacji (ojciec nie odezwał się ani jednym słowem, jadł gwałtownie, byle prędzej odejść od stołu, jakby to nie system, nie władze oświatowe i recenzenci byli przyczyną tej klęski życiowej, tylko my) siadła do fortepianu i zaczęła grać. Światło świec biegało po jej dłoniach, refleksy ciepłego brązu płynęły po politurze jak słońce po rzece:

Przybądź do mnie, dam ci kwiat paproci
zerwany w borze o nocnej porze.

Nuciła cicho swoim niskim, ciepłym głosem. Próba się nie powiodła. Ojciec wtargnął do jadalni, wrzasnął: – Przestań wreszcie bębnić! – i wyszedł, trzasnąwszy drzwiami. To było wszystko. Dla zachowania pozorów swojej niezależności – zagrała jeszcze, ale już znacznie ciszej, jedno z preludium Chopina i z westchnieniem zamknęła swój przedwojenny, cudem odnaleziony fortepian, inkrustowany masą perłową.

Przypuszczam, że wtedy właśnie zapadła ostateczna decyzja. Parę tygodni później oświadczyła matce, że się przenosi do Gdańska. W rozmównicy potrzebują kogoś, kto zna języki, od wielu miesięcy nagabują ją, molestują. Lola już tam jest od dwóch lat i właśnie teraz znalazła dla ciotki odpowiedni pokój w Oliwie.

– Ja się tu duszę, rozumiesz? – tłumaczyła. – Ja nie mogę żyć w takiej atmosferze. Jest na świecie tyle pięknych rzeczy, a wy stale o tym samym: wykończą. I bez przerwy ta szkoła! W tym domu nie można normalnie oddychać. Będę miała morze, piasek...

– A fortepian? – spytała matka z nadzieją w głosie. – Co zrobisz z fortepianem?

– Sprzedam i wprawię sobie zęby.

– Przecież to fortepian od ojca, jedyna pamiątka!

– No to co! Jest mój? Jest, więc go sprzedaję. Muszę mieć zęby. Fortepian nie będzie mi zmieniał życia. To tylko przedmiot. Co mi zresztą po fortepianie, na którym nie mogę grać!

– Dałabys spokój, możesz grać, jak Czecha nie ma w domu, wiesz przecież, co się teraz na niego wali.

– Na niego się wiecznie coś wali, widocznie to lubi.

– A Bogusia? – nie rezygnowała matka.

– Pupuś? Będzie do mnie przyjeżdżała na wakacje.

Dopiero pospieszna ucieczka ciotki z naszego domu, pakowanie walizek, nadawanie ich na bagaż, ukrywana, ale wyraźnie wyczuwalna radość Bachy, że wreszcie zaczną żyć inaczej, uświadomiła mi w pełni ponurość naszego bytowania. Ojciec nie umiał się cieszyć, drobne, codzienne sprawy nie dotykały go. On obracał się w innym wymiarze. W wymiarze idei i dróg do nich prowadzących. To był jego żywioł. Wyobrażałam go sobie na pustej scenie, oświetlonego reflektorami, w kole światła. Jednym gestem dłoni zmienia dekoracje, dyryguje ukrytymi nad sobą, pod sobą i za kulisami ludźmi, którzy otwierają zapadnie, puszczają w ruch scenę obrotową lub spuszczaają z góry nowe pejzaże. Ale to były tylko marzenia.

– Teraz naraził się już dokładnie wszystkim – podsumowała matka przed samym wyjazdem ciotki. Zobaczyłam to dosłownie – owi niewidoczni dotąd operatorzy, dyrekcje, egzekutywy, „czynniki wyższe” zaczęły go spychać ze sceny. Najpierw wygasili światła. Ojciec zszedł w podziemia tego wielkiego teatru, jakim jest życie. Jeszcze przez wiele lat miał nadzieję, że jego los się odmieni. Nie mógł uwierzyć, że tak już zostanie do końca, tak bezsensownie i jałowo.

Dużo się w tamtych czasach uczyłam. Przedmioty ściśle sprawiały mi kłopot. Zamykałam się w swoim pokoju i wkuwałam, lub wymykałam się z domu, aby w tajemnicy przed rodzicami, gdzieś w parku, lub w ciemnej uliczce spotykać się z Filipem. Niewiele obchodziły mnie wtedy racje ojca, który na przekór czasom, w jakich żył, zaczął w przerwach między poprawianiem zeszytów a lekcjami pisać wielotomową rozprawę: „Ideał człowieka w pochodzie wieków”. Miała być dziełem jego życia. Nigdy jej nie ukończył.

Jaki sens miały moje nocne czuwania po trzynastym grudnia? Nie chciałam, aby nas zaskoczono. Najpierw powinnam usłyszeć kroki po schodach (zazwyczaj robili rewizję we dwójkę), później krótką rozmowę pod drzwiami, sprawdzenie nazwiska na wywieszce, dopiero potem dzwonek. W sumie dałoby mi to około dwóch minut, zdążyłabym się uspokoić, przynajmniej na tyle, aby nie dostrzegli przerażenia. Tego bałam się najbardziej. Otwieram drzwi, przepuszczam ich przodem do sypialni i mówię specjalnie wolno: – Panowie do nas. Proszę. – Przez całą noc, co pewien czas powtarzałam w myślach te wszystkie czynności po kolei.

Czy ojciec wtedy w pięćdziesiątym pierwszym, przewracając się niecierpliwie z boku na bok (słyszałam skrzypienie sprężyn, matka też musiała je słyszeć) nasłuchiwał tak samo jak ja teraz zgrzytu hamulców pod bramą, stukotu zatraskiwanych jednocześnie z dwóch stron drzwiczek auta?

* * *

Znowu wyświetlili ten film w telewizji. Pierwszy kadr nieco pochylony, wrażenie, że filmujący biegnie z kamerą pod obstrzałem, takie lekkie, ale jednak widoczne rozedrganie

drzew, chmur, pięter. Jeszcze można mieć wątpliwości, czy to naprawdę nasz dom, to przeświecone widmo, zjawia sprzed trzydziestu sześciu lat. Ale zaraz zbliżenie, charakterystyczne, półokrągłe wykusze biegnące przez środek gmachu, od pierwszego piętra do piątego. Gabinet ojca ma taki właśnie wysunięty ku jezdni, zawieszony nad nią jak mostek kapitański, dodatkowy kawałek przestrzeni. Wzdłuż parteru z obu stron bramy biegną dwie białe strzałki, znak, że budynek miał własny schron. Straszły jeszcze w wiele lat po wojnie. Ujęcie z góry (może z naszego mieszkania): środkiem jezdni pędzi pochylony, jakby chciał przypaść do bruku, żołnierz. Ruch po drugiej stronie ulicy, zza drzew od strony Politechniki opancerzone auta i nagle z wieży uczelni, okrągłej, przykrytej czapą czarnych dachówek seria z erkaemu, później stado gołębi. I jeszcze raz kamienica. Na tynku są teraz ślady pocisków, duże ropiejące rany. Drugie piętro, nasze okna, szyby, za nimi te same co teraz deski, podłogi, ściany pokoi, drzwi, przestrzeń, w której żyjemy, ale jeszcze bez nas, wypełniona innymi zapachami, sprzętami. Oglądaliśmy ten film o bitwie o Poznań w 45 roku już parokrotnie.

Dzieje rozłożystego, w półokrąg biegnącego mieszkania z oknami na południe, wschód i zachód, widokami na rynek, topole i dwie wieże: od południa gmachu Politechniki, od wschodu kościoła pod wezwaniem Królowej Matki – są nierozzerwalnie związane z naszą rodziną. Tworzymy jedną oddychającą przestrzeń, zanurzoną w ciemnej, peryferyjnej dzielnicy, choć wokół są drzewa, zieleń skwerów, rozłożyste łąki spływające ku pobliskiej rzece, czuje się tu wyraźnie bliskość dwóch ogromnych zakładów przemysłowych. Oddychają nad nami. W powietrzu przewalają się stosy sadzy od strony Cegielskiego, czarno-białe kłęby dymu i pary z Zakładów Naprawy Taboru Kolejowego. Syreny fabryczne o szóstej, drugiej, dziesiątej regulują nasz czas. Tłumy robotników przepływają chodnikami, a potem ciasno zbite przejeżdżają za oknami kuchni w klekoczących, zgrzytających na zakolu rynku tramwajach. W okresach hysterii wojennych ojciec złowróźnie powtarza: – W razie czego wylatujemy w powietrze od razu pierwszego dnia.

Wystarczyłoby, aby rodzice po wojnie zamieszkali w innej dzielnicy, a całe moje życie byłoby jak nie moje, inne szkoły, przyjaźnie, miłości, inna wyobraźnia. Czy to byłabym ja? I która ja?

Chcę wierzyć, że jest w nas szczelnie ukryty, ale jest – schemat, jakaś matryca, według której odbijamy nasze biografie. Ale skąd się bierze w takim razie ten lęk, który wraca najczęściej nocą, gdy leżę już na dnie mroku – przedmiot, który wrzucono z wysoka między przypadkowych ludzi, brany z rąk do rąk, tłuczony i na powrót składany?

Czas aż dwukrotnie uderzył nami o to samo mieszkanie: w 39 i 45 roku. Mogłoby się wydawać, że jesteśmy na nie skazani i możemy żyć tylko w jego przestrzeniach.

W roku trzydziestym dziewiątym rodzice zostali do niego przesiedleni ze śródmieścia na peryferia, wyrzuceni z własnego na cudze w ciągu dziesięciu minut. Zostawili za sobą całą młodość, księgozbiór pachnący gorzko łupinami orzechów, huculskie kilimy, które przywieźli z podróży poślubnej, alabastrową figurkę Wenus w kąpielni (stała we wnęce kaflowego pieca) i krążące w świetle pokoi, nieuchwytnie jak cienie pszczoł słowa z ich nocnych rozmów. Po miesiącu wyrzucono ich ponownie. Tym razem już do jednego pokoju z kuchnią, gdzieś daleko aż za torami kolejowymi.

W styczniu 45 roku matka przedarła się z wyzwolonego przedmieścia do stale jeszcze bronionego przez Niemców centrum. Zrobiła to w tajemnicy, ryzykując życiem, aby tylko spojrzeć na swoje przedwojenne mieszkanie, na rząd okien. Może chciała sprawdzić, czy są w nich firanki, czy Niemcy już uciekli, czy jeszcze nie? Zobaczyła tylko dach. Po dwóch dniach przyszła ponownie. Tym razem dachu już nie było! Zaczęła biec. Między dwiema rozwalonymi ścianami sypialni płonęło niebieskie, rażące w oczy zimowe niebo. Złoty arkusz odklejonej tapety bił o cegły, łopotał jak mokra chorągiew.

Nie mieli dokąd wracać. I wtedy, przypuszczam, postanowiła, że przeprowadzimy się z powrotem do mieszkania z 39 roku. Przestrzeń tego domu odpowiadała marzeniom matki o

nowych perspektywach życiowych. Ale nie było to wcale proste. Ojciec uparcie powtarzał: – Nowa władza sama przydzieli mi odpowiednie locum!

Po kilku tygodniach awantur zajechaliśmy jednak rozklekotanym wozem, zaprzęgniętym w kościstego konia przed bramę z dwiema białymi strzałkami. Siedziałam na koźle i pamiętam, jak tłukł się za nami po bruku cały nasz dobytek ściągnięty sznurkami, pasami, brzęczały wiadra i dzwoniły wygłuszone balotami garnki. Byliśmy jak osadnicy zdobywający nowy teren.

Odtąd mieszkanie niosło nas jak stara łajba, skrzypiąca podłogami po wzburzonym morzu.

* * *

Rano gwałtownie zatęskniliśmy za otwartą przestrzenią. Zapach śniegu, gdy tylko uchyliłam okno, wypełnił cały pokój, słońce uderzyło w piekące od niewyspania oczy, rozszczepiło się w strugach kurzu, który nie osiadł jeszcze ponownie na książkach, tylko wędrował, zataczał koła i powoli stawał się dla mnie niebezpieczny. Należało wyjść. Jung czekał na taranujące parapet synogarlice, na wieży kościelnej czysto, nieomal jak na wsi, dzwonił zegar. Ogarnęła nas radość. Rewizji nie było! Może uda nam się przemknąć niepostrzeżenie gdzieś boczkiem po obrzeżach historii, może ukryjemy się przed nią w naszym dwuwejściowym mieszkaniu i zapomną o nas? Bo jakim w końcu zagrożeniem jesteśmy dla uzbrojonej po zęby armii? Absurdalne wydały nam się nocne lęki, teraz, w pełnym słońcu, śniegu, w normalnej krzątaninie, widocznej z okna, która działa się na rynku. Straganów było wprawdzie mniej, ale ludzie coś tam w nich kupowali, włoszczyznę, kiszzone ogórki. W domach pyrkotały wywary na zupy, kartofle. Życie toczyło się dalej. Nagle uspokojeni, z wyrównanym narzeczcie oddechem, w poczuciu, że musimy przyjąć do wiadomości czołgi, wozy pancerne, nawet żołnierzy z ostrą bronią, chodzących trójkami, stojących trójkami na rogach ulic – usiedliśmy naprzeciwko siebie i po raz pierwszy od dwóch dni spokojnie wypiliśmy kawę. Jung położył się na mojej lewej stopie. Opracował sobie nowy rytuał. Teraz będzie go strzegł i co rano odtwarzał. A przecież nie może mu być wygodnie z moim twardym papciem pod brzuchem.

– Zwariował? – zaniepokoił się Edek. – On coś knuje...

Niewątpliwie był to sposób na unieruchomienie mnie, metoda na moje kręcenie się, chodzenie do okna, przysiadanie na poręczy fotela, wędrowki do drzwi, nadśłuchiwanie czy ktoś nie idzie, wyglądanie przez balkon. Dzień wcześniej, kiedy nie mogłam usiedzieć na miejscu, obszczał mnie nagle basem, zwymyślał i włożył do budy. Długo nie mógł się uspokoić, kręcił się, posapywał, kichał, na koniec szczechnął kilka razy cienko przez sen.

Żywiół psa został rozregulowany. Żywiół ogrodu także. Nie przewieźliśmy do piwnicy kłączy dalii. To był doskonały pretekst, aby wyrwać się z domu.

Oślepiająca biel otwartych płaszczyzn, rzeka skuta lodem i nasza nasłoneczniona, hałaśliwa wesołość. Wieźliśmy na sankach pożyczonych od sąsiadów worek pełen kłączy. Resztę upchaliśmy do pomarańczowego plecaka. Na kozuchu Edka wyglądał jak zwinięty spadochron. Jung biegł przed nami z mordą pełną śniegu i co kilkadziesiąt metrów nieruchomiał, podnosząc w górę którąś z łap. Trzeba mu było wyrwać kulki lodu wmarznięte między pazury. Darł się przy tym niemiłosiernie. W końcu nie było innego wyjścia, musiałam go nieść, bo na sankach nie chciał siedzieć. Niewątpliwie był to przerasowany degenerat.

Wyglądaliśmy podejrzanie z tymi tobołami i pekińczykiem dla niepoznaki. Mogliśmy przewozić powielacz, ulotki... Minęliśmy trzy patrole, jeden wyłonił się nagle zza oszronionych topól. Gdyby nas zrewidowali, opatulone szmatami i gazetami kłącza przemarzłyby. Byłaby to niewątpliwie strata, bo dalie dorodne, bordowe z ognistymi językami, ale cóż za przeżycie! Grzebałoby długo wśród ich falusowatych kształtów, pobrudziłoby ręce, ziemia weszłaby im pod paznokcie, poczuliby jej ciepło, jej zapach... O czym by mówili? Niebezpiecz-

na ciekawość. Przyjrzeć im się z bliska, tym marsjanom w mundurach, ich broni noszonej przeciwko nam, ich twarzom. Jakże mieliby oczy zatrzymując nas? Czy byłiby speszeni, czy wręcz przeciwnie, pewni siebie, rozkazujący? Co myślą? Wypełniają tylko rozkazy, czy się z nimi solidaryzują? Rzeczywiście wierzą, że zabezpieczając nas przed nami, ratują kraj? A gdyby tak z nimi porozmawiać? Mijali nas obojętnie, patrząc ciężko gdzieś ponad, w białą przestrzeń. Oczy mieli zaczerwienione, twarze ściągnięte mrozem, o ostrych rysach. Uderzyła mnie ich młodość. Chłopcy. Niewiele starsi od moich uczniów. Przestaliśmy się śmiać. Znowu po raz któryś z rzędu poczułam, że moje gardło, płuca wypełniają się z wolna ostrym, kłującym kryształem. Nie mogłam złapać oddechu. Tylko ta biel przed nami nienaruszona, czysta, pękała pod butami, chrzęściła. Miasto się zbliżało, podpływało dachami jak zmarznięte morze. I w tej oślepiającej czystości taki ciężar, niezrozumiała czerń.

Minęliśmy następną trójkę. Ci byli jeszcze młodszy, popatrzyli na sanki, na plecak, dostrzegłam w ich oczach popłoch, gonitwę zmieniających się decyzji. Powinni nas zatrzymać. Nie zatrzymali.

W czasie wojny, któregoś upalnego dnia, Bacha wędrowała tą samą drogą. Bułgarzy mieli tu duże ogrodnictwo. Dzięki znajomościom kupowała u nich jarzyny. I oto niosła do domu dwa ogromne kalafiory. W myślach już jeden z nich wrzucała do wrzątku, wystający z wody czubek posypywała szczyptą cukru, by zgasić gorzkość, gdy nagle na pustej, zacienionej topolami szosie pojawiła się Niemka w fioletowym turbanie. Zabiegała ciotce drogę raz z prawej strony, raz z lewej – pytając po niemiecku, natrętnie: – Skąd pani ma takie piękne kalafiory? – Bacha przyspieszyła. Polakom nie wolno było kupować u Bułgarów. Niemka wydawała się znajoma. Mogła wiedzieć, że ciotka jest Polką. – Skąd pani ma... – to trwało. Wystarczyłby jeden żołnierz niemiecki, policjant. Bacha odwróciła się nagle, zmierzyła Niemkę groźnie od stóp do głów, wykrzywiła twarz w konwulsyjnym skurczu, lewy policzek i lewy kąt wargi przesunęły się w prawo, i ryknęła rozdzierająco, bełkotliwie. Wielokrotnie pokazywała, jak to zrobiła, jak wrzasnęła. Kobieta uciekała truchcikiem. – Tylko za nią furczało. – Wzięła Bachę za niebezpieczną furiatkę.

– Na każdego można znaleźć sposób – powiedział Rynio, gdy mu kiedyś odtworzyłam tę scenę. – Jak się ma metodę, to nie ma strachu.

Jakże należałoby znaleźć słowa, by unieruchomić tych chłopców z ostrymi nabojami? – zastanawialiśmy się, jak ich zatrzymać? Przypuszczam, że trzy czwarte kraju myślało o tym samym. Czy będą strzelać? Czy naprawdę zaczną do nas strzelać? Czuliśmy nieomal w powietrzu, w mroźnej, słonecznej przestrzeni ciężar tego pytania, oddychaliśmy jego literami, uwierały w krtani. Krwawiły. Oni i my. Próba sił. Walka na spojrzenia. Niektórzy z nas patrzyli im prosto w oczy, długo, kto pierwszy spuści powieki, taka gra na wytrzymałość. Większość jednak omijała żołnierzy wzrokiem, jak latarnie, kosze na śmieci. Wyglądało na to, że już sam ich widok, ich mundury, czapki sprawiają ból. Bo kim oni teraz przede wszystkim byli? Synami, mężami, czy żołnierzami? Ludzie chodzili z tymi pytaniami po ulicach, po fabrykach, pracowali z nimi, oglądając przez okna lufy czołgów.

Niewykonanie rozkazu i wykonanie rozkazu, jedno i drugie było nie do przyjęcia. Postawić tych chłopców przed koniecznością wyboru. Kto to miał zrobić?

Praca z młodzieżą pozbawiła mnie lęku przed nią. Wydaje mi się, że potrafię obezwładnić słowami każdego chuligana. Mam taką irracjonalną, niczym nie umotywowaną pewność. Grupy wyrostków na rogach ulic, na rynku, w środku nocy nie wywołują u mnie normalnego odruchu, aby przejść na drugą stronę jezdni. To samo dotyczyło tych chłopco-żołnierzy z Łęgów Dębińskich: Edward zaczął mi gwałtownie tłumaczyć, że nie mam pojęcia, czym naprawdę jest wojsko. Trzeba dopiero połknąć kilka szklanek własnego potu, nauczyć się przekłuwać pęcherze na piętach od onucy i na dłoniach od saperki, którą każą ci się okopać w ciągu paru minut, poznać na własnej skórze całe chamstwo tych bydlaków od władzy, zwłaszcza kaprali, aby wiedzieć, co się robi z człowiekiem w koszarach. Większość tych umundurowa-

nych smarkaczy wykona każdy rozkaz.

– Musisz to wreszcie zrozumieć! – pokrzykiwał na mnie, przyspieszając.

* * *

Przede wszystkim zaskoczenie. Nie strach. Jakby stuknięto mnie palcem w ramię: – No! Teraz ty, skacz!

My w drzwiach z worem kłaczy, z sankami, plecakiem, psem, który wprawdzie lał sam po schodach, tłukąc z determinacją o każdy stopień kulkami z lodu przymarzniętymi do długich kłaków na łapach i brzuchu, pełen hysterii, że mu to już tak zostanie na zawsze, takie dzwonięcie, rabanie przy każdym skoku, a na korytarzu, w półmroku zaczajony ojciec. Trzymał się wieszaka na płaszcze i powtarzał mechanicznie, w kółko to samo: – Stało się nieszczęście. Nieszczęście jest. Stało się... – Przyszli po mnie. Zostawili wezwanie: – Stawić się natychmiast!

Za dyrektora? – pomyślałam. Wyrzuciliśmy w czerwcu ze szkoły ich człowieka. W głosowaniu wstrzymało się jedynie pięciu członków Rady Pedagogicznej, Kuratorium musiało ustąpić.

Wyjmą mnie teraz jak drzazgę, opiłek żelaza. I rzeczywiście poczułam ucisk w klatce piersiowej, jakby szarpnęła mnie w górę ogromna pinceta: sekunda, a podłoga ucieknie spod stóp. Nie uciekła. Weszłam do pokoju, czując pod stopami dobre, twarde deski. – W przysionku chrzestczą mekintosze – powiedziałam, wrzucając do torby ciepłą bieliznę i dwa grube swetry. – Jeszcze coś na gardło. Poszukaj mi, gdybym się przeziębila. – Z apteczki wyleciały tubki, proszki opakowane w celofany, ślizgały się po podłodze, spadły pod kanapę. Zbieraliśmy je na kolanach. Jung mógłby je zeżreć i następne nieszczęście gotowe.

Ojca zostawiliśmy chodzącego rytmicznie między oknami wykuszu. Z dołu wyglądał jak wielka ryba w akwarium. Przylepiał twarz do szyby raz z prawej, raz z lewej strony. Jeszcze nie odjechaliśmy, a już czekał na nas. Popędzał nas z góry, ze swojego mostku kapitańskiego.

W roku 51 tak samo wędrował od ściany do ściany podglądając ulicę. W każdej chwili mogła pojawić się na niej szara pobieda, wyhamować przed bramą...

Zawirowanie czasów, spirala. Teraz ja jestem na niej, nieważne czy lecę w górę, czy w dół, istotne, że mijam ten sam punkt w biografii.

I nie zjechałam z ronda w prawo, jak powinnam. Edek nie krzyknął: – Co robisz! – tylko dotknął lekko mojej dłoni na kierownicy. Tak mało czasu mieliśmy ostatnio dla siebie!

Czy się bał? Bał się o mnie? Że wpadnę w depresję, że się zeszmacę, powiem coś, czego później będę żałować, że zacznę prosić, podpiszę jakąś lojalkę? Był przecież raz świadkiem mojego żenującego zachowania na ćwiczeniach. Obląłam kolokwium z niemieckiego i tego samego dnia dowiedziałam się, że muszę jeszcze zaliczyć nauki pomocnicze. Rozplakałam się. Pamiętam zaskoczoną twarz asystenta. Moja dziecinna „czarna rozpacz” wprawiła go w taki popłoch, że natychmiast podpisał mi indeks.

– To nie było w porządku – powiedział Edward. – Zgwałciłaś człowieka!

Przecinając oblodzone szyny mozolnie zataczałam nowe koło po rondzie. W tym momencie dopiero uświadomiłam sobie, że poruszanie się samochodem po mieście jest zabronione. Rondo bez świateł, aut bardziej przypominało strzep snu, z którego nie można się obudzić, niż najruchliwszy punkt w mieście.

Gmach UB, który Rynio próbował podpalić w 56 roku; od tamtego czerwca już dwukrotnie położono na nim nowe tynki. Serie z broni, odpryski na murze, które Poznaniacy oglądali gromadnie przez kilka pierwszych miesięcy, dawno zniknęły. W niedziele całe rodziny z dziećmi pielgrzymowały do tego miejsca, aby naocznie stwierdzić rozmiar nienawiści, nasycić się jej smakiem. Wprawdzie tylko nieliczni stawali przed gmachem, głośno komentując ślady walki, pokazując je sobie palcami. Większość obchodziła wkoło kwadrat ulic, zwalnia-

jąc jedynie przed głównym wejściem i jak na komendę: – Na lewo patrz! – odwracała głowy, aby w skupieniu ocenić rozmiar szkód, natężenie strzelaniny.

Szary dom w rzędzie szarych domów, na lekko pochylonej jezdni. Od momentu, gdy przy wejściu odebrano mi dowód, czułam się jak przedmiot, którym ktoś gra. Widziałam kiedyś pojedynek prowadzony na szachownicy wbetonowanej w park. Partie rozgrywano pionkami wielkości człowieka. Partnerzy przesuwając je biegali ciężkim truchtem między czarno-białymi polami. Układ korytarzy był tu jasny, jak w normalnym biurowcu, numeracja izb nie, wyraźnie stosowano szyfr. Mieli tu własne reguły. Przyszłam w nietypowej porze. Wydawano akurat obiady. W funkcjonowaniu gmachu dawały się wyraźnie wyczuć zakłócenia rytmu. Teraz grały jelita i bębniły żołądki.

W pierwszym pokoju, na parterze, byliśmy we trójkę. Zostawili nas samych przez czterdzieści pięć minut. Mężczyźni denerwowali się bardziej ode mnie. Po paru minutach milczenia okazało się, że jeden z nich był drukarzem, przewodniczącym „Solidarności” z Zakładów Graficznych, drugi sekretarzem partii z miejscowego tygodnika kulturalnego. Drukarz pocił się intensywnie i co parę sekund powtarzał, wyraźnie trenując przed przesłuchaniem: – Ja tylko sprowadzałem dla załogi jabłka i kartofle. Kartofle i jabłka, więc co? Co chcą. Ja tylko kartofle i jabłka! Przecież kartofle i jabłka...

– Tyle tylko, że jabłka...

Sekretarz (znał mnie z widzenia z gmachu prasy) myślał głośno: – Za wywiad z Wirpszą? Byłem w Berlinie Zachodnim i zrobiłem z nim wywiad. Sympatyczny. Brodac. Jak pani myśli, chodzi im o wywiad? – Nie słuchał odpowiedzi. – Możliwe, bo co by innego? Nagrywałem go, w druku przeszło. – Wreszcie otwarto drzwi. Dwóch:

– Najpierw tę panią. Proszę iść za mną.

Schody, korytarz, schody, znowu korytarz i długi poczwórny ogonek. Jeszcze czekają na obiad? Zapach tłustego sosu. Stoją i rozmawiają. Ilu ich tu jest? Setka, trzy setki? Przeważnie młodzi, z brodami, wąsami, lekko podnieceni. Przyglądałam się im uważnie, aby choć kilku spamiętać. Ale to bezcelowe, było ich za dużo i wszyscy podobni, bez żadnych cech charakterystycznych, tłum mężczyzn. Zresztą odwracali twarze na nasz widok, wolno, wolniutko do ściany, niby w ferworze dyskusji. Taki powolny, jednostajny ruch od końca ogonka, aż do jego początku.

Po przeciwnej stronie kilkoro otwartych drzwi. Małe pokoje, na ścianach po lewej stronie żelazne łóżka zaścielone szarymi kocami, na prawo wąskie szafy, chyba metalowe. Śpią tu? Oni, czy zatrzymani? Cele, czy dyżurne pokoje? Jeszcze jedno piętro. Pokój bez łóżka. Na środku biurko. Siadamy po obydwóch jego stronach, ja przodem do okna, on tyłem. I cisza. Siedzimy tak pięć minut, dziesięć, dwadzieścia. On się prawie nie rusza. Młody, twarz inteligentna, oczy z długimi rzęsami, współprzymknięte. Wreszcie zrozumiałam, że to nie metoda przesłuchania, tylko na kogoś czekamy. Kwarantanna. Ciekawe, przypadkowa (obiad!) czy należąca do rytuału? Dać czas. Czas na strach. Pokazać, że mijanie t u t a j jest pod ich wyłączną kontrolą.

Zaczęłam robić porządek w torebce. Wyjęłam portfel. Darłam stare recepty na drobne strzępki, jakiś rewers niezrealizowany z Biblioteki Uniwersyteckiej, tymczasowy rozkład zajęć z września; skomplikowany dojazd na osiedle, gdzie od paru miesięcy mieszka Kiejstut, już był niepotrzebny, pamiętałam drogę, a i jeszcze karteczka od Edwarda, którą zostawił swoim zwyczajem na maszynie do pisania, wychodząc na zajęcia: – „Całuję. Odpocznij”, w rogu narysowany zabawny kot z dwóch kółek. Wygląda, jakby się śmiał. Nie podarłam kartki, złożyłam i wsunęłam między prawo jazdy. Już zrobiłam się sentymentalna.

– Można to gdzieś wyrzucić? – spytałam. Pokazał mi metalowy kosz w rogu pokoju. Kiedy wyciągnęłam kosmetyczkę, aby przejrzeć jej zawartość, zaniepokoił się. Nie spuszczał oczu z moich dłoni, jakby się bał, że mam tam na przykład truciznę lub broń. Położyłam na biurku dwa klucze od specjalnych śrub w kołach, zabezpieczających je przed kradzieżą, zapasową

zarówkę od świateł stopu i scyzoryk. Puderniczkę, dwie pomadki, niebieski cień do powiek, pastylki na serce i alergię zostawiłam na kolanach (w końcu przedmioty intymne).

– Pan musi tak tu ze mną siedzieć?

– Muszę, nie muszę – odpowiedział hardo – ale taki jest regulamin. Jeszcze by pani uciekła. – Po namyśle: – Nie, uciec, to by pani nie uciekła, ale mogłaby pani wyjść i się zgubić, albo mogłaby się pani powiesić.

– Powiesić się? Ma pan poczucie humoru.

Zdziwił się – poczucie humoru? – uniósł lekko brwi do góry. U nasady nosa złączyły się w czarną, grubą krechę. Ciekawe, czy jego dziewczyna wie, gdzie on pracuje? Kiedy ją całuje, musi mieć podobnie czujną, napiętą twarz. Zamyka przy tym oczy? Tak, chyba tak. Nie wygląda na mężczyznę, który robi to z szeroko otwartymi oczami. W ogóle nie lubi patrzeć prosto w oczy. Jest płochliwy. To jedyny ślad jego zawodu. Naznaczenie. Ambicja, aby zza tych półprzymkniętych powiek zobaczyć jak najwięcej detali, najlepiej w s z y s t k o . Męczy go wyraźnie, że musi się skupić tylko na moich rękach. Nadal wykładam na kolana różne przedmioty. No, no, mam nawet trzy kolory nici nawinięte na specjalną, maleńką szpulkę. W środku zamknięty pojemniczek na igły. Otwieram. Jedna igła i dwie szpileczki z kolorowymi łebkami. Przydadzą się, jeśli mnie zatrzymają. A może zabiorą? Scyzoryk też? Od kogo ja go dostałam? Wiem na pewno, że to był prezent. Zdjęcie w kalendarzyku. Jego zdjęcie. Dotykam palcami ust i w myślach mówię wolno pełnym zdaniem: – Witaj kochany, witaj w tym pierwszym kręgu. – Jeszcze dwie agrafki i kluczyk od skrzynki na listy. Zapomniałam go oddać. Będą musieli siłą otworzyć zamek!

W tym momencie wchodzi niski, szary mężczyzna. Cały szary: włosy, skóra, ubranie. Czy poznałabym go na ulicy? W tramwaju? Nie. Wygląda jak kasjer, księgowy... Jednym ruchem dłoni wrzucam wszystko na powrót do torebki. Chłopak z ulgą podrywa się od biurka i bez słowa wychodzi.

Szary notuje moje personalia. Od kiedy zameżna? Czy mam dzieci? Na co choruję?

– Dlaczego, na co choruję?

– To ważne!

– Alergia. Alergia na różne, trudne do przewidzenia rzeczy. Niebezpieczne ataki z puchnięciem krtani.

Zaniepokoił się, więc dodałam z satysfakcją nieco szczegółów:

– Muszę mieć wtedy natychmiastową pomoc, bo inaczej się uduszę. Ewentualnie można przeciąć tchawicę.

– Często te ataki?

– Zdarzają się.

Notował prędko na powielonym kwestionariuszu.

– Pani filolog, wiem, wiem, znam. Co pani ostatnio wydała? A w „Strudze”? O czym pani pisała w „Strudze”?

– Reportaż z walnego zjazdu Związku Literatów i coś o Białoszewskim.

– Ja też jestem filologiem. Byłem uczniem pani ojca, słuchałem wykładów męża. Bardzo je sobie ceniłem.

– Cóż, różnie się w życiu zdarza.

– Po co tak ironicznie?

Ojciec, chodzący ciężko między oknami wykuszu, starzec podglądający ulicę, nasłuchujący jej ruchu, krzyczący do matki: „Daj mi wreszcie święty spokój!” która z drugiego pokoju, z łóżka woła co chwilę: „Zobacz, czy nie jadą? A może już jadą?”

Czy on potrafiłby wymyśleć tę scenę rozgrywającą się trzydzieści sześć lat po wojnie w pokoju o zakratowanych oknach, gdzie jego wychowanek przesłuchuje mu córkę? Może ją aresztować, internować lub wypuścić.

Szary jest spokojny, lekko uśmiechnięty. Przygląda mi się uważnie, szukając w mojej twa-

rzy podobieństwa do twarzy ojca i wyraźnie bawi go, że jest ono tak silne.

Znam gmach liceum, w którym zdawał maturę. Pracowałam w nim zaraz po studiach przez dwa lata. Duża klasa na parterze, wychodząca na boisko, jest wyłożona zielonym linoleum, seledynowe ściany, chłód nawet w największe upały, na wyciągnięcie ręki gęste krzaki bzu. Szary mógł siedzieć w środkowym rzędzie, gdzieś w drugiej, trzeciej ławce. Niepozorny, milcząco, z ziemistym odcieniem skóry. Można go było nie zauważyć, po prostu nie brać w rachubę. Ojciec nie dostrzegał go na pewno przez rok, dwa. Był dla niego tylko numerem w dzienniku.

Przekreślał nazwisko Szarego. Machał na niego niecierpliwie dłonią, jakby go przekreślał raz na zawsze.

– Siadaj, nic nie rozumiesz! – a pod wypracowaniem mógł mu napisać na przykład: „dst-Klituś bajduś”. Przeczytałam kiedyś takie zdanie ojca pod pracą mojego kolegi. Ojciec nie znosił przeciętności. Budziła w nim agresję. A Szary był na pewno przeciętny.

Nasz sąsiad z ogródków działkowych, emeryt, oceniając swój los na tle losów Polski niezmiennie powtarza: – Pani, najgorzej ma tym szary. Szary zawsze zostanie szary! Wszystko jedno czy to kapitalizm, czy socjalizm. Pani, szary zawsze jest bity!

Są sposoby na pokonanie szarości, myślałam, przyglądając się siedzącemu przede mną człowiekowi. Wąski pokój z dwoma metalowymi krzesłami, kubłem na śmieci, zakratowanym oknem, lampą, którą można obracać na wszystkie strony – tu czuł się u siebie. Tutaj on grał. Ja byłam pionkiem. Musiał zdecydować: czarne pole czy białe? Pozycja bita czy nie? Szach albo wolna droga. Zrobił przerwę, zdjął ręce z papierów, popatrzył na mnie. Teraz! pomyślałam i ... skok.

– Zarzut brzmi – powiedział – działalność przeciwko partii i ustrojowi politycznemu. – Poprawił się na krześle. Splótł dłonie przed sobą. Miał przeciwko mnie dowody. Kazałam uczniom recenzować „Człowieka z żelaza”. O milicjancie z filmu wypowiadałam się krytycznie. Nazwałam go „kanalią”. Cytat był wierny, więc jednak Laura!

– A nie był kanalią? – przerwałam. Na sekundę wybiło go to z rytmu, ale zaraz zaczął dalej. Mówiłam o mordach politycznych, o konieczności poniesienia za nie kary. Prowadziłam lekcję o 68 roku. Zmuszałam uczniów do „opowiedzenia się”.

A więc tylko szkoła. Zemsta wyrzuconego dyrektora. Postraszcie ją. Niech wie, co to mores. Uspokoiliam się. Szarego to zdenerwowało. Był wprawnym odczytywaczem. Kiedy na moment zamilkł, nie mogąc odcyfrować swoich notatek, spytałam: – Panowie zbieracie donosy? Dawniej wysyłano je do kuratorium, ale widocznie w naszych czasach adresują je do was.

– Powiedziała pani – wolno czytał – że jedyny sposób na uzyskanie niepodległości to wstąpić do KPN.

– Nie. Błąd rzeczowy. Po prostu źle zanotowała. Może pan to sprawdzić. Przesłuchać wszystkich uczniów. – Uśmiechnęłam się lekko. – Przypadkowo wiem, kto był waszym informatorem. Taki zbieg okoliczności. Podać nazwisko?

Szary spieszył się, z trudem ukrył popłoch. Laura. Pismo ma pochylone i drobne. Jej żywiołem pierwszym są błędy ortograficzne.

Jakiś miesiąc temu pytałam Laurę Kowalską. Symbolizm francuski. Męczyła się ze *Statkiem pijanym*. Odtwarzała elementy fantastyki w świecie przedstawionym wiersza, szamotała się z węzarami, Behemotami, podwodnymi gniazdami miłości, z jabłkowo-kwaśną miazgą fal morskich, a ja wertowałam mechanicznie jej zeszyt. Raz po raz dopadałam jakiegoś błędu ortograficznego i z satysfakcją podkreślałam chore słowo dwiema czerwonymi krechami. Udawała, że tego nie widzi. W tyle klasy, pod regałami z gazetami, lekki szmer, ognisko zakłóceń. Ktoś tam z kimś szeptem prowadził gwałtowny spór. Rozpraszało mnie to. Laurę też. Raz już uderzyłam dłonią w biurko, na minutę pomogło, ale znowu... – O co chodzi? – spytałam. – Musicie nam przeszkadzać? – Postanowiłam wstać i zdemaskować gadających. Zamknęłam zeszyt. Na tylnej okładce coś było nabazgrane ołówkiem. Przeczytałam. Krew ude-

rzyła mi do głowy. Jednak! Piotr się nie mylił.

– Co to ma być? – spytałam, może trochę zbyt ostro. Laura pochyliła się nisko nad zeszytem. Jej duże piersi bez biustonosza, wyraźnie zarysowane sutki, woń potu zmieszanego z zielowym dezodorantem.

– A, to? To ja tylko tak, dla pamięci... – od razu w oczach łzy, moment, a zacznie płakać.

– Na okładce? Do tego ołówkiem? Wszystko, o czym mówimy na lekcjach, pisze się normalnie w środku zeszytu! Nie ma podwójnej wiedzy, oficjalnej i nieoficjalnej!

W klasie zapadła martwa cisza, bezruch, gesty w pół przerwane. Florek akurat podnosił z podłogi ciężki tom symbolistów francuskich, który spadł mu przed chwilą z hukiem, i zamarł tak zgięty w pół, z wyciągniętą ręką. Wszyscy podnieśli głowy. Patrzą na nas. Tylko Piotr nisko pochylony nad zeszytem, a na jego twarzy wyraźne, pełne tryumfu: „A nie mówiłem? Mówiłem! J a m ó w i ł e m!”

Gdyby nie on, nie zwróciłabym uwagi na tych kilka bazgrołów z okładki, a już na pewno nie wpadłoby mi do głowy, że zanotowała moje słowa specjalnie, wydzieliła z wykładu. Kilka ostrych słów, które wyrwane z kontekstu mogą oskarżać i oskarżają! Czemu to zrobiła? Głupota? Brak wyobraźni? Nienawiść, chęć zemsty? Odbić się na belfrze? Poglądy polityczne? Czy Laura Kowalska solidaryzuje się z ojcem? Mają wspólną ocenę rzeczywistości? Mało prawdopodobne. Laure interesuje wyłącznie „Łysiak”, szkolny Gregory Peck, z wyglądu już dorosły mężczyzna, ale tak naprawdę – zupełnie dziecko. Przez pół roku uciekał przed Laurą, różowił się pod jej spojrzeniami. Ostatnio jednak zauważyłam, że zaczyna brać jej propozycję pod rozwagę. Wyczuła, że jestem temu przeciwna, że jej nie kibicuję? Uchwyciła jedno z moich niechętnych spojrzeń? Wzięła do siebie coś, co dotyczyło którejś z bohaterek omawianych książek? Nieważne. I tak się nie dowiem prawdy. Może donosiła ojcu zupełnie automatycznie, bez żadnej refleksji. Chciał, to powtarzała. Niewykluczone, że było właśnie tak.

Kiedy mówiłam o KPN, myślała najprawdopodobniej o „Łysiaku”. W pracowni języka polskiego oglądała go zawsze z profilu. Siedział dwie ławki przed nią, w środkowym rzędzie, ona przy oknie. Mogłam zauważyć, że mnie nie słucha, może zwróciłam jej uwagę, powiedziałam coś złośliwego. Wtedy prędko zanotowała tych kilka informacji o KPN, przekręcając ich sens, tyle ile zdołała uchwycić. Przyda się. No i wszystko. Cała historia dzisiejszego przesłuchania.

– Polska się wali, a wy zbieracie takie brudy, jakby naprawdę już nic innego nie było do roboty – powiedziałam nagle, zaskakując samą siebie tonem własnego głosu, nie ukrywaną złością. – Wzywacie mnie specjalnie z powodu takich bzdur wyssanych z palca przez jakąś niedouczoną smarkatą. Nie wiadomo, co się z nami wszystkimi stanie, a wy...

– Niech się pani nie denerwuje, nie jest aż tak źle, nic się jeszcze nie wali – uspokajał mnie.

– A wali się! Wali! – Powtarzałam z pasją. – Sekretarz partii, jak jest jakaś akcja młodzieży, to na wszelki wypadek ucieka ze szkoły tylnymi drzwiami, a wy wzywacie ludzi, którzy starają się dogadać z młodzieżą. Może dzięki nam ci smarkacze jeszcze nie wyszli na ulicę!

– No dobrze, dobrze – mówił zgodliwie, przyglądając mi się czujnie spod oka: gram czy nie gram – ale ostrzegam, gdyby pani podjęła jakąś działalność sprzeczną z konstytucją, to...

– Sprzeczną z konstytucją? Partię polityczną miałabym założyć? Czy może kraść broń?

Sprowadził mnie na dół. Znowu korytarz, schody, korytarz.

Ojciec, Edward i ja. Remis. Wychowaliśmy wspólnie dwóch Polaków; dwoje czujnych Polaków, wysokiego rangą oficera służb specjalnych i – donosicielkę. Ich ludzie. Tyle tylko, że oboje na pewno dobrze znają romantyzm. W naszym domu panuje pogląd, że romantyzm jest kluczem do zrozumienia polskiej literatury, tak zwanego „ducha kultury polskiej”.

Schodziłam po schodach z poczuciem ostatecznej klęski.

Były tylko powidła. Nic innego się nie nadawało. Dobrze wysmażone mogły stać w celi miesiąc, dwa. Wybierałam je z glinianego dzbanka drewnianą łyżką. Nie lepiły się, odchodziły od drewna tak jak powinny, warstwami. Ubijałam je w słoiku szczelnie, aby weszło jak najwięcej. Robiliśmy je zaledwie trzy miesiące temu, a już w innej epoce. Zapach śliwek, lepki sok sklejący palce, stos pestek z kawałkami mięszu i pogaduszki w kuchni, nocą. W ciągu dnia nie mieliśmy czasu na robienie przetworów. Monika po raz pierwszy tego roku nie smażyła ich w ogóle. Pamiętam, że czekaliśmy na nią w ogrodzie do późnego wieczora. Nie przyszła. Pocięły nas komary. Doszliśmy do wniosku, że „odnowa” wyraźnie zakłóciła rytm jej biografii. Proporcje między życiem prywatnym a społecznym.

– Dolores Ibarruri! Lata po zebraniach, a śliwki zgniją. Mogła przynajmniej zadzwonić. Wszystko ma swoje granice! – marudził Edek, dźwigając do auta dwa ogromne kosze. – Szlag by to trafił, jak my je przerobimy? Kiedy, no powiedz, k i e d y? – niebezpiecznie podniósł głos. – Czy ja już nigdy nie będę miał czasu na pisanie? Chromolę takie życie. Wszystko jest ważniejsze od pisania. „Solidarność”, ogród, pies, sprzątanie, a teraz jeszcze śliwki!

Zadzwoniłam do niej w nadziei, że przynajmniej następnego dnia odbierze swoją porcję. Odezwał się Grzegorz, tak jakoś smutno, prawie płaczkliwie: – Znowu ich nie ma. Wyjechali z samego rana. Nie, nie wiem, kiedy wrócą. Nic nie mówili.

– Dobrze, że dzieciak ma chociaż chomika – podsumował Edward i z rezygnacją wsypał owoce do zlewozmywaka.

Docisnęłam powidła łyżką i tak jakoś mechanicznie pomyślałam: „kara boska!” – aż się przestraszyłam, że mogło mi to przyjść do głowy, ale jednocześnie coś we mnie nadal, poza mną myślało, rozkręcało się, jak spirala: może gdyby przyszła wtedy do ogrodu, zamiast przemawiać na wiecu w ZNTK, może nic by się nie stało. A tak dopisali ją do jakiejś swojej czarnej listy, teraz ją wyciągnęli z szuflady. I ma, co chciała. Doczekała się! Marzyła, żeby płonąć żywcem na ołtarzu ojczyzny, jak pszczoła w ognisku. To niech płonie!

– Ależ moja droga – pamiętam, jak pouczała mnie parę dni później – cóż znaczą śliwki wobec tego, co ja tam zrobiłam! Nie zadzwoniłam, musisz to zrozumieć, bo mnie wezwali w ostatniej chwili.

– Cholera jasna, jasna cholera! – Powtarzałam głośno, dokręcając słoik. Łzy piekły pod powiekami.

– I to by było na tyle – powiedział Edward, upychając w torbie powidła obok słodczy i pomarańczy przyniesionych wczoraj późnym wieczorem dla Moniki, dla nas i dla kilku innych przyjaciół. Skąd oni znali adresy, powiązania, skąd wiedzieli, kto z kim się spotyka, jak za jednym zamachem obsłużyć kilka rodzin?

– E, to czysta spontana – odpowiedział mi nie znany nawet z widzenia uczeń jakiegoś liceum, układając na kanapie dary z informacjami: to dla K., dla D., dla Z... Wszystko było zapakowane, obwiązane sznurkiem.

Sama myśl, że gdzieś we wnętrzu tego skostniałego od mrozu i lęku miasta jest miejsce, w którym gromadzą się ludzie i przypominają sobie nasze adresy, nazwiska, abyśmy wiedzieli, że nie zostaliśmy sami, była czymś niezwykłym. Przynosiła ulgę. Najgorsza byłaby anonimowość, gdyby niszczone nas w ciszy, jednego po drugim. Liczono na to. Tymczasem zamiast rozsypania – zwarty pierścień, mimo godziny milicyjnej, rewizji na ulicach – ludzie dźwigają paczki, ulotki; mimo bud, gazików i aresztowań przenoszą z mieszkań do piwnic, na drugi koniec miasta, rozmontowane powielacze, ryzy papieru, części maszyn drukarskich.

Jechaliśmy oblodzonym tramwajem. Jedyne z kąta przechylenia wagonu, z siły kolebania, z dźwięków dochodzących z zewnątrz domyślaliśmy się, w którym punkcie miasta jesteśmy. Raz po raz ktoś pochylał się nisko, aby zza oddechowanego pracowicie przez jakiegoś malca krążka szyby wyrzeć na zewnątrz i poinformować wszystkich: „Autobusowy”, „Kaponiera”,

„Sołacz”. Za każdym razem robił to ktoś inny. Ludzie wysiadali, a zasada zostawała. Było w tym coś pokrzepiającego, strzęp nadziei, że poczucie wspólnoty przetrwa. Nie rozmawiały nawet matki z dziećmi, nikt się nie uśmiechał. Ludzie tępo patrzyli przed siebie w ślepe, białe okna. Zwracały uwagę puste oczy, kawałki szkła w ściągniętych twarzach. Wyglądaliśmy podobnie, pozorny spokój, ograniczenie gestów, słów. Czyżby lęk przed roztrwonieniem energii? Nikt z nas nie wiedział, co go jeszcze czeka.

Atmosfera panująca w tym ślepym tramwaju, ścierpięta cisza przypomniła mi nastrój panujący na spektaklu teatralnym sprzed paru lat. Który to był sezon, rok? Siedemdziesiąty siódmy czy już siedemdziesiąty ósmy? Premiera „Gigantów z gór” Pirandella w reżyserii Lizy Wicyńskiej. Im bliżej końca dramatu, tym bardziej zrozumiwały stawał się dla wszystkich wybór tej starej sztuki. Przy zupełnym bezruchu widowni – dłonie na oparciach foteli, szyje wyciągnięte i tylko raz po raz w smugach reflektorów srebrny, szamocący się kurz – wjechał na proscenium z grzechotem ogromny walec do ubijania dróg. Autentyczny. Skąd ona go wytrzasnęła? Zatrzymał się tuż przed pierwszym rzędem, odbił się głucho o rampę obitą blachą (wszyscy odruchowo odchyliliśmy się do tyłu, jakby cała widownia w tym samym momencie dostała w twarz) i jeszcze raz z trzaskiem runął ku nam. Walec miażdżył bohaterów sztuki: pisarzy, aktorów, filozofów. Ginęli pod jego ciężarem, a my patrzyliśmy na to zwężonymi z przerażenia oczami.

Nikt nie miał wątpliwości w tym elitarnym, od lat walczącym z cenzurą teatrze – to nasze wiersze tam giną, nasz drugi obieg, nasze marzenia o wolnym słowie, „latające uniwersytety”, artykuły polityczne. Giganci z gór ruszyli. „Przyjdzie walec i wyrówna”. Liza zilustrowała to zdanie dosłownie.

W najbardziej jednak czarnych wizjach nikt z nas nie przewidział, że rozegra się to tak sprawnie – wylamali drzwi, zdobyli mieszkania, miasta, wyrzucili z domów, zakuli w kajdanki, otoczyli czołgami fabryki...

Widownia teatralna i wewnątrz zatłoczonego tramwaju. Zaskakujący paralelizm. Miasto za zamrożonymi szybami było bardziej dekoracją niż żywą przestrzenią. Pasażerowie, jak statyści wrzuceni do wnętrza dramatu, którego zakończenia nie znają. Wszyscy mieliśmy w oczach ten sam błysk niedowierzania. To nie mogła być p r a w d a. Moment, a wszystko się odwróci, jak na ruchomej scenie. Ktoś naciśnie guzik i ze zgrzytem, wolno cały mechanizm ruszy. Trzeba tylko spokojnie przeczekać najgorsze. Nie wykonywać zbytecznych ruchów. Stosować reguły mimikry.

Tramwaj zwolnił. Teraz Edward pochylał się nad odparowanym krążkiem szyby. – Golecin – powiedział. Byliśmy już na peryferiach miasta, blisko koszar. Na zakolu szosy, jedną gąsienicą w zaspie i tuż przed gwałtownie urywającym się poboczem, lufą w kierunku miasta – stał czołg; biegało koło niego kilku żołnierzy.

– Utknął skubańcom – mruknął ktoś przede mną. Ludzie wychodzili gęsiego po oblodzonych stopniach, pomagając sobie wzajemnie. Nikt się nie odwrócił w kierunku czołgu, jak gdyby go tam w ogóle nie było. Należał do innej, nie naszej rzeczywistości! Szliśmy środkiem pustej jezdni w kierunku osiedla.

Dzwonek nie działał. Znowu wyłączyli prąd. Zapukałam ostro, z nieregularnymi odstępami, jakbym wystukiwała umówiony rytm. I to był błąd. Rynio widocznie pomyślał, że to Monika, że ją zwolnili. Otworzył drzwi natychmiast, jakby cały czas stał pod nimi, i na nasz widok zaczął się prędko cofać w głąb korytarza, krok, dwa, trzy, aż się oparł plecami o szafę. Był tak zaskoczony, jakby mu ktoś w zupełnej ciemności przejechał po twarzy reflektorem. Mrugał oczami i wykonywał dłońmi nieskoordynowane ruchy: odpędzał się od czegoś, usiłował rozsunać przed sobą gęstą, uniemożliwiającą widzenie zasłonę. Nigdy nie widzieliśmy go w takim stanie.

To prawda, idąc tu myśleliśmy tylko o Monice, nie o nim. Rozważaliśmy różne wersje jej aresztowania, przedstawione zarzuty, szansę obrony. Zestawialiśmy ze znanych nam frag-

mentów logiczną układankę, aby za moment zburzyć ją i zacząć od początku.

Nasz pośpiech na ulicy, na schodach, nasz przyspieszony puls, skostniałe dłonie, nie tylko od mrozu. Obcość wszystkiego, co mijaliśmy w tym znanym przecież bloku. Przy wejściu na klatkę schodową żenujący moment wahania, zimny prąd wzdłuż kręgosłupów. Może sami się pchamy w pułapkę? Stoi tu ktoś na schodach? Podgląda nas zza uchylonego wizjera z któregoś z mieszkań, a więc nie pokazywać twarzy, przy każdym zakręcie schodów obrócić się gwałtownie plecami do kolejnych drzwi. Może chcą rozszyfrować kontakty, uchwycić powiązania. Idąc tu prawdopodobnie robimy rzecz niewybaczalnie głupią. Szkodzimy Monice, sobie. I jednocześnie zimna, wściekła myśl – n i e!

Kiedy pierwszy raz zmieniałam koło, mechanik pouczał mnie: – Najpierw lekko dokręcić wszystkie cztery śruby, jak leci, a potem mocno, dokładnie dwie przeciwległe – i niecierpliwie pokrzykiwał, kiedy niezdecydowanie dotykałam kluczem raz jednej śruby, raz drugiej: – No, kontruj pani wreszcie! Na co pani czeka?

A więc naprzeciwno tego zimnego, spoconego lęku, tej upokarzającej chęci ucieczki już gdzieś na wysokości pierwszego piętra pojawiła się pewność, że jedyne, co teraz powinniśmy naprawdę robić, to iść po tych kamiennych schodach wprost w wycelowane w nas oczy podglądaczy, iść po prostu do Ryszarda. Być z Ryniem. Na drugim piętrze byłam już spokojna, na trzecim mój lęk z parteru wydał mi się przerostem wyobraźni, a na czwartym, gdy zobaczyłam umęczoną twarz Ryszarda, było mi już tylko wstyd.

Bo tak naprawdę przez cały czas, gdy tu jechaliśmy, coś we mnie gadało, powtarzało, bredziło: lepiej odczekać, nie afiszować się niepotrzebnie, nie narażać się, jeśli puścili po przesłuchaniu, to trzymać się z daleka, nie lekceważyć przestróg, nie rzucać się niepotrzebnie w oczy, nie drażnić. Przyschnąć w kąciuku. To było tak, jakby ktoś to we mnie w środku nagrał na taśmie i stale od początku puszczał. Niesłuchanie tego głosu wymagało wysiłku. I dopiero teraz uświadomiłam sobie, jak bardzo zmęczył mnie fakt, że okna tramwaju były oblodzone, że aż do końcowego przystanku byliśmy zatrzaśnięci w tym kolebiącym się, zgrzytającym pudle, bo nawet wzrokiem nie można było się z niego wydostać. Prawdziwy wagon-pułapka.

Ryszard bał się i nie ukrywał tego. Przez cały czas chodził. Zaglądał za drzwi, nawet do pawlacza.

– Szukasz czegoś?

– Nie, mieszkanie jest czyste, wszystko wynieśliśmy – odpowiedział, mocując się z ogromną donicą filodendrona, próbował ją nie wiadomo po co odsunąć od ściany. Ani drgnęła. Potem zaczął zaciągać story ze skupieniem sprawdzając, czy dobrze działa ukryty za karniszem skomplikowany układ sznurków. Jak ślepiec dotykał ścian, mebli, pukał w nie otwartymi dłońmi.

– Masz tu jakieś schowki? – nie wytrzymał Edward.

– Schowki? – zachichotał. – Jak to sobie wyobrażasz? W betonie? Betonowa trumna – mruknął, kopnąwszy z całej siły w ścianę.

Nie mogliśmy ustalić z nim najprostszych faktów. Zakładał z góry, że je znamy i od razu nadbudowywał nad nimi rozmaite warianty swoich decyzji, tych podjętych i zamierzonych dopiero. Rozwagał reakcję drugiej strony, argumenty oskarżenia i ewentualną linię obrony. Właściwie prowadził dialog sam ze sobą. Na nasze podstawowe pytania reagował nagłym bezruchem. Stawał. Mrugał oczami, jakby się dopiero obudził i próbował, rzeczywiście rozpaczliwie próbował na nie odpowiedzieć. Ale już w środku zdania sens mu się łamał i dowiadaliśmy się na przykład, że w pokoju, w którym cztery godziny czekał na adwokata, stał poniemiecki, szafkowy zegar, który wybijał kwadrans. Od tego dzwonienia pękały mu bębenki w uszach. A sekretarka? O, sekretarka okazała się najważniejsza. Bo gdyby w rozmowie z nią nie padło nazwisko Ena, całkiem zresztą przypadkowo, nigdy by się nie dowiedział, że Ena może mieć związek ze sprawą. Ena zaś, mniejsza o nazwisko, teraz nazwiska nie są wskazane, zna świetnie jeszcze z czasów wojska. W sumie zdobył wreszcie ten pieprzony

dziennik! Oni go strzegli jak żrenicy oka. Ktoś go po prostu skradł. No, powiedzmy, wyciągnął z wiadomej szuflady i kropka. Dosyć, że jest! Miał go w swoich rękach. Podniósł dłoń do góry i przez chwilę w ciszy uważnie się im przyglądał. Teraz już go nie ma. Przekazał mecenasowi. Jako pierwszy w Poznaniu zdobył ten dziennik.

– Jaki dziennik? – nie wytrzymałam.

– Dziennik Urzędowy, nie rozumiesz? Numer, w którym są obowiązujące ustawy na wypadek stanu wojennego. Wynika z nich czarno na białym, że internowania jako takiego w ogóle nie przewidziano. Internowania są bezprawne!

– To Monika jest w końcu internowana, czy aresztowana?

– Nie wiem! – odpowiedział szeptem. – Nie wiem – i jednocześnie pochylił się nisko, zaglądając pod dywan. Uniósł jego róg i podniósł duży, plastikowy spinacz. – O! – ucieszył się – będzie w sam raz do akt. Muszę założyć specjalną teczkę. Nikt mi nie potrafi powiedzieć, czy ona jest aresztowana czy internowana. Ale ktoś przecież musi wiedzieć! Kto to jest? – teraz krzyczał. – Jak ja mam go znaleźć?

W tym momencie wszedł Grzegorz, był błądy i pod oczami miał aż do połowy policzków sine kręgi, zachowywał się tak, jakby to on był ojcem Rynia, a nie na odwrót. Przede wszystkim położył mu dłoń na ramionach i lekko zaczął go popychać w kierunku kanapy. Ryszard pozwalał mu się przesuwac, jakby był meblem, szafą, stołem, cofał się automatycznie, bez żadnej refleksji. Kiedy jego pięty dotknęły kanapy, Grzegorz jedną ręką popchnął go lekko do tyłu, a drugą wprawnie chwycił pod łokieć i posadził między dużymi poduchami, dwie podłożył mu pod plecy. Ryszard umilkł, przymknął oczy.

– Z tego co wiemy, to mama nie siedzi jeszcze w „młynie”, to znaczy w więzieniu.

A więc jest w jednym z tych pokojów, których wnętrza oglądałam: metalowe łóżko, szary koc, kraty w oknie. „Jeszcze by się pani mogła zgubić, albo powiesić” – usłyszałam powracające jak refren zdanie. Antykadencja: „Jeszcze by się pani mogła” i kadencja: „zgubić albo powiesić”. Rytm tych słów w tajemniczy sposób połączył się z tym, co mówił Grzegorz. Powtarzałam je w myślach. Okazało się, że byliśmy na Jana z Czarnolasu tego samego dnia, mniej więcej o tej samej porze. Zbieg okoliczności. I znowu, jak w dzieciństwie, uczucie, że ktoś poza mną montuje mi biografię. Szłyśmy w kilkunastominutowych odstępach po tych samych schodach, korytarzach, może nawet czekałyśmy w pokojach obok. Jak się zachowywała? Na pewno nie przyszło jej do głowy, aby robić porządki w torebce. W trudnych sytuacjach zawsze próbuję zająć się czymś, co pomogłoby mi choć na moment oderwać się myślami od wyobrażania sobie tego, co stanie się ze mną za chwilę.

Ryszard także należy do tego typu ludzi. Już od dłuższej chwili prowadzi systematyczne poszukiwania w szparze między oparciem a siedzeniem kanapy. Znalezione przedmioty: czerwony wkład do długopisu, spinkę do włosów, motek szarych nici, widelczyk do ciasta... układa przed sobą, na niskim stole.

Grzegorz opowiada nam wreszcie wszystko po kolei. Co chwilę jednak spogląda na Rynia i ma minę, jakby chciał dać ojcu po łapach. Ryszard go nie słucha, a do tego jeszcze zagłusza: co parę sekund systematycznie przesuwa się z lewej strony kanapy na prawą niemiłosiernie skrzypiąc sprężynami, potem aż po łokieć wsuwa rękę w głąb między poduchy, marszczy twarz w maksymalnym napięciu, grzebie paluchami na ślepo między fafołami kurzu, aby po minucie rozjaśnić się, w uśmiechu zwycięstwa i z triumfalnym okrzykiem „jest!” położyć przed nami następny, ocalony od zapomnienia przedmiot. Potem znowu skrzywienie kanapy, skrzywienie twarzy itd...

Monika przed przesłuchaniem siedziała na pewno bez ruchu i skupiała się. Przed każdym ważniejszym wystąpieniem na parę minut wyłącza się, traci kontakt ze światem zewnętrznym. Wyobraziłam sobie tę scenę w pokoju śledczym tak wyraźnie, jakbym oglądała ją wrytą igłą w metalu. Nieruchoma, ściągnięta twarz Moniki z gonitwą w oczach, dłonie ułożone równo na obu kolanach i tylko sam czubek buta, wychodzący spod czarnej spódnicy, drga regularnie,

jak tykające wahadło zegara.

Spuściłam wzrok i żeby zająć czymś dłonie, żeby za wszelką cenę zgasić ten obraz, który palił się we mnie nawet wtedy, kiedy patrzyłam na śnieżycę za oknami, zdecydowanym ruchem wsunęłam dłoń między oparcie a siedzenie fotela i też zaczęłam grzebać w jego ciepłym wnętrzu.

Nigdy nie zapomnę spojrzenia, jakim obdarzył mnie Grzegorz, gdy w punkcie kulminacyjnym jego opowieści o tym, jak to razem z ojcem szukali okna, które według instrukcji miało być oknem celi matki – wyjęłam i położyłam na stole, obok przedmiotów znalezionych przez Ryszarda, kalendarzyk Moniki w brązowej oprawie.

To był ważny kalendarz, z wieloma nazwiskami, adresami, telefonami. Monika jakiś miesiąc temu szalała twierdząc, że ktoś go jej ukradł z torebki – w czasie przerwy między lekcjami. Torebka wisiała w pokoju nauczycielskim na krześle.

* * *

Wysiłek z r o z u m i e n i a tego, co się toczyło wokół, uruchamiał pamięć, zmuszał do szukania paralelizmów, modeli zachowań, nawet słów. Oswajałam obce t e r a z , przywołując na ratunek uporządkowane k i e d y ś. Tam nie otwierały się już pod stopami „czarne dziury”. Meble mojego dzieciństwa, dokładnie wypolerowane, od dawna zajmowały swoje stałe miejsca. Mogłam za ich pomocą prawie na ślepo zagospodarowywać mroczną teraźniejszość. Spirala czasu. Takie momenty, gdy z godziny na godzinę, z dnia na dzień czas jednym półobrotom przesuwają nas w mrok. Zawsze wydawało mi się, że powinnam wcześniej usłyszeć zgrzyt mechanizmu, wyczuć napięcie zaczajonej do skoku sprężyny. Panika wynikająca z kontrastu. Czy można oswoić cierpienie? Przyjąć je bez upokarzającego skrętu jelit, bez potu nad górną wargą, bez kostniejących z zimna dłoni i drgających kącików ust?

O czym myślał Ryszard, patrząc na pusty fotel Moniki, na jej swetry równo poukładane w szafie, na cały ten kostyczny, nienaturalny porządek panujący w mieszkaniu? Na swój, nie-swoj dom, który czekał, aż obce ręce zanurzą się w jego wnętrzu, zaczną przerzucać książki, notatki, ranne pantofle, sztućce w szufladach, odsuwać stosy talerzy?

I akurat w tym momencie moje nierówne, tętniące pukanie. Co poczuł? Z jakim wysiłkiem połączył własny krzyk? Patrzył na nas okrągłymi z przerażenia oczami. To były moje własne oczy, oczy, którymi przed czterdziestu paru laty spoglądałam na swoją obcą, zmienioną nie do poznania twarz, odbitą jednocześnie aż przez trzy lustra.

Gdy się je odpowiednio ustawiło, można było obejrzeć siebie z przodu, z boku i z tyłu. Na to byłam za mała. W ogóle nie rozumiałam sensu tej plątaniny światła i odbić. Mebel, mówiono o nim „gotownia”, stał w pokoju rodziców na prawej ścianie. Matce był zupełnie niepotrzebny. Włosy splotała nie patrząc w lustro, tylko w czarne okna; (do szwalni chodziła na szóstą rano, albo na tzw. nocki), a potem automatycznym ruchem owijała je wokół głowy, upinając na ślepo szpilkami, które wyjmowała z ust. Robiła to zawsze w biegu. Ostatnią szpilkę wbijała w koronę warkoczy, już przy stole w kuchni. Pamiętam błysk jej obrączki, ruch prawej dłoni, którą natychmiast, gdy tylko drugi zapleciony warkocz opadł na plecy, zgarniała z nocnego stolika stosik szpilek. Przyglądałam się temu jeszcze w półśnie, mrużąc oczy przed światłem lampy osłoniętej otwartą książką.

Z luster korzystała tylko Bacha. Ze skupieniem oglądała w nich swój prawy profil, lewy i tył głowy; coś poprawiała, podpiniała. To był wielofazowy, złożony z tych samych gestów, codzienny rytuał. Spała w kuchni, ale u nas na „gotowni” trzymała swoje ozdobne grzebyki, pachnące flakony.

Kiedy już wszyscy wyszli, zawsze w tej samej kolejności – ojciec, matka, ciotka – zostawałam sama na dziesięć godzin. Po pięciu wpadała na kilka minut sąsiadka, która pracowała u folksdojczy z parteru, żeby zobaczyć, czy nie stało się „jakieś nieszczęście”. Butelkę z kawą

wsuwała mi pod poduszkę, aby była dłużej ciepła. Nie pozwalano mi wchodzić do kuchni, wychylać się z okna, ani dotykać kontaktów. To było tabu, którego nigdy nie naruszyłam.

Byłam pewna – dorośli wiedzą coś, czego ja nie umiem się nawet domyśleć. Obowiązywały więc ich reguły gry.

Zdarzały się wprawdzie chwile, kiedy czułam: moment jeszcze, a wreszcie będę w i e d z i a ł a. Nieruchomiałam wtedy w środku zabawy, gdzieś na podłodze między klockami, aż ciotka pytała niespokojnie: – Skaleczyłaś się? – Ale to dziwne uczucie prędko mijało. Oczywiście rozumiałam, że jest wojna. Ale wojna była dla mnie od zawsze. Spałam więc, oddychałam, bawiłam się w samym środku tajemnicy, poruszałam się w niej jak w wodzie, między przedmiotami, które, wiedziałam na pewno, ułożą się kiedyś zupełnie inaczej.

Ojciec często powtarzał, jakby sam siebie próbował przekonać: – To minie, to musi wreszcie minąć – i po krótkiej przerwie mocniej: – Minie prędzej czy później!

Wiedziałam – dorośli żyją „na niby”, bez przerwy coś udają, tak jak ja w czasie zabawy. Coś czymś zastępują. Ale c o ? Jakie było to ich p r a w d z i w e, do którego inaczej niż ja, gdy mi się znudziło udawanie, że na przykład deska do prasowania jest ladą sklepową – nie mogą wrócić?

Utracona normalność. Cała groza sytuacji, w której nienormalność staje się obowiązującą normą. Miałam już wtedy za sobą podobne przeżycie. Byłam sama w domu. Siedziałam przy stole naprzeciwko „gotowalni” i malowałam. Nagle podniosłam oczy i spojrzałam do lustra. Zobaczyłam trzy nie swoje twarze, jedną w całości i dwa półprofile. Czarne plamy rozmazane na policzkach, sine smugi na czole. Moja dłoń dotknęła nie mojej, a jednocześnie mojej twarzy. Poczulałam dotyk. Odbicie wiernie powtórzyło ten gest. Musiałam krzyczeć długo, bo kiedy Bacha, która usłyszała mój wrzask jeszcze na ulicy (okno było uchylone), wpadła do pokoju, rzucając po drodze na podłogę jakieś paczki, siatkę z kartoflami, dobiegł mnie rumor, brzęk tłukącego się szkła, trzask drzwi, a potem zobaczyłam potrojone, wyciągnięte ku mnie dłonie ciotki; miałam całą twarz opuchniętą od łez. Tak ochryplam od krzyku, że przez tydzień mówiłam szeptem.

Wyjaśnienie okazało się proste: dłonie, a później twarz „powalałam atramentem (określenie ojca).

Po raz drugi tak gwałtowne, nie kontrolowane wzburzenie przeżyłam dopiero w czerwcu 1956 roku. Podróż pociągiem z Gdańska do domu trwała w nieskończoność. Lęk rósł w miarę zbliżania się do miasta. Pociąg zatrzymano w środku pól i dalej kazano nam iść pieszo. Kiedy zza drzew wyłoniła się wreszcie charakterystyczna, kwadratowa wieża zamku, prawie zdziwiłam się, że to miasto jeszcze istnieje. Znajome profile kościołów nad poszarpaną linią kamienic. Prędko odnalazłam wzrokiem dwie „swoje” wieże – kościoła i politechniki. Odetchnęłam z ulgą. Między nimi, w środku szary układ dachów, trochę w prawo nasz dom. Wyglądał z tej odległości jak mały, popielaty klocek. Miałam ochotę w nagłym przypływie czułości wziąć go w dłoń. Dopiero na wysokości Rynku Wildeckiego usłyszałam spłaszczony odległością klekot serii z automatu, a więc t o działa się tylko w śródmieściu. Pamiętam, że pomyślałam nagle całkiem spokojnie – no proszę, zupełnie jak na filmie wojennym!

Ojciec nie zdziwił się, że wróciłam tak nagle. Spojrzał na mnie jak przez grube szkło, a patrząc nie widział ani mojego zmęczenia (szłam w końcu parę kilometrów z ciężką walizką), ani strachu. Usiłował zrozumieć – co się stało, a zwłaszcza j a k? Jaki był mechanizm.

Matka wyszła z domu bardzo wcześniej. Prowadziła egzaminy wstępne do technikum. Szkoła stała na drugim krańcu miasta. Ojciec usiadł w fotelu i zaczął pisać, gdy nagle ulicą „lunął pochód”. Tak to określił. „Lunął”. Robotnicy szli od zakładów Stalina w kierunku terenów targowych. Zalali całą jezdnię, oba chodniki, nawet trawnik. Najpierw pomyślał, że to legalne, zorganizowane, jakaś popisówka przed zagranicznymi wystawcami. Stanął w swoim zawieszonym nad ulicą wykuszu, którego lewe okno odsłaniało widok daleko aż na skrzyżowanie z Dzierżyńskiego. I w tym samym momencie, gdy zobaczył przewrócony na łuku jezd-

ni tramwaj, usłyszał: „My chcemy Boga, my poddani, my chcemy Boga w domu, w szkole”. Śpiewali, zadzierając głowy wysoko ku oknom, jakby szukali w nich dodatkowych źródeł siły.

Co myślał on, stary ateusz, który przed wojną, jako prezes Koła Polonistów, ścigał krzyże z sal wykładowych, walcząc z poznańską endecją, gdy po jedenastu latach socjalizmu słuchał tej pieśni śpiewanej zwyczajnie na peerelowskiej ulicy?

Zwrócił uwagę na wyróżniającego się z tłumu robotnika w drelichu. „Wielkie chłopisko”; wyglądał, jakby zszedł z plakatu pt. „Budujemy nowy dom”. Akurat pod naszą kamienicą postanowił uformować pochód. Do głównego wejścia Targów było stąd już tylko około dwudziestu minut drogi.

W pewnym momencie po prostu stanął. O, tutaj – ojciec pokazał mi sam skraj wysokiego chodnika, tuż nad jezdnią. Stał i nie ruszał się. Ludzie najpierw go omijali, potem zaczęli się za nim oglądać, aż któraś kolejna fala tłumu, w momencie, gdy do niego dotarła, zaczęła się gwałtownie zwięzać. Pochód zwolnił, robotnicy schodzili z trawnika, z chodników. Teraz stał już zupełnie sam i rozłożonymi szeroko rękoma pokazywał: odtąd – dotąd. Słuchali go. To było imponujące. Ktoś zaintonował „Boże coś Polskę”. Wers: „Ojczyznę wolną racz nam zwrócić Panie” brzmiał szczególnie głośno. W momentach ciszy raz po raz skandowano: „Wol-noś-ci, chle-ba”.

Kiedy się wreszcie przewalili, a trwało to długo, bo szli i szli, a z bram dołączała do nich jeszcze młodzież (większość miała już wakacje) – zapadła cisza. Nie mógł pisać, chodził po mieszkaniu. Wyszedł na balkon kuchenny, od strony, rynku. Baby zwijały prędko stragany, targowisko pustoszało. W kościele była jakaś śpiewana nie wiadomo czemu msza. U sąsiadów nikogo nie zastał. Zszedł na dół, kiedy usłyszał pojedyncze strzały i wtedy dopiero od kobiet mieszkających w oficynie dowiedział się, że w „Stalinie” wrzało od kilku dni. – A profesor nie wiedział? – dziwiła się stróżka. – Przecież wszyscy o tym mówili. Nic nie wiedział, ani się domyślał? – Ojciec powtarzał teraz, piskliwie naśladując jej głos. – Nic nie wiedział?

Pod gmach Politechniki podjechały dwie wypełnione ludźmi ciężarówki. Ludzie wyskakowali już w biegu, wpadli do gmachu, aby po paru minutach wyjść z przewieszonymi przez ramiona karabinami, z wypchanymi kieszeniami (naboje?). Zdobyli klucze lub po prostu rozbili magazyn z bronią Studium Wojskowego. Odbłyło się to błyskawicznie, wyglądało jak świetnie zorganizowany napad na bank. Ciężarówki piszcząc oponami brały ostro zakręt, jedną z nich zarzuciło trochę na chodnik, tuż przed ojcem. Przyjrzał się rozgorączkowanym twarzom.auta pędziły w stronę śródmieścia co najmniej siedemdziesiątką, pokonując z rumorem kocie łby i wyrwy na naszej jezdni.

Od paru godzin strzelanina się wzmogła. – O, posłuchaj, słuchaj dobrze... – powtarzał ojciec co parę minut.

Słuchaliśmy dalekiego śródmieścia, głuchych dźwięków, które unosiły się w upalnym wieczorze, ponad szumem topól.

– Teraz wypuszczą Gomułkę – powiedział, a ja po raz pierwszy w życiu poczułam, jak o nasz dom, o nasz wykusz otarła się historia, jej szorstka skóra pachnąca mokrym strachem. Przysięgłabym, że przez pokój przemknęło nagle spłoszone, mokre zwierzę.

Czekaliśmy na matkę. Najpierw jeszcze spokojnie. Mimo zmęczenia co chwilę podchodziłam do okna. Potem już zainstalowałam się w wykuszu na stałe, trochę w tyle, między doniczkami, pilnując, aby zasłaniała mnie ogromna paproć, która od paru lat rosła tu „jak oszalała”. Naprzeciwko bramy stał Filip i jego przyjaciel o tym samym imieniu, dużo niższy, na którego mówiliśmy Filipek. Rozmawiali. Filip lewą ręką trzymał za ramę swój wyścigowy rower, dzięki niemu potrafił znaleźć mnie w parku, w sklepie, na ulicy w ciągu paru minut. Ścinając łuki na zakrętach, gnał przez Wildę nisko pochylony nad kierownicą z wydętą na plecach wiatrówką. I takiego właśnie Filipa, pędzącego na rowerze, z czupryną w lokach, zardościły mi wszystkie koleżanki. Nie chciałam, żeby mnie zobaczył, niech myśli, że jestem

jeszcze w Gdańsku. Ostatnio zdarzało mi się to coraz częściej. Czekaliby na mnie uparcie w parku, gwizdałby pod oknami, świecił reflektorem ze swojego stryszku (robił to także w biały dzień) – musiałabym w końcu wyjść z domu, wymyślić jakiś pretekst, kluczyć z Filipem po starannie wybranych uliczkach, żeby nie zobaczyły nas sąsiadki, bo znowu byłyby plotki.

Odrywając na moment wzrok od kiosku „Ruchu” (stamtąd powinna nadejść matka) zauważyłam, że Filip wyciąga coś z kieszeni wiatrówki i wyrzuca na ziemię. Stał nad kratą ścieku. To były podłużne kawałki metalu, odskakiwały od kraty w bok. Nie przerywając rozmowy z Filipkiem szukał ich nogą i jak piłkę podrzucał celnie butem w górę tak długo, aż utrafił między pręty i przedmiot wpadał w kanał. Co to było?

Zapomniałam o ostrożności i wychyliłam się zza kwiatów. Filip z wieloletniego nawyku co parę sekund spoglądał w nasze okna, no i dojrzał mnie. Nie ulegało wątpliwości – teraz już cały czas patrzy w górę, nawet przestał mówić, tak jest zaskoczony, Filipek też zresztą zadarł głowę. Cofnęłam się gwałtownie i w tej samej sekundzie zrozumiałam nagle, co takiego Filip wyrzuca do ścieku – naboje! Robi to publicznie, na środku ulicy. Nie tylko ja to widziałam. Dużo ludzi stało przy oknach, niektórzy nawet podłożyli sobie poduszki pod splecione na parapetach ramiona. Co się dzieje w mieście, jeżeli Filip ma tyle naboji? Widocznie udało mu się wdrzeć do magazynu broni razem z robotnikami i wziął parę pudełek, uspokajałam samą siebie, karabinu przecież nie ma.

Zaczynało się ściemniać. Strzelanina w śródmieściu przybierała na sile. Matki nie było. Nie było matki! Matki... Po chwili już o niczym innym nie mogłam myśleć. Pierwszy raz widziałam ojca w takiej panice. Włożył marynarkę. Ściągnął. Usiadł przy stole. Wstał. Włożył marynarkę. – Gdzieś trzeba iść, szukać. – Rozsypał cukier na stole i zaczął go starannie jedną dłonią zagarniać do drugiej, prawie kryształek po kryształku. Potem palcami wygrzebywał je z grubych nici serwety. Nie mogłam na to patrzeć. Wreszcie zdecydował: – Pójdę jeszcze raz do tych z góry, zadzwonię, może już odblokowali. – Tak trzasnął drzwiami, że aż jęknęła futryna, metalowa klapka w otworze na listy trzy razy podniosła się i opadła, a łańcuch dzwonił przez kilka sekund. Z telefonu oczywiście nici.

Przed bramą obok nas coś się złego działo. Jakaś kobieta strasznie krzyczała. Zgromadzili się ludzie. Chwilę stali ciasno zbici. Filip do nich podszedł, prowadząc ostrożnie rower po kocich łbach, uważając aby trząsł się jak najmniej. Wychyliłam się mocno z okna. Zabili chłopaka. Ktoś akurat przyszedł z wiadomością. Jest w szpitalu. Tomek, dziesięć lat. Nie pamiętałam tego Tomka. Pomyślałam, że już nigdy nie będę wiedziała, jak on wyglądał. Skuliłam się, poczułam chłód wędrujący po karku i w tym momencie zobaczyłam matkę. Szła, powłócząc nogami jak stara kobieta. Zbiegliśmy na dół i prawie wnieśliśmy ją po schodach. Gdy tylko zamknęłam drzwi wejściowe, wybuchnęła płaczem. Łkała głośno, zawodziła, jak wiejska kobieta. Nigdy w czasie wojny tak nie płakała. W przerwach między atakami szlochu zdołaliśmy się dowiedzieć, że szła kilka godzin, musiała przejść przez całe miasto, niektóre ulice są zamknięte. Wszędzie pełno wojska, wozy pancerne, nawet czołgi na rogach ulic. – Tyle zabitych – powtarzała bełkotliwie, jakby była pijana. Ugrzęzła w tłumie pod szpitalem. Obok, całkiem blisko, toczyła się regularna bitwa. Oblegli gmach na Jana z Czarnolasu. Co chwilę nieśli przez tłum na noszach ludzi, może i zabitych, nie widziała. Ubrania, fartuchy mieli we krwi, zostawiali krwawe ślady na chodnikach. Ranni jęczeli.

Ojciec ściągnął matce podarte pończochy, przyniósł miskę z wodą, rozlewając ją zresztą do połowy na środku korytarza i gąbką, długo, ostrożnie mył jej stopy pełne pęcherzy.

W środku bezsennej, nadsluchującej nocy (całe mieszkanie pachniało kroplami walerianowymi) poprzez ciągłą strzelaninę usłyszeliśmy nagle dziwny, dawno zapomniany, tętniący dźwięk. Najpierw pomyślałam, że to szumi mi w uszach. Zbliżał się. Zatrzęsła się od niego cała kamienica, dzwoniły wszystkie szyby i całe szkło w domu. Naszą ulicą w kierunku „Stalina” jechała kolumna czołgów. Żołnierze uważnie patrzyli w górę, na dachy, na okna. Bali się? Matka gwałtownie odsunęła nas od szyb.

- Lepiej, żeby nie widzieli.
- Przesadzasz – powiedział ojciec. – Przecież nie będą strzelać.
- Nie byłabym taka pewna!

* * *

Taki mechanizm. Podobny do gry w słowa. Wyraz wywoławczy – z jego ostatniej sylaby rodzi się nowe słowo. Łańcuch, teoretycznie bez końca. Splatanina. Coś jak najprostsza ozdoba na choinkę, jeden kolorowy paseczek za drugi kolorowy i skleić, spróbować, czy nie puszcza, i trzeci kolorowy pasek. Efekt końcowy zależy od zestawu barw. Można się zdecydować na zasadę kontrastu lub kontynuować układ złożony z odcieni jednej barwy. Jeszcze jest możliwość trzecia, zastosowanie obu metod, przemienne. Wtedy działa efekt zaskoczenia. Słowo rodzi słowo, barwa wyprowadza barwę, zdarzenie z teraźniejszości wypukuje z ciemności – minione.

Wszyscy to robiliśmy po trzynastym grudnia. Splataliśmy te cholerne łańcuchy na użytek własny i dla słuchaczy. Poza zgodnym wnioskiem, że oto pewne elementy powtarzają się w naszych biografjach, nic tą metodą nie potrafiliśmy wyjaśnić. Nic się nie zbliżało ani nie oddalało, po prostu nadal t r w a ł o przed nami nienaruszone, skostniałe od mrozu, oparte o rusztowania, których wiązań nie znaliśmy.

Liza Wicyńska jako człowiek teatru miała rację, powiedziała bezpośrednio przed internowaniem, że to jest prapremiera, więc nie ma sensu jej do niczego porównywać.

* * *

Czas zamkniętych drzwi. Po trzynastym grudnia gmachy były ich, korytarze, schody, sale. Bali się, że zalegniemy tam, rozbijemy namioty, rozłożymy materace?

Reżim wejść i wyjść jak w koszarach. Na terenie uniwersytetu można było przebywać jedną godzinę dziennie, oddając w portierni legitymację pracowniczą. Gmach Prasy był strzeżony bardziej rygorystycznie. Do redakcji „Strugi”, w której od lat prowadziłam dział poezji, nie pozwolono mi wejść. Żadne tłumaczenia, że mam tam potrzebne do pracy notatki, nie skutkowały. Wierszówkę pozwolili odebrać. Na przepustce wypisano numer pokoju. Czas wejścia i domniemany czas wyjścia, w sumie piętnaście minut powinno wystarczyć, uznano. Poruszać mogłam się tylko po wyznaczonej trajektorii. Każde wejście wyżej, lub zejście niżej było naruszeniem regulaminu. Na podeście stała kobieta, którą znałam z widzenia, kiedyś sprzątała bufet, kroїła kielbasy na talarki grubości hostii. Teraz sprawdzała przepustki wydawane parę stopni niżej, pokrzykiwała. Miała nowy, ostry głos, nowe ruchy i błyszczące oczy. Cała była nowa. Funkcyjny człowiek. Kiedy weszłam do ustępu, spojrzała na mnie karcąco, ale zezwoliła, kiwnęła głową. W szklanej gablocie „Solidarności” tkwiły przybite pinezkami zwycięskie informacje dalekopisowe z terenu. Pacyfikacja trwała. Ogniska oporu gasły. Polska jak gabłota ulegała zawłaszczeniu. Kamienne wnętrze gmachu po piętnastomiesięcznym trzęsieniu ziemi z wolna wracało do normy. Już krzepło w bezruchu.

Wczesną jesienią, po jakiejś wyjątkowo długiej nasiadówce zebraniowej, powiedziałam w redakcji: – Jedyne marzenie: siedzieć przez tydzień w ogrodzie. – Naczelny uniósł znad matrycy numeru obręczką twarz: – Ano, będzie pani siedzieć, to jedno mogę pani obiecać – i po sekundzie milczenia – na pewno będziecie siedzieć!

W pokoju zapadła cisza. A. (dział prozy) znieruchomiał z ręką uniesioną do góry, akurat zamykał okno:

- Co ty gadasz? Ty już zupełnie tracisz poczucie rzeczywistości!
- To się okaże.

Naczelny nigdy nie ukrywał swoich poglądów. „Solidarność” od początku uważał za ruch

niepoczytalnych. Legendą obrosło zdarzenie, opowiadane szeptem w naszych trzech pokojach wygospodarowanych z trudem dzięki przepierzeniom z dykty, że na wiadomość o ponownym przyjeździe papieża do Polski – zasłabł. Trzeba było wzywać pogotowie, ciśnienie skoczyło mu do 250.

Schody gmachu były nareszcie czyste. Sprzątaczką z dumą patrzyła na ich niepokalaność i z wrogością na każdego dzwoniącego do bramy.

– Wytrzeć nogi do sucha! – krzyczała z góry, przechylając się niebezpiecznie nad balustradą. – Wytrzeć do czysta! – Niektórych redaktorów zawracała. Schodzili posłusznie na dół. Nie wierzyłam własnym oczom. Oto utrwał się nowy rytm. Pierwsze takty nowego rytmu.

Tylko kościoły pozostawały szeroko otwarte. Ranne msze za internowanych i aresztowanych.

Naprzeciwno szkoły msza dla naszych uczniów. Pełen kościół. Piotr w komeżce. Widziałam go ponad głowami tłumu, aż do połowy pleców. Między nim a księdzem toczyła się walka. Proboszcz zwalniał, Piotr przyspieszał. Błyskawicznie podawał naczynia liturgiczne, ruchy miał odmierzone, jakby pracował przy taśmie. Tak samo odpowiadał zawsze na lekcji. Nigdy nie mogłam zgrać rytmu moich pytań z oczekiwanym rytmem jego odpowiedzi. Połykał słowa, gubił części zdań. Teraz raz z jednej, raz z drugiej strony ołtarza migąła mi jego ścięta na jeża czupryna. Spod śnieżnobiałej, nakrochmalonej komeżki wychodziły rękawy zielonego swetra z latami ze skóry przyszytymi na łokciach. Duże porysowane traktory (dobrze je znałam, miał długie nogi i wystawiał je daleko poza swój stół) zaświeciły białymi od soli podeszwami wprost w klęczący tłum, gdy poderwał w górę dzwonki na podniesienie. Uderzenie było tak silne, że ksiądz gwałtownie drgnął, jakby ktoś za jego plecami głośno trzasnął drzwiami.

Czy widziałam kiedyś Piotra idącego normalnie, zastanawiałam się w szumie modlitwy? Zawsze biegał. Schody pokonywał po trzy stopnie. Kiedy przebijał się przez korytarz, młodzież ciasno zbита przed drzwiami gabinetów prędko przesuwiała się ku ścianom, odwracała bokiem, robiła mu miejsce skwapliwiej niż nauczycielom. Tratował, bił łokciami, uderzał po głowach płóciennym workiem wypchanym książkami, który nosił zamiast teczek, przerzucał go z ramienia na ramię szerokim półkolistym ruchem, jakby biegł po pustym polu. Co to było, zastanawiałam się, brak tolerancji, nieumiejętność współżycia z grupą? Defekt wyobraźni? Miał naturę wodza. Działał wszędzie, gdzie mógł: samorząd, harcerstwo, sekcja żeglarska. Może właśnie to – przywykł do dużych przestrzeni i po prostu nie przyjmował do wiadomości ścian i tłoku. W trakcie ostrych dyskusji na lekcjach czasem gwałtownie wstawał i mówił krótko:

– A ja to skreślam!

– Co to znaczy, skreślasz? – denerwowałam się. – Podaj argumenty.

– Módlmy się za aresztowanych i internowanych, za panią profesor Monikę Dendzik...

Tym razem mówił wolno, robiąc właściwe pauzy między słowami. Kościół zafalował, poszedł po nim szmer i nagle uniosły się w górę dziesiątki rąk ze znakiem zwycięstwa.

Młodzież wychodziła w zupełnej ciszy i wolno z dziedzińca spływała jak ciemna fala, przez pustą jezdnię, pod szkołę. Otoczyła gmach zwartym półkolem. Wielka, dębowa brama była na głucho zamknięta, okna pokryte lodem wyglądały jak zamalowane białą olejną farbą.

Kiedy przechodziłam przez jezdnię, nie widziałam nikogo z moich uczniów, poza Florkiem, nawet się rozglądałam, szukając wzrokiem znajomych twarzy. Nie wiem, jak to się stało, ale na skraju chodnika znajdowałam się już w zwartym kręgu moich dwóch trzecich klas. Nie przypominam sobie, o czym mówiliśmy, czy pytali mnie o coś? Pamiętam tę scenę w ostrym śniegu i w ciszy. Staliśmy twarzami do gmachu i wszyscy, to się czuło, chcieliśmy jednego – wejść do środka. Obrażała nas ta zamknięta przed nami szkoła. Młodzież siedziała teraz (w myślach) w swoich ławkach, przed swoimi profesorami, gotowa do pracy. Nauczyciele otwierali dzienniki, sprawdzali listę obecności, wywoływali do odpowiedzi.

To była wiara w magiczną siłę rytuału. Wierzono, że gdy mechanizm szkoły raz ruszy i zacznie się toczyć według działających od lat reguł, pojawi się szansa, że reszta tej pędzącej nie wiadomo gdzie rzeczywistości wskoczy sama w ustalone tryby.

Już rozchodziliśmy się wolno, z ociąganiem, rozglądając się na boki, kiedy dobiegł do nas Piotr. Jeszcze szamotał się ze zbyt ciasnym skafandrem. Nie mógł wepchnąć do środka rozciągniętego swetra, wełna wkręciła mu się w zamek błyskawiczny. Zostawiliśmy go z „Łysiakiem” i Laurą. Nisko pochylona wysuptywała nitkę po nitce z metalowego suwaka. Robiła to bez rękawiczek, tupiąc raz po raz dla rozgrzewki. Spojrzałam na jej skupioną, nagle dziecienną twarz i zrozumiałam, że nie mam już do niej najmniejszego żalu. Odetchnęłam z ulgą.

Nawet żywa przestrzeń naszych mózgów, słów, nawet ona miała zostać zawłaszczona, a co dopiero przestrzeń publiczna. Ich chorobliwa wrażliwość na sprawę wejść i wyjść. Na podstawie programów telewizyjnych można było dojść do wniosku, że cała Polska składa się przede wszystkim z bram, portierni, wjazdów zamkniętych łańcuchami, szlabanami; na białoczerwonych znakach pobrzękujących na wietrze dzwoniło czarne słowo „stop”. Przepustki, dowody, legitymacje pracownicze oddawano przy wejściach, odbierano przy wyjściach. Specjalni ludzie, służby porządkowe, ormowcy – całe zaplecze milicji działało sprawnie, obstawiało nas i pomniki, rogi ulic, rogatki miast, szosy wjazdowe. Wkładali głowy do aut, kontrolowali, przesuwali bagaże.

Bramy zakładów pracy były punktami newralgicznymi, po ich zdobyciu hale, maszyny, robotnicy stanowili już ich własność. Z wyjątkiem paru kopalń. Kiedy różowy spiker w mundurze, na tle ściany wojskowego studium telewizyjnego powiedział, że w kopalni „Wujek” zginęło siedmiu górników, Mięzał zwinął się gwałtownie na naszej kanapie, objął nogi ramionami i kolebał się przez dłuższą chwilę do przodu i do tyłu, jakby go ktoś kopnął w żołądek. Od paru dni przychodził do nas, aby cierpliwie roztrząsać problem, czy powinien zgłosić się zgodnie z wezwaniem na komendę, czy nie.

Wejście – wyjście. Mięzał: jeśli pójdzie, będą obracali nim jak owocem, podrzucali, objęli, przechowywali, aby dojrzał. Jeżeli się nie zgłosi, zacznie co parę dni zmieniać pokoje, żyć w obcych zapachach, pić nie ze swoich szklanek, sypiać na stale innych tapczanach. Jak długo to potrwa: rok, parę miesięcy? Każdym włóknem mózgu będzie wsłuchiwał się w dzwonki, szuranie stóp, rozmowy na klatkach schodowych.

Co jest mniej upokarzające?

Nie można także wykluczyć sytuacji, że np. po rozmowie ostrzegawczej dojdą nagle do wniosku, iż nie jest niebezpieczny, oddadzą mu dowód i zwolnią. Z ich łaski będzie mógł malować, wyprowadzać psa, chodzić do przyjaciół, spać we własnym łóżku.

Mięzał rozważa. Opuszczona kudłata głowa, dłonie między kolanami, stale jeszcze ból we wnętrzościach po tej informacji o górnikach; popijają wodę z sokiem owocowym (herbata mu szkodzi) i – milczy.

Sytuacja górników: dla nich wyjście ze sztolni, z przodków, gdzie rozłożyli materace i są u siebie, w swojej czarnej codzienności, będzie dobrowolnym oddaniem ostatniego skrawka własnej przestrzeni. Wiedzą o tym. Ale z drugiej strony: co daje siedzenie kilku setek ludzi pod ziemią, jeżeli u góry całe miliony nie protestują? Dla górników zakres naszej wolności jest wprost oszałamiający. Możemy bez niczyjego zezwolenia wchodzić i wychodzić z własnych mieszkań.

Przed Wigilią telewizor oświadczył, że „gwarantuje bezpieczne święta”. Godzina milicyjna została zawieszona. Podarowano nam pod choinkę kilka nocnych godzin na mrozie, wietrze i ślizgawicy. Naród powinien być wdzięczny.

Na środku rynku płonął kościół. Palił się rzeświście od wejścia aż do wieży z czterema reflektorami, pod czterema złotymi tarczami zegarów. Nigdy dotąd nie chodziliśmy na pasterkę, wystarczyło otworzyć okno. Zapach mrozu łączył się z zapachem świec i żywicy; łóżka ślaliśmy, słuchając kolęd śpiewanych w kościele i na rynku. Wypełniały nasze mieszkanie.

Tym razem postanowiliśmy wyjść. Tłum na dole był znacznie większy niż zazwyczaj, czarny, milczący...

Myślałam o Monice. Właściwie przez całą Wigilię nie mogłam się zmusić, aby choć przez moment o niej nie myśleć. Kiedy nakładałam karpia, ostrożnie, by tłuszcz nie kapnął na podłogę, wyraźnie zobaczyłam jej wyciągniętą dłoń, trzymającą fajansowy talerz w niebieski wzór. Przymknęłam oczy i duży, skwierczący bąbel oliwy spadł na dywan. Bieganie po ścierkę, szukanie po szufladach wypełnionych gwoźdźmi, klamerkami, narzędziami – tubki z wywabiaczem do plam zajęło mnie na chwilę, a zaraz potem trzeba się było skupić na dzieleniu ryby, wyciąganiu ości. Ilekroć spójrzałam na choinkę: mrok gałęzi, skwierczące świece, kapanie stearyny, drgający ogień na długich knotach, swąd dymu, szelest łańcucha, gdy poruszony nagle prądem ciepłego powietrza opadał o gałązkę niżej, a przy otwarciu drzwi na korytarz jednoczesne pochylenie kilkunastu płomieni w tę samą stronę – to wszystko było po prostu jej obecnością w pokoju, w moich myślach.

Jak wygląda cela w dzień wigilijny? Jakie światła po niej chodzą? Jakie słowa?

Wyszliśmy. W powietrzu stał suchy, czysty mróz. Przez moment jasność mrozu i gwiazd oślepiła mnie tak mocno, że zapomniałam o wszystkim ciężkim, o całej tej walącej czerni. Ale Edward był czujny, spięty. Poślizgnął się.

– Tu nie można iść – oświadczył kategorycznie.

– Można, trzeba tylko ostrożniej...

– Nie o to chodzi! Nie widzisz, co się dzieje?

Zbliżaliśmy się do tłumu stojącego przed kościołem. Otaczał go pierścień mężczyzn z rękoma w kieszeniach, z wąsami, w kozuszkach. Na pierwszy rzut oka wyglądali na studentów, narciarzy. Stali w parometrowych odstępach, przytupywali. Jeden z nich, ukryty za ogromnym pojemnikiem na śmieci, mówił do krótkofalówki: – Tu olejarnia, tu olejarnia... – Stałam. Edward szarpnął mnie:

– Chodź, bo cię zobaczy!

– No to co, niech widzi. Poczekaj...

– Mówię ci, chodź! – znów mnie szarpnął, aż się zachwiałam na jakiejś wystającej grudzie lodu.

Zatoczyliśmy szeroki łuk po lewej stronie rynku i weszliśmy w ulicę. W bramach milicjanców. Raz po raz w ciemności żarzące się ogniki papierosów, prowadzone półgłosem rozmowy. Na podwórzach, przylegających do chodników, milicyjne gaziki, fiaty. Dalej, przy schodach na Dolną Wilde, dwie budy. Nie zauważyłabym ich, gdyby nie szum włączonych motorów. Widocznie marzli w szoferkach.

– Wracajmy!

– To t r z e b a obejrzeć. To ważne.

– Chcesz, żeby nas któryś z nich wylegitymował?

– A co? Korona by ci z głowy spadła?

– Masz ognia? – zaczepił nas ledwo trzymający się na nogach pijak.

– Dam panu zapałki.

– To mnie napawa, wybitnie – wybełkotał, zatoczył się, objął drzewo i nagle zupełnie trzeźwym głosem powiedział: – Pan patrzy, gdyby nie mróz, zapuściliby korzenie. – I odszedł prędko równym krokiem.

– Jest w tobie coś, czego nie rozumiem – kontynuował Edward, jakby w ogóle nie zauważył tej nagłej przemiany pijaka. – Zdecydowanie ubóstwiasz kretyńskie sytuacje. Pakujesz się w nie i mnie pakujesz, im gorzej, tym głębiej. Masochizm? No, rozejrzyj się: sami tajniacy, milicjanci i my w środku. Co ty tu chcesz oglądać? Nie znasz tego? Od urodzenia w tym żyjesz. Mnie dosłownie aż boli, kiedy na to patrzę, skóra mnie boli, cała twarz mi cierpnie. I z własnej woli pchać się tutaj?

Przy sklepie z pasmanterią stała grupa wyrostków. Pili wino z butelek. Dziewczyna zawo-

działa po poznańsku:

– Ady idź louz z tymi łapami. No, odpierdol się, bo nie ryncze za siebie...
Z kościoła dochodził powolny śpiew: „Bóg się rodzi, moc truchleje”.

* * *

„Zdecydowanie ubóstwiasz kretyńskie sytuacje”. Nie po raz pierwszy to słyszałam. Zdarzają się okresy, kiedy żyjemy w dwóch równoległych przestrzeniach. Wiry ludzkie, wspólne pieśni, wspólne bycie, zaświadczenie obecności, ścisk – to nie są żywioły Edwarda. Nawet nie jest ich ciekaw. Chłodny dystans. Boi się ubezwłasnowolnienia w każdej postaci. Wszelkie poddanie się woli zbiorowej, ruchom mięśni lub ruchom myśli upokarza go. Musi natychmiast wydobyć się, wyplątać, wywikłać, poczuć przed sobą otwartą przestrzeń. Wystarczy chwycić go na przykład za ucho, a już po paru sekundach zacznie walczyć, zupełnie poważnie, bez dystansu. Swoboda ruchów jest mu niezbędna. Krótka szamotanina i już jest – wolny.

Sam decyduje o momencie wejścia w grupę, zanurzenia się w zbiorowość, a i wtedy często wychodzi z kręgu, aby popatrzeć na rzecz toczącą się z boku.

Ze mną jest inaczej. C h c ę być w środku. Od czasów uczniowskich prześladowuje mnie podejrzenie, że coś toczy się poza moimi plecami. W nieznannej przestrzeni zapadają ważne decyzje, na które nie mam wpływu. Typowe kompleksy jedynaka. Dotyczy to także życia osobistego. Zawsze bałam się samotności. Śni mi się często jako otwarta przestrzeń, lekko napięta; popękana skóra ziemi. Nad nią soczyste niebo jak wewnątrz owocu. Ociekające wilgocią gwiazdy. Stąd ich połysk. Chłód i czystość. Obroty światła, wiatru, wiry chłodu. Ale to wszystko jest obce, „inna przestrzeń”. Nie można w niej żyć. Ukłucie: igła w krtani, czasem w sercu. I strach. Wyrzywa mnie ze snu obcy dźwięk, którego naprawdę nie ma. Coś spada na podłogę, dzwoni telefon, czasem ktoś do drzwi, krzyk ojca zza ściany. Siadam na łóżku i wsłuchuję się w ciszę śpiącego mieszkania, długo reguluję oddech.

Te sny idą seriami. Są tygodnie, że pojawiają się w całości, dwa, trzy razy, albo powracają tylko ułamki, same znaki rozpoznawcze, jakby moja kora mózgowa, umęczona powtarzalnością, mówiła do mnie: dalej to już sobie radź sama.

Samotność pod gwiazdami. Ślad fascynacji Micińskim? Czy po prostu nośny archetyp?

Bardziej bebechowe, bliższe życia, są sny z hotelami. Mają nieskończoną wariantowość. Hotele jak całe miasta, rozległe, wieloczynnościowe, piętraste, w stiukach, balustradach, pełne chodników, boazerii, biało lakierowane. Setki identycznych drzwi.

Wychodzę z pokoju, a robię to tak lekko, mimochodem, bez żadnej konkretnej przyczyny, jakbym z chwilę miała wrócić.

Jeżdżę windami, wędruję po wnętrzach, góra, dół, poziomy. I nagle uświadamiam sobie, że nie pamiętam numeru pokoju. Nie potrafię wrócić. Jak mogłam tak bezmyślnie zatrzaskać drzwi! Należało przynajmniej zostawić je uchylone. Mała szpara, szczelina wystarczyłaby jako znak rozpoznawczy. Świadomość, że będę teraz żyła pomiędzy piętrami z wieczną nadzieją, że odnajdę właściwe drzwi, pozbawia mnie energii. Pocę się ze strachu. Czy on już zauważył, że mnie nie ma? Pewność – wyszedł! Ma swoje sprawy. Tak już zostanie. Od dziś będę chodzić sama po napiętych, chłodnych posadzkach. Omijanie. Można omijać się latami. Przechodzić tak blisko, a jednak kołami, jak nakręcone zabawki, zawsze po tych samych łukach. „Bezkolizyjny przewóz dusz”. Normalne wyjście z pokoju okazało się ostateczną ewakuacją.

Zastanawiam się sennie, wolno: co zostało w tym pokój, w moim drugim życiu? Sprzęty, myśli? Bliskość. Bezpowrotnie utracone uczucie bliskości. Nie było „między”, nie istniało „między” pod elektrycznymi zegarami, które cięły nasz czas. Ta sama krew w nas płynie? Wspólna pepowina? Oczy chodziły za oczami, obracały się za sobą, dotykały z daleka i ten

sam ogień w] dłoniach, w skórze. Jak to się sypało, sypało latami, miesiącami, sekundy ciszy, zaspę, na końcu zadymka, poza którą nic już nie widzieliśmy. I pomyśl, mówiłam we śnie do kogoś, kogo już przy mnie nie było – okazuje się, że można wyjść po dwudziestu latach z czyjegoś życia tak zwyczajnie jak z pokoju, nawet drzwi się zamkną normalnie i do końca. Zamek miękko kłąśnie, jakby go zawczasu przezornie naoliwiono. Ktoś nas zaplanował? Zrealizował i usunął ze sceny, jak zbyt realistyczną dekorację?

Ostatnie uderzenie serca, znów po tamtej stronie i budzę się zmęczona w środku nocy z pewnością – jestem sama!

A jak było w dzieciństwie? Jak daleko sięgnę pamięcią, zawsze musiałam mieć przy sobie! kogoś bliskiego.

Najpierw była Lucyna. Nasze obrzędy, całe układy zabaw, toczące się zawsze w tych samych miejscach. Czasem zastanawiam się, czy to one nami grały, czy my nimi. Podawała nas sobie ławka na podwórzu, odbijały sześciokątne płyty, nas i nasze kolorowe linki, gdy bawiliśmy się w skakankę, kawałki szkła, kiedy grałyśmy w klasy, wszystkie „piekła” i „nieba”, na które zdecydowanie kredą dzieliłyśmy przestrzeń, skomplikowane układy mieszkań, pokoje przechodnie między śmietnikiem a kratą ogrodu, drzwi zamknięte na magiczne „zakluk – zakluk” (nie wolno było przez nie przejść). Cała ziemia podwórka znaczyła, każdy jej kawałek był dodatkowo nacechowany. Ileż bogaciej niż dzisiaj żyło się wtedy tej kamiennej płycie. Teraz, kiedy przechylam się przez balustradę balkonu, plac przeważnie śpi, między kamieniami rośnie trawa, leży śnieg, spacerują koty.

Od dnia, gdy rodzice zabrali nas do opery na „Toscę”, zaczął się okres teatru. Robiliśmy go na podwórzu i w mieszkaniu. Kleiliśmy kostiumy. Wyciągałyśmy z szaf suknie mam, kupony materiałów. Podwójne drzwi między pokojami zastępowały kurtynę. Lucyna pojawiała się na środku sypialni w żółtym kole wiszącej lampy, w krótkiej organdykowej sukience i tańczyła, śpiewając:

Kozaka by chciała tańczyć,
Kozaka by chciała.

W trakcie zabaw gubiłyśmy poczucie rzeczywistości. Razem stanowiłyśmy coś w rodzaju tandemu.

Intrygował mnie ojciec Lucyny, znany cukiernik, który wykonywał bajkowe rzeźby, całe sceny z marcepana i czekolady, dekorował okna wystawowe, zdobywał nagrody na międzynarodowych konkursach i całymi wieczorami słuchał zachodniego radia wśród niewiarygodnych trzasków. Pamiętam, że czasem wbiegałyśmy w ferworze zabawy do jego odległego, przylegającego do strychu, pokoju. W czerni, zaciągał na zamkniętych oknach grube zasłony, świeciły zielonym, rozproszonym światłem jedynie dwa akwaria i duża skala radia. – Ma takie hobby – tłumaczyła mi matka – nie zajmuj się tym. – Rozumiałam, że nie powinno się o tym mówić. Ojciec Lucyny wrócił z Zachodu dopiero w 47 roku. Ciekawe, jak potoczyłaby się dalej moja przyjaźń z Lucyną, gdyby jej rodzina nie wyprowadziła się nagle prawie z dnia na dzień gdzieś na drugi koniec miasta.

Później był Filip. Na gwiazdkę dostałam ostatnią lalkę, a wiosną Filipa. Prawie na własność. Już nie wiem, jak go poznałam, chyba w jakiejś grupie. Był starszy ode mnie o całe sześć lat: on siedemnaście, a ja jedenaście. Trudno zrozumieć, dlaczego nie traktował mnie jak dziecka, a popadł w stan adoracji i sentymentalnego uwielbienia. Wszyscy jego przyjaciele musieli mnie zaakceptować. Traktowano nas z całą powagą. Żadna inna ulica nie miała takiej pary. Byliśmy niepowtarzalni; wierni i trwali.

Pamiętam, jakim szokiem dla wszystkich był sąd Filipka o nas. Po trzech latach doszedł do wniosku, że coraz mniej do siebie pasujemy. W końcu zrzucano to na karb jego złego samopoczucia. Miał kłopoty. Był środek lat stalinowskich i akurat wyrzucano go z wielkim hukiem, ze wszystkimi zetempowskimi szykanami, z dziesiątej klasy. Nie złożył samokrytyki. Nie wiem, co mu konkretnie zarzucano. Poza analizą własnych emocji, świadomością, że

gwałtownie rosą mi piersi i zdziwieniem, że jednocześnie coś mną zaczęło pisać wiersze, nic innego nie było mnie w stanie zainteresować.

Wiersze przepisywałam starannie, opatrując tytułami: *Taniec lotosu* (po obejrzeniu chińskiego baletu), *Promyk słońca* (wiosna) itd., do maminego, przedwojennego pamiętnika. Okładka była z drewna. Wyrzezano na niej profil górala w kapelusiku z piórkiem.

Matka Filipka przyszła do nas do domu, aby poradzić się ojca, jak ratować syna. Pomógł przenieść go do innej szkoły i tak się wszystko powoli rozeszło po kościach. Filipek skończył nawet studia.

W przeciwieństwie do mojej dziewczyńskiej przyjaźni z Lucyną, z Filipem nigdy nie dzieliłam jego zainteresowań. Nie miałam najmniejszego zrozumienia dla jego elektrycznych pasji, tajemniczych modeli, które montował na swoim stryszku, sprężyn, bezpieczników, żarówek, fleszy i reflektorów, dla jego zupełnie wyjątkowych latarek, które świecąc – jednocześnie cicho powarkowały, aparatów fotograficznych i „fotek”. Powiększył moje legitymacyjne zdjęcie i aby było bardziej naturalne, dziwną techniką zabarwił. Miałam twarz w kolorze różowej landrynki.

W okresie, kiedy silniej przeżywałam wzruszenia bohaterów Rollanda niż swoje własne, Filip zajął się pokonywaniem przestrzeni. Rower: dętki, torpeda, lakiery na nową ramę, łątki, części niklowane itd. W marzeniach – motocykl. Coraz częściej powtarzał: „nauka ma wszy” i całymi popołudniami gnał po wildeckich ulicach, wystawał na rogach, zakładał w bramach z kumplami jakieś sitwy, wymieniał różne metalowe części, gwinty na zawleczyki lub na odwrót. I choć codziennie wędrowaliśmy razem pod lipami, topolami, kasztanami w zależności od tego, którą z ulic wybraliśmy, czułam się coraz bardziej sama. Lucyny już nie było, Moniki jeszcze nie było. Próbowалам walczyć z nieuctwem Filipa. Na gwałt potrzebowałam partnera, kogoś z kim mogłabym wędrować po ulubionych książkach, tematach, przeżywać poczucie wspólnoty. Powtarzałam mu argumenty ojca, które miały pokonać mój własny wstręt do matematyki. Żadnej satysfakcji nie dawało mi mechaniczne rozwiązywanie zadań, stosowanie tych samych reguł do stale nowych zestawów cyfr. Ojciec upierał się, że mam tak długo ćwiczyć, aż zasady „wejdą mi w krew”, dziesiątki, setki zadań – tylko to miało mnie uratować. Nigdy nic z tego nie wyszło! Aż do samej matury byłam matematycznie nieobliczalna. Potrafiłam popaść w nagłą aberację wobec najprostszycy działań, które nagle nie wiadomo czemu wydawały mi się nielogiczne, a skomplikowany problem rozwiązywałam bez większego zastanowienia. Robiłam błędy przy dodawaniu ułamków, nie mówiąc już o pomyłkach liczbowych, choćby w dzieleniu. Mój mózg w jakimś miejscu źle funkcjonował, coś tam wadliwie podłączono.

Filip nie uczył się programowo. Po prostu miał inną wersję życia. Czysta praktyka. Sam w swoim warsztacie rozwiązywał to, co go interesowało. Teorię natychmiast zamieniał w praktykę, tylko to się liczyło. Kiedy tłumaczyłam mu, że musi skończyć szkołę, jego intensywnie niebieskie oczy, z długimi rzęsami jak u dziewczyny, zamieniały się w dwa zimne kamyki, traciły jakikolwiek wyraz. Te oczy nie słuchały, po prostu wyłączył je, wyciągnął sznur z kontaktu, prąd już nie dopływał. Koniec. Nabył także denerwującego mnie zwyczaju – podrzucił na bucie kamyki. Skupiał się na tej czynności maksymalnie, jakby od tego zależało jego życie. Ja zaczynałam mówić, a on natychmiast szukał pod drzewami, na poboczach odpowiednich kawałków szkła lub kamieni. Widziałam tę prędką, płochliwą wędrowkę jego oczu, nagły błysk radości: jest, podrzucenie w górę, nadstawienie stopy i już – teraz mogłam mówić, ile chciałam.

Kiedy przeszłam do dziewiątej klasy, wzięli go do wojska na dwa lata. I tak w sposób automatyczny czas Filipa się zatrzymał, a mój pognał, oddalając mnie coraz bardziej od jego infantylnych listów z błędami ortograficznymi, pisanych pismem technicznym, w których donosił zwięźle o „trudach żołnierskich”. W każdym, pod podpisem, wyrysowywał kredkami w czterech kolorach ten sam skomplikowany węzeł spleciony z naszych monogramów.

Coraz częściej w tamtym okresie zdarzały mi się dziwne chwile, kiedy zwykłe patrzenie stawało się nagle tak intensywne jak dotyk, jakbym przepuszczała przez palce duże, chłodne ziarna. Pojawiał się przy tym zawsze ten sam rytm. Był w moim oddechu, a może na zewnątrz, w powietrzu? I to było nowe. Linie podziału nie biegly jak dawniej, zdecydowanie między mną a pozostałym. Przeciwnie, patrząc stawałam się powoli tym, co oglądałam: połać ociekającego słońcem pola z krwawym cięciem świeżo przeoranej ziemi, pędzący do strumienia piarg, na którym nie można postawić stopy, czarna igła gotyckiej wieży... To wszystko widziałam t y l k o j a i j a to wybierałam w pędzie, z nadmiaru. Stanowiliśmy całość, jedną spletaną bryłę nie do rozdzielenia. Za każdym razem wiedziałam jedno – muszę to zatrzymać. Próbowałam malować, ale farby były zbyt ostre, jednoznaczne, za szybko się rozplýwały, wsiąkały w siebie, przedmioty traciły kontury. Do tego przeszkadzał mi sam papier. Narzucał się zbyt intensywnie. Wystawały z niego złote drzazgi, przebijały się rdzawe plamy, gruzelki, marszczył się. Stanowił osobny byt, którego nie umiałam sobie podporządkować.

Słowa wydawały się posłuszniejsze. W każdym razie zawarłam z nimi pakt.

Wierność wobec zobaczonego. Autentyzm. Jeszcze wtedy nie wiedziałam, ile pułapek czyhało na moją „piszącą rękę”, na moje „piszące ciało”. Tak już zostało. Do dziś piszę sobą. To prymitywna metoda, ale przynajmniej do pewnego stopnia sprawdzalna. Pisze mój dotyk, smak, oczy, piszą moje kości obciążone taką a nie inną skórą, moja twarz, stopy, pod którymi wyczuwam najmniejszą nierówność, piszą moje mięśnie. Po zderzeniach z ludźmi i przedmiotami dźwigają w sobie coraz więcej krwiaków. Długo wyczuwam je pod palcami, jak kamienie w sybkim piasku. To także jest przyczyną (drugą), dla której zawsze chcę być w środku. Aby pisać, muszę czuć, jak ocierają się o moją skórę zimne prądy, jak przesuwają się pod stopami chrzęszcząc ruchome dna. „Ady idź louz, bo nie ryncze za siebie”, zdanie – pędzący żwir, mokry piasek, który nagle poderwany wiatrem bije w twarz, a z drugiej strony ulicy fala gorącej krwi: „Bóg się rodzi, moc truchleje...” Jednocześnie usłyszane dwa uderzenia, warto było wyjść po nie na zamrożony plac pełen milicjantów i pijaków. Niosłam je do domu, jak dwa cenne trofea, powtarzając w kółko w myślach, aby ich nie przekreślić. Gdyby nie Edward, chodziłabym po tych wigilijno-wojennych ulicach znacznie dłużej. Rozżarzone choinki w oknach i raz po raz wylaniające się z ciemności, w świetle latarni niepokalanie białe pałki zomowców.

To, że Filip praktycznie na całe dwa lata opuścił miasto – okazało się niespodziewanie ważne. Mogłam, nie rozpraszając się, spokojnie eksploatować pamięć o nim, przedzierać się przez nasze prawdziwe minione chwile, odnajdywać ślady autentycznych wzruszeń, białe strzałki malowane kredą na drzewach.

Mój las przełożony na słowa – okazał się nagle czytelny, zamienił swoją niepo czytelną gęstwinę na dobrze oznakowane szlaki. Wolno wymieniałam Filipa na wiersze. Był moją pierwszą opisaną prawdą. Uczylałam się na nim handlu wymiennego. Wyeksploatowany z dnia na dzień tracił na wartości. I kiedy w końcu przyjechał po roku na swoją pierwszą przepustkę, stał mi się zupełnie obcy. Zobaczyłam go od razu z okna klasy. Przyszedł pod szkołę. Akurat wychyliłam się, aby zerwać liść winorośli (obrasła cały fronton gmachu). Przez całą lekcję łaciny przyglądałam się temu liściowi. Znałam go na pamięć: środek purpurowy, brzegi zielone z żółtawymi żyłkami. Postanowiłam go zasuszyć, niech przetrwa. Ugrzązł między ramą okna a parapetem i szamotał się na wietrze, jakby żył. Ptak?

Filip stał naprzeciwko furty, po drugiej stronie jezdni, już na tle straganów. W popłoch wprawił mnie jego mundur. Pomyślałam o obcym, towarzyszącym mu zapachu. Już go znałam. Wędrował do mnie razem z jego listami, kwaśno-zatechła woń. Wymknęłam się ze szkoły tylnym wyjściem. Na szczęście brama od dziedzińca przy sali gimnastycznej była jeszcze otwarta. Zupełnie nie rozumiałam, co się dzieje. Dlaczego właściwie uciekam? Przecież jeszcze dwa dni temu napisałam wiersz pełen tęsknoty za nim. A teraz nagle... Odwróciłam się. Zobaczyłam go z profilu na tle straganu z jabłkami. Stał przechylony do przodu,

czujnie wpatrując się w bramę szkoły, aby mnie nie przegapić między dziesiątkami dziewcząt w identycznych fartuszkach z białymi kołnierzykami. Jak ja przed nim uciekałam! Wydawało mi się, że mnie goni. Byłam winna! Napiętnowana winą. Kiedyś zostanę za nią ukarana. Wierzę w to do dzisiaj. Pierwsza moja zdrada. Człowiek za wiersze! Wszystko, co w Filipie było barwnego, zagarnęłam, wyniosłam jak swoje, jakby mi się to nie wiadomo dlaczego należało! Filip walczył jeszcze o mnie przez kilka następnych lat. Wystawał po bramach, przysyłał przez przyjaciół listy i kwiaty. Doszło do tego, że ze strachu przed nim nie wychodziłam sama z domu. Organizowałam sobie obstawy – przyjaciółki, koledzy, a później nowy chłopak. Ale jak ja mu miałam wytłumaczyć coś, czego sama jeszcze wtedy w pełni nie rozumiałam? Pisanie zastąpiło mi Filipa do końca. Nie odczuwałam już zresztą takiej intensywnej potrzeby przyjaźni. Lubiłam, kiedy w mieszkaniu nikogo nie było, nie musiałam błyskawicznie na dźwięk zbliżających się kroków chować kartki z wierszem i udawać, że wkuwam wzory. Przy pisaniu ulegałam gwałtownym uniesieniom. Przyprawiały mnie o zawrót głowy. Wszystko wydawało mi się wtedy osiągalne, teksty rodziły się spontanicznie, bez żadnej myślowej kontroli. Do tego uskrzydająca pewność: to co piszę, jest genialne! Chowałam „urobek” na dno szuflady, pod stosy notatek, listów, za owijki brulionów. Miały czekać na odpowiednią chwilę.

Z miłości Filipa, z tego prawdziwego szaleństwa, które ogarnęło połowę jego młodości – nie pozostało nic! Ani jeden wiersz o nim w całości nie przedarł się do żadnej z moich późniejszych książek. Czas się nad Filipem zatrzasnął, nad tym chłopcem o niebieskich oczach, ostrych rysach, nad jego dłońmi, którymi potrafił montować rzeczy nieskończenie precyzyjne, a których wyglądu już sobie nigdy nie przypomnę. Nie wiem, naprawdę nie wiem, jakie dłonie miał Filip, jaki kształt miały jego paznokcie. Czy te dłonie były smukłe, szerokie, silne? A przecież to były pierwsze męskie dłonie, które pieściły moje ręce, dotykały leciutko moich warg, włosów.

* * *

W pierwszych tygodniach stanu wojennego żyłam czujnie. Starłam się zobaczyć, a potem spamiętać jak największą ilość słów, zachowań, zapachów, ludzkich twarzy, własnych reakcji, lęków. Notowanie wobec ciągłej groźby rewizji nie miało sensu. Jednocześnie kusiło mnie, aby raz wreszcie ustalić, jak pojemną mam pamięć. Jej sprawność była gwarantem, iż nie zmarnuję czasu, w którym jestem, nie sprzeniewierzę się jego prawdzie. Stale więc przebywałam w kilku warstwach nakładającej się na siebie przeszłości i w spowolnionej terażniejszości. Przyznaję, nigdy potem nie czułam siebie tak intensywnie, nie poruszałam się w takim ostrym świetle i nigdy tak często nie mijałam samej siebie sprzed lat, sprzed kilku dziesiątek lat. Wcale nie dziwiło mnie na przykład, że nagle dojrzałam w swoim warkoczu, w warkoczu dziewczyny biegnącej przed trzydziestu laty wśród wildeckich topoli, kremową wstążkę w czerwone różyczki, którą dostałam z unrowskiej paczki i o której istnieniu pozornie zapomniałam.

Po latach z pokorą wpisujemy swoje życie w powtarzające się schematy. Nic nowego pod słońcem Ziemi. Biografie jako „miejsca wspólne”. Cała niezwykłość jest dopiero w szczegółach. I o te szczegóły toczy się gra. Wylapać z mijanego, jak ryby z pędzącej rzeki i ocalać. Ocalić niepowtarzalność. Jej nadmiar dany nam na własność. Z czasem każdy dźwiga w pamięci własną księgę. Można ją czytać od tyłu do przodu, otwierać w dowolnych miejscach, można także gubić swój czas, wytracać, marnotrawić. Żyje się wtedy ciasno, coraz ciasniej. Tylko od jednej granicy dnia do drugiej.

Dłonie Filipa? Widzę jego twarz, wszystkie jej kolejne, oddzielone od siebie latami wersje. Są czujne. Wąska, sucha głowa, w której jedynie oczy są niepokojąco soczyste, zawsze wilgotne. Widzę sylwetkę Filipa na tle śniegu (?), jakby wyciętą z ciemnego papieru. Rozpozna-

wałam ją nieomylnie z daleka, w tłumie (pochylenie pleców, ruchy?). Nadal brak dłoni, biała, pusta plama. Doskwiera mi ta luka, nieomal boli. Utraciłam coś, co było moje, zawłaszczone.

Gdy się fachowo rozkołysze pamięć szerokim łukiem (mam kilka własnych metod), można zagarnąć jednocześnie kilka warstw czasu, można nawet minąć samego siebie i chociaż przez błysk być w przeszłości naprawdę, zachłusnąć się jej powietrzem i w i d z i e ć przedmioty, które miało się kiedyś w dłoniach, twarze, światła. Żywiół pamięci jest wtedy rozpasany, pełen powodzi, ruchów tektonicznych, z osuwającą się nagle spod nóg warstwą lat, której nie można już zatrzymać, no bo jak stopami zawrócić rzekę? Trzeba się poddać z pokorą nieznanym mechanizmom. Rządzą tym ciemnym światem zgromadzonym w naszej czaszce. Udaje się z niej czasem coś prawdziwego wystukać, na przykład brzmienie twojego głosu, gdy potarzałeś w środku nocy: „otwórz oczy, otwórz oczy”.

Takie wędrówki po minionym są jednak często niebezpieczne. Obudzone zdanie, wyjęte brutalnie z ciemności, potrafi zaświecić tak intensywnie, że później przez całą bezseną noc nie potrafimy go zgasić. Raz się przebiwszy do teraźniejszości, załęgnie się w niej, zwinie w kłębek, zadomowi się i nigdy nas już nie opuści. Oddychające, ciepłe zwierzę przeszłości. Dobrze jeszcze, jeśli nie atakuje, nie jest drapieżne, nie pożera godzin, w których akurat żyjemy, bo i to się zdarza. Przez kilka lat męczyłam się z powracającym jak refren piosenki tekstem starego listu, który kiedyś otrzymałam. Bez powodu wyłonił się z pamięci i został. W słońcu, pod gęstym świerkiem, w zapachu żywicy, z rękami pod głową, pełna szczęścia potarzałam w myślach automatycznie, nie uświadamiając już sobie znaczenia tych słów: „Wychożąc z założenia, że to co między nami było, skończyło się, uważam, że odpowiedź na pytania zawarte w pani liście jest co najmniej zbyteczna.” Budziłam się nocą z tymi słowami, z ich rytmem uwięzionym gdzieś w krtani, z akcentami starannie rozłożonymi, tak jak powtarzałam je w pamięci, lekko skandując.

Inny powracający do dziś motyw, to fragment wiersza Broniewskiego od słów, przy których ugrzęzłam kiedyś w środku recytacji, musiałam zejść ze sceny w zażenowanym milczeniu widowni:

Poranek marcowy. Jak cicho.
Jak dziwna się jasność otwiera.
I tylko tak ciężko oddychać,
i tylko tak trudno umierać.

„Jak cicho” – hasło wywoławcze, otwarcie perspektywy na ciąg dalszy, który niezmiennie toczy się wbrew mnie, na przekór mnie. Nie umiem go zatrzymać, jest w środku, jak bicie kół o szyny w trakcie jazdy pociągiem.

Zmęczona po iluś tam lekcjach wchodzę na przykład na schody i coś natychmiast mną mówi. Prawa stopa „jak cicho” – lewa, na następnym stopniu – „jak dziwna” – prawa na wyższym – „się jasność” – i lewa – „otwiera”. – Na pierwszej dwunastostopniowej kondygnacji w naszej klatce schodowej obracam wokół całą zwrotkę. Jeszcze dodatkowo dbam o to, aby zdążyć z nią na czas przed podestem. Trzy kroki poziomo i znowu w górę schodów i w dół wiersza: pierwszy stopień – „jak cicho” – i tak w kółko przez całe dwa piętra.

Dziwactwa, natręctwa pamięci zdradzają nam część prawdy o nas. Wyprawy w głąb morza, w minione, dla zbadania linii brzegu, na której stoimy.

* * *

Nasłuch na przyjaciół. Najczęściej powtarzane pytanie: – I co ty o tym wszystkim sądzisz?

Potem patrzyło się czujnie w oczy indagowanego, aby z ich wyrazu, biegu zmarszczek, skrzywienia warg odczytać cudzą prawdę. Jeszcze wtedy nosiliśmy uczucia na twarzach. Gdyby za ich wyraz internowano, połowa Polski siedziałaby w odosobnieniu. Wszyscy przypominaliśmy termometry raz zanurzone we wrzątku, raz w lodzie: optymizm – pesymizm.

Zmieniało się to parę razy na dzień. Mięzał (oprócz malarstwa zajmował się także krytyką) na pytanie zadane w drugim dniu stanu wojennego: – Gdzie my teraz będziemy drukowali? – odpowiedział natychmiast rześko: – Jak to, gdzie? W tygodnikach nie, w miesięcznikach tak.

Szczególnie intrygował nas Kiejstut. Człowiek-instytucja, jeśli chodzi o rozmiary spraw, które załatwiał dla swojego Zakładu Lingwistyki Matematycznej i dla siebie. Wzorowa twarz z równo przyciętą brodą, nowoczesny intelektualista, znak myślowej niezależności. Pełna swoboda, luz, ale to tylko pozory. Kto go pamięta jako studenta, chłopca ze wsi uczącego się mozolnie całymi nocami, w akademiku, na piętrowym łóżku, z kłakami waty w uszach, aby się chociaż trochę odizolować od tych na dole pijących, grających w karty, ten wie, ile go ten pozornie niedbały perfekcjonizm kosztował wysiłku. Ani śladu Kiejstuta dawnego – niedogolonego, w wytartych na kolanach spodniach, w wyjętych z naftaliny swetrach, wyjadającego nożem skwarki ze smalca. Zmienił skórę. Metamorfozę wpisał do rachunku tuż obok erudycji, pozycja druga w jego biografii. Wyznał mi kiedyś dwie swoje zasady człowieka jeżdżącego na Zachód, po pierwsze – dobre sakwojaże (nigdy nie mówił „walizki”), najlepsze, jakie można kupić, nesesery, drobiazgi potrzebne w pracy. „Oni” podobno po tym oceniają człowieka. Po drugie, tu w kraju dbać o każdego gościa z Zachodu, nie szczędzić pieniędzy, energii, obwozić po okolicy i dalej, karmić, poić najlepszymi trunkami, załatwiać wykłady, tłumaczenia, jednym słowem inwestować w takiego, inwestować i jeszcze raz inwestować. W końcu zwraca się z nadstatkiem. To jest już prawdziwy biznes. Jeden kontakt nie wypali, drugi, trzeci nie, ale za to czwarty nagle chwyci, nigdy zresztą nie wiadomo, który.

Kiejstut kocha dobre rzeczy. Najlepsze rzeczy. Przyjemność mu sprawia zanurzanie dłoni w czystej, żywej wełnie, zanurzanie zębów w mięszu południowych brzoskwiń, picie koniaku, dyskusje z dobrymi partnerami. Raz po raz wydobywa wtedy z siebie, gdzieś z wnętrza brzucha, zadowolony rechot, pół-śmiech, serię sapnięć. Lubiliśmy wieczory z nim. Jeździliśmy we czwórkę (razem z jego żoną, Jana) na wakacje, nad południowe morza. Kiejstut nie toleruje monotonii, zawsze musi być w ruchu. Nigdy nie zapomnę, jak któregoś kolejnego ranka pojawił się na hiszpańskiej plaży w pełnym słońcu, w kąpielówkach, z czarną teczką pod pachą. Usiadł po turecku na gorącym, za gorącym piachu i zupełnie poważnie oświadczył: – Jeśli mi nie pozwolicie zreferować, co przeczytałem w „Newsweeku”, zacznę wyć...

Po Sierpniu przyjmował nasz entuzjizm ze źle ukrywanym sceptycyzmem. W trakcie dyskusji, w trudnych dla siebie momentach, ścigał ciężkie okulary, masował nasadę nosa, i trzy, cztery razy otwierał i zamykał powieki. Robił to mechanicznie, jak duża celuloidowa lalka z mojego dzieciństwa. Rysy mu wtedy tężały, twarz traciła wyraz, jakby na tęczówki naciągnięto mu białe, plastikowe ochraniacze. Później często jednym zdaniem odwracał tok rozmowy.

W połowie 1981 roku na stereotypowe pytanie: – Co ty o tym?... – z patosem odpowiadał: – Zbliżamy się do katastrofy! – Na nasze lekceważące machnięcia ręką czerwienił się gwałtownie od wewnętrznej furii i krzyczał: – Wszyscy jesteście niebezpieczni! Przestaliście myśleć!

Oglądaliśmy go jak ciekawy okaz: futrzaste, przestraszone zwierzątko o czarnych, rozbieganych oczach. Przyjaciół, który tracił grunt pod nogami. Wyciągaliśmy dłonie, usiłowaliśmy doholować go do naszej wyspy, ale stawiał opór. Po ogłoszeniu stanu wojennego byliśmy u Kiejstutów na kolacji. Wtedy już nie mówił, lecz gestykulując perorował w poczuciu własnej nieomyślności. Pod jego dłońmi uniwersytet rozpadł się w powietrzu. Zobaczyłam to dosłownie – ciemne płyty piaskowca jak chłodne karty wysliznęły się spod dachu, padając na wielki plac w centrum miasta przed pomnikiem Mickiewicza i krzyżami wzniesionymi przez robotników z zakładów Cegielskiego (dawniej im. Stalina) dla ofiar czerwca 1956 roku. Wielkie rumowisko z biegającymi wokół bezradnymi studentami, którym zamknięto wydziały, uniemożliwiono studia, sprowadzono do poziomu półanalfabetów, zniszczono marzenia o karierze. Nikt z nich już do niczego nie dojdzie, rozpaczal w ich imieniu, szlag trafi całą polską

naukę, inteligencję. Teraz to już tylko kwestia czasu. Zamienią nas w błocko, maź, rozgniotę, urobiją, zrównają, przytną, zatupią buciorami (jak u Wicyńskiej w „Gigantach z gór”). Przyjdzie walec i wyrówna.

– Zobaczycie, jakie czasy nadejdą! Zobaczycie – kasandrzył, nalewając koniak w brązowe, dymne kieliszki. Trzęsa mu się dłoń. Kiejstutowi trzęsa się dłoń! Nie mogłam uwierzyć. Zalał serwetę, piękną, haftowaną. Miałam taką samą. Kupiliśmy je z Janą parę lat temu w Mamai. Jana – opoka Kiejstuta, jego silna kobieta, cenzor i oceniacz, patrzyła na męża bez zmrużenia oczu, próbując przynajmniej wzrokiem dodać jego po babsku drżącej dłoni – pewności siebie. Na dzień spojrzenia pogarda. Nie umiała jej ukryć. Jana nie toleruje niczego, co słabe, wahające się. Potrafi przewidywać i walczyć. Była jedyną ze znanych mi kobiet, która zdołała zgromadzić zapasy wszystkich trzech niezbędnych w domu proszków: do prania, mycia naczyń i pieczenia.

Widzę ją jeszcze, jak tego wieczora – po kruchym pieczystym – w swojej sterylnej kuchni, do złudzenia przypominającej gabinet zabiegowy, wysypuje do automatu proszek do mycia naczyń, a potem obraca się i z drugiego opakowania wrzuca do szufladki w pralce (zalana serwetą!) akurat tyle proszku, ile trzeba, bez żadnego oszczędzania, naciska dwa czerwone guziki i mówi do mnie – stojącej w drzwiach: – Już podaję kawę. – Jej głos w tych dwóch szumach: pralki i automatu do mycia; jest wyraźny, ani o ton za głośny, a potem jeszcze warkot młynka do kawy, bulgot ekspresu. Kłąśniecie drzwiczek lodówki i na stole pojawił się domowej roboty tort orzechowy, obłany czekoladą, pełen bakalii.

Przyglądałam się temu z zapartym tchem. W mojej kuchni wszystko od miesiący zamilkło, prac nie było czym, mieć nie było co, otwieranie lodówki nie miało sensu. Pracowała wprawdzie, mrużąc cicho, na zwolnionych obrotach – świecąc swoim bezwonnym, raz wreszcie porządnie wypucowanym wnętrzem. Za każdym razem, kiedy ją odruchowo uchylałam, szczerzyła na mnie swoją bezzębną szczękę, rząd równo wyciśniętych, pustych form na jajka. Programowo nie stawaliśmy w kolejkach. Jedliśmy i piliśmy, co było. Zamiast herbaty – miętę z ogrodu i dżem agrestowy własnej roboty zalany wrzątkiem, zamiast dobrej kawy – inkę, zamiast cukru – konfitury. Obiady przynosiliśmy ze stołówki. „Luz w propozycjach”, mówił Edward, cytując Białoszewskiego, w trakcie odgrzewania kaszanki lub gulaszu z serc wołowych w tak zwane „mięsne dni”. Na szczęście mieliśmy jeszcze dwa warkocze czosnku, urozmaicały smak sosów.

Ryż, mąkę, kilka gatunków kasz, pastę do zębów, cukierki „Miszka na siewierie”, mydło, nawet chałwę przysłał nam parę razy przyjaciel z Estonii. „U was podobno głód – pisał. – Kupiliśmy to, co wolno, bo czekolady, puszek mięsnych, tłuszczu n i e l z i a. Sprawdzają na poczcie. Raz paczkę cofnęli.” Paczki przychodziły zaszyte w płótno ze starych powłoczek, z adresem wypisanym kopiowym ołówkiem. Zupełnie jak w pierwszej połowie lat czterdziestych. Obracaliśmy je w dłoniach ze ściśniętymi gardłami, a później mozolnie otwieraliśmy. W środku były skrzynki zbite starannie z listewek i deseczek, do dziś trzymam w jednej z nich jarzyny. Przyjaciele z Europy Zachodniej paczek nie przysyłali. Raz po raz docierały od nich listy w luksusowych kopertach z pieczętkami „ocenzurowane” lub „nieocenzurowane”, z naklejonymi kokieteryjnie znaczkami „Solidarności”. Czytaliśmy je głośno, pełni lekkiego zażenowania, czemuś za nich zawstyżeni, gdy pisali o swoich kłopotach finansowych, ratach za dom. Trudno nam było ogarnąć wyobraźnią przestrzeń tamtego życia.

– Chromolę ichnie beszamele – powiedziec kiedyś Edward – wolę być tu i żreć kaszankę, niż kowbojom wykladać o Reju czy Orzeszkowej.

Patrzac mi prosto w oczy, rejestrując wyraz mojej twarzy, moje zaskoczenie i moją radość, Jana ustawiła na stole (obok tortu) cztery rolki francuskiego papieru toaletowego, dwie ogromne paczki waty i pięciokilogramową pakę proszku do prania: – To dla was.

Poczułam słodkawą, przebijającą przez opakowanie zapach detergentów i już widziałam w wyobraźni stos świeżo wypranej bielizny. Radości pierwsze, elementarne, których ci z Za-

chodu nie mieli szans przeżyć...

Wracaliśmy ze zdobyczą przez czarne, źle oświetlone ulice. Tramwaj zmienił kurs, jest uszkodzony i wraca do zajezdni. Powiało grozą spoza oszronionych drzew. No bo jak zomowcom wytłumaczyć w środku godziny milicyjnej, że to nie nasza wina, myśmy wyszli przepisowo, zgodnie z nakazem, to nie my, to oni; tramwajarze, motorniczy, brakoroby, „ludzie złej roboty”...

Wtedy to właśnie biegliśmy wśród topól w panice, biegliśmy ulicą z mojego dzieciństwa. Siatka z watą tłukła o nogi. Jeśli nas zatrzymają, zrewidują, znajdą francuski papier... Skąd ten papier? Zaczyna się od papieru toaletowego, a kończy na farbie drukarskiej.

– A mimo wszystko te same topole – powtarzałam w biegu, potykając się o grudy lodu, pilnując biegu Edwarda, jego pleców, ramion biegnących przy mnie, uważając, aby biec równo, nadażać za nim, identycznie regulować oddech, kontrolować uderzenia krwi do głowy. „A mimo wszystko te same topole”, topole dzieciństwa, między którymi skakałam, grałam w klasy. Myśleć o topolach, rozkazywałam sama sobie, przekładając siatkę z lewej ręki, słabszej, do prawej, myśleć o ich korzeniach, korze, a nie o milicji, nie o zomowcach. Nie ulegać psychozie, nie panikować... przecież Ziemia się nie przechyla.

* * *

Parę dni później sen. Nasza pralka. Odwirowuje. W środku wałą o bęben ręczniki frote, prześcieradła, dobrze widoczna poszewka w zielone kwiaty. Wrażenie, że tętnienie automatu udziela się kuchni. Chodzą całe ściany. I nagle głos z wnętrza pralki przygłuszony bielizną pościelową, błagalny, skandujący: „Nie-ma-wyjścia nie-ma-wyjścia”. Mokre, poskręcane jak powrozy prześcieradła wałą w bęben. Rozpędzona wirówka przypomina tętent pospiesznego pociągu. Budzę się z nim w mózgu, w głowie, w oczach. Mam go w całym ciele. Wrażenie – jeszcze na granicy jawy i snu – cały pokój jest oszalałym, świecącym bębniem wirówki, o który tłuczemy głowami, dłońmi. Rzuca nami, porywa, ciska...

* * *

Przekręcenie klucza, miękkie, zgodliwe kłąśnięcie zamka, pchnięcie drzwi, szpara, korytarz. Rytuał wchodzenia do własnego mieszkania. Znany zapach, gorycz rozgrzanego drewna zmieszana z kurzem. Deski podłogi, sęki, miejsca chore, które trzeba ominąć. Najlżejsze stąpienie rodzi przeciągłe sapanie, skrzypienie zużytego drewna. Cztery odmierzone kroki, drugi troszkę w bok i chłód klamki w prawej dłoni.

Każde szczęśliwe dobrnięcie do domu rodziło tamtej zimy uczucie ulgi. Wrażenie do końca nie domyślane – tutaj bezpieczniej. Wieczne gromadzenie się w pokoju przy herbacie, gdy za oknem zamieć, wiatr, zomowcy...

Tego wieczoru wróciłam około dziewiętnastej. Z gabinetu ojca dochodziły ożywione głosy. Nie mogłam się mylić. Ciotka Bacha. Zachwycony pysk Junga zwiniętego na jej kolanach i monotonne zawrozdzenie matki za każdym razem, gdy Bacha wyciągając dłoń z jego sierści, sięgała po kawałek sernika:

- Umyj ręce!
- Masz brudne ręce!
- Nie brzydzisz się?
- Możesz się od tego brzydsko pochorować.
- Nie mogę na to patrzeć.
- Robisz mi na złość!
- Ja też lubię psy, ale za każdym razem trzeba umyć ręce.

Ciotka nie zwracała na to gadanie najmniejszej uwagi. Przyjechała na dwa dni. Zabrali ją

służbowym autem. Kto? Nie bardzo wiedziała. Przyjaciel krewnych Loli. Pułkownik, był w cywilu. Przy stole na moment zapadła cisza. – Nic mnie nie obchodzi, kto zacz, grunt, że zawiózł i odwiezie. Porządny, nawet pomógł mi wejść na schody.

Musiała nas zobaczyć, bo od paru nocy nie sypia, ma przecucia. Martwiła się. Teraz już dobrze. Nie jest ciekawa mojego opowiadania o przesłuchaniu. Ma poważne kłopoty ze skupieniem się. Przyglądałam się jej starości. Siwe włosy ścięte po męsku. Twarz ze śladami opalenizny, pełna zmarszczek. Wygląda tak, jakby na jedno zdjęcie nałożono kilka różnych ujęć, najczęściej powtarzających się. Najważniejsze, zakrzepnięte w skórze jak w gipsie, są zmarszczki uśmiechu, najczęściej używane. Pojawiły się też nowe, pionowe wzdłuż ust i u nasady nosa. Właśnie dobrnęłam w opowiadaniu do zarzutów postawionych mi przez Szarego, gdy ciotka gwałtownie skrzywiła się, ściągnęła wargi. – Te stopy, nie chcą mnie już nosić – powiedziała, ale zaraz uśmiech, trochę wstydlivy, że się jej tak wyrwało, bo przecież nic się strasznego nie dzieje, nie ma powodu do zmartwień.

Zaczęła wyjmować z torby butelki, słoiki, spóźnione prezenty gwiazdkowe. Przetwory, jej własnej roboty. – Na nic innego już mnie nie stać, trudno! – Przy każdym szkle sprawdzała szczelność zakrętki, gładziła miłośnie słoje, polerowała rękawem szkło, aby lśniło. Gruszki z borówkami, maślaki w occie, dynia w occie, sok wiśniowy, powidelka... Przyjechała z darami. Patrzyła na nas, czy się cieszymy. Czy doceniamy. Był w tych „zaprawach” jej wysiłek, jej myśl o nas, serdeczność. Nie, nie kupuje owoców. Przyjaciele przynoszą z lasu, z własnych sadów.

Spokój Bachy. Przyglądałam mu się jak rzadkiemu przedmiotowi. Wygląda na to, że starość, choroby, stan wojenny nie budzą w niej lęku. Daje światu, jego szaleństwu, jego niepoczytalności swoją zgodę. Próbuje żyć z bólem kości i z godziną milicyjną. Jej oczy (z wiekiem coraz jaśniejsze), gdy badają gęstość soku wiśniowego, są zajęte tylko nim. Nie ma w tym momencie dla Bachy nic ważniejszego. Pestka wiśni kolebie się w syropie, przechyla się wolno w prawo, lewo, naga pestka, która dostała się tutaj przez niedopatrzenie, której tu nie powinno być, budzi jej autentyczny gniew. – Paskuda, jak ona tu weszła?

Z drugiej strony stołu oczy ojca pod nastroszonymi brwiami, ciemne, pełne wirów, jakby przez tęczówki bez przerwy płynęły dwa wartkie strumienie, coś w nich wciąż dzwoni na alarm, pędzi, przepycha się. Te oczy są nieszczęśliwe, umęczone, te oczy tak przypominają mi moje, że spuszczałam powieki, nie patrzę na ojca, ukrywam siebie przed nim, moje źrenice przed jego źrenicami.

– Będzie wojna – powiedział zdecydowanie, machając z lekceważeniem dłonią na prezenty ciotki. – Świat oszalał – dodał, włączając dziennik telewizyjny z wojskowym spikerem i natychmiast zamieniając pokój w poligon. Ruszyły przez ekran czołgi, grymasy polityków.

Ciotka ciężko wstała, opierając się oburącz o stół i zaczęła przenosić słoje do kuchni. Jung biegał między nią a mną, starając się wywabić mnie z tego nagle obcego wnętrza.

Siedziałam w półmroku. Światło z korytarza odbiło się o sok w butelce. Wyglądało to, jakby w jej czerwonym wnętrzu zapalono świecę. Bacha coś mówiła do matki, melodyjnie, lekko, swoim dawnym głosem (nie starzał się razem z nią), nie słuchałam. Wiedziałam – jest tu po raz ostatni. Czy uświadamia to sobie? Jej ciepła, żywa obecność, jej piękne dłonie. Zostaną owoce, które obierała, z których wydobywała pestki, zostaną na półkach w naszej szafie...

Od kilku lat czułam, jak ona i rodzice powoli, ale stale odchodzą. Już nie biegałam do nich z każdą radością i zmartwieniem, do ich matowych, coraz bardziej obojętnych oczu. Kiedy patrzyli na mnie, wydawało mi się, że jestem już tylko drobną, wyciętą z czarnego papieru sylwetką. Skupiali się na innych rzeczach. Matka na swoim organizmie: krwi, która nagle zgęstniała i wolno toczyła się w zwapniałych żyłach, ojciec z kolei, lekceważąc choroby, oglądał świat z perspektywy kosmicznej. Cała kula ziemską była w zasięgu jego obserwacji, los ludzkości. Żył w nasilającym się przecuciu katastrofy, totalnej klęski, która łącząc się z

zupelną w jego mniemaniu przegraną własnej biografii, utwierdzała go jedynie w poczuciu bezsensu życia, co z kolei dla niego, wierzącego dotąd w ostateczny „tryumf człowieczeństwa”, samodoskonalenie, ideały, wartości etyczne – było nie do przyjęcia. Szamotał się w tej sieci, którą sam na siebie zarzucił, jak ogromna ryba, obijał się i kaleczył. Cóż dla niego znaczył kryzys polityczny w Polsce, trudności z zaopatrzeniem, rozsypująca się kultura, nomenklatura i złodziejstwo! To tylko kolejne fazy idącej przez świat śmierci, zagłady. W tym kontekście starość okazywała się jedynie nic nie znaczącym epizodem. Zastanawiałam się, czy nie jest to skuteczny sposób na pokonanie lęku przed śmiercią. Z podejrzaną bowiem satysfakcją wylapywał z gazet i telewizji tylko wiadomości ponure, tragedie, wybuchy żywiołów natury, kataklizmy – potwierdzały jego ideę. Informował nas o nich z tajemniczym błyskiem w oku. Jego twarz ożywiała się wtedy, zapalała gdzieś od wnętrza, jak w czasach wielkiego działania, gdy wierzył jeszcze w polską „świetlaną przyszłość”, w edukację ogólnonarodową i rządy „oświeconych”.

Ciotka ustawiała na półkach wypolerowane słoje, matka myła ręce, walcząc z bakteriami, a ojciec nadśluchiwał zbliżających się kroków zagłady, gdy nagle przez obraz telewizyjny przebiegł drobny, prędko dreszcz. Skurczyła się twarz spikera, jakby jednocześnie z dwóch stron został spoliczkowany i ekran odezwał się nowym, głębokim basem: – Tu Solidarność walcząca. – Usta spikera otwierały się nadal rytmicznie, przez ekran płynęły łodzie podwodne, w powietrzu nad pustynią pojawił się desant, na jakimś brzegu małe figurki wysypywały się z amfibii, a zza ekranu padały informacje o internowaniach w Polsce, pobiciach, przesłuchaniach.

Ojciec dopiero po dłuższej chwili zorientował się w sytuacji i z okrzykiem – Solidarność się wdarła! – wybiegł z pokoju w poszukiwaniu Edka, aby coś z tym fantem zrobić, aby zamknął usta człowiekowi, który opanował Jego telewizor. Słyszałam, jak woła: – Ale ja nie chcę! Nie życzę sobie! Wyłącz natychmiast! – W jego głosie był lęk. Bał się. Bał się, że wtargną do mieszkania zomowcy i pociągną go do odpowiedzialności? Ten starzec, który z powodzeniem ukrywał się przez pięć lat okupacji, bijąc kilofem, kopiąc rowy, który prowadził tajne komplety, przygotowując do matury z języka polskiego, historii i matematyki swoich przedwojennych uczniów, teraz bał się jak dziecko, które coś przeskrobało.

Jeszcze jedno tępe, bezmyślne upokorzenie, które przyszło mu przeżyć.
„Solidarności walczącej” nie można było wyłączyć. Zgasiłam telewizor.

* * *

Taki układ dat, że pensja była już dwudziestego dziewiątego grudnia. Wreszcie musieli nas wypuścić. Chłód ogromnego, pustego wnętrza, trzypiętrowy grobowiec.

Na środku korytarza, na parterze, usłyszałam czyjeś kroki idące za moimi, równie prędkie. Stałam, widocznie nie usłyszałam stuku bramy. Odwróciłam się. Nikogo, popielata, połykająca gablotami przestrzeń. Ktoś się skrada? Śledzi mnie? Jechał za mną? Wnęka z popiersiem Słowackiego – tylko tam mógł się schować. No, może jeszcze za występem muru, za tablicą pamiątkową z nazwiskami profesorów pomordowanych w czasie wojny. Nad tablicą wisiał krzyż poświęcony przez Papieża. Tak, tam też mógł ktoś stać. I dopiero kiedy wróciłam aż do bramy, a kroki w pustce odezwały się ponownie, jeszcze wyraźniejsze, zrozumiałam, że to po prostu echo. Przez szesnaście lat biegałam, chodziłam, wlokłam się zmęczona po korytarzach Gmachu i nie miałam pojęcia, że mieszka w nich echo, że każdy dźwięk jest tu skrupulatnie powielony, odstukany przez mury, jak przez klaskające dłonie. Organizm? Może ta szkoła ma także ukrytą pamięć? Jakiś logarytmiczny zapis czasów, w których trwała? Ile transparentów, portretów przewędrowało przez jej ściany? Wieszano krzyże, zdejmowano krzyże, zmieniano hasła i nawet krój liter. Taki bęben pamięci, mózg Gmachu, żywa historia bezpiecznie ukryta przed cenzorami naszych dziejów w cielsku szkoły, gdzieś na zapleczu

pracowni, na strychu, w ciemnych pokoikach, przy kotłowni lub w salach gimnastycznych. W czasie licznych remontów, przestawiań ścian, raz po raz wyłaniały się nowe fragmenty przestrzeni, na przykład ciemnia fotograficzna, które ponownie po kilku latach gubiły się w gęstwinie Gmachu. Zapominano o nich. Szkoła miała swoje dzielnice, prowincje, regiony. Zdarzało się, że wyrzucano klucze od zardzewiałych zamków. Były wnętrza, do których przez całe lata nie zaglądano.

Od dawna czułam się w Słowackim, jak u siebie w domu. Znałam tu wszystkie zakamarki, zapachy sal, kolory światła w każdej klasie inne, skomplikowaną geometrię ram okiennych (zimną przenikał przez nie śnieg, mimo że zabijano je gwoździami), rysunek szpar w podłogach, skrzypiące deski i kamienne zapadliny w posadzkach. I może właśnie dlatego ta nagła obcość szkoły tak mnie zabolowała. Nawet nie musieli tu wkroczyć, wystarczyło, że publicznie ogłosili stan posiadania. I choć już wiedziałam, że to echo, to jednak znowu prędko, odruchowo odwróciłam się. Byłam intruzem? Jak to się stało, że w ciągu kilkunastu dni obłaskawione ulice, domy stały się tak wrogie, gdzie ten proces przebiegał? W murach, w kamieniu, w ziemi? Proces chemiczny?

Czy młodzież zaakceptuje ten stan? Pozwoli sobie odebrać Gmach? Jego ściany, gabloty, gazetki? Pogodzi się z kontrolą, oczami śledzących ruch piór, z podsłuchującymi uszami?

Na półpiętrze, przechylona przez balustradę, stała Zyta, psycholog szkoły, wyraźnie na czatach. Źle się ukryła, już od połowy korytarza widziałam spód jej zielonej spódnicy. Była krótkowidzem, bodaj cztery razy wysunęła głowę zza kolumny i prędko ją schowała, nim mnie wreszcie rozpoznała. Kiwała na mnie ręką, mrugała i jeszcze głową wskazywała, że mam koniecznie wejść na górę. Konspiracja. Dopiero się zaczyna, pomyślałam, a już na wejściu – błąd. Zwoływacz musi mieć dobry wzrok! Z wyborem ludzi nie było kłopotu. W trakcie zeszłorocznej batalii o nową dyрекcję podzieliliśmy się. Powstał układ stabilny: za, przeciw i siła trzecia – środek, większość, która niczym nie ryzykując, stawała po stronie silniejszego; tam powstaną teraz nowe podziały.

– Zaplecze za gabinetem chemicznym— wyszeptwała Zyta na przydechu, choć na korytarzu nikogo nie było, sekretariat miał na drzwiach ogromną, wyciszającą poduchę z dermy, a za sekretariatem, w gabinecie siedziała przecież n a s z a dyrektorka.

– Myślisz, że tu ktoś jest? – spytałam głośno, rozglądając się wokoło.

– Cicho, nigdy nie wiadomo. – Wyraźnie udzielił jej się nastrój Gmachu, kamienna obcość z wędrującym echem. W gabinecie, za regałem pełnym kolb, próbek, porcelanowych moździerzy, pałeczek szklanych do mieszania żrących mikstur, są trzy wysokie stopnie i maleńkie drzwi do zaplecza. Wchodząc trzeba się schylić. Chemiczka trzyma tam pod kluczem trucizny, środki wybuchowe, skomplikowane przyrządy, zbite jedne nad drugimi na kilku metrach kwadratowych.

Teraz zebrali się tu wszyscy, którzy powinni. A w środku Monika. Wypuścili ją w samo Boże Narodzenie! Jedyną z całej celi. Wyszła o godzinie dwudziestej.

Pochylone skupienie nad nią, nad jej opowieścią. Monika ściszona, wychudzona, w czarnym swetrze ze srebrnym medalikiem, paznokcie obgryzione i koło ust dwie nowe zmarszczki. Wiem, że nie mówi wszystkiego. Wyraźnie przeskakuje to, co najtrudniejsze, co opowie mi kiedyś, w cztery oczy. Teraz ma wersję dla nich tutaj, półprawdę, krzepiący obraz oporu, mieszaninę heroizmu, buntu i martyrologii.

Zaplecze jest bez okna. W świetle jarzeniówek wszyscy jesteśmy bladzi z sinymi kręgami pod oczami, tylko Chemiczka, dopiero teraz to widzę, cała jest w czerwonych, ognistych plamach, schodzą po szyi aż za dekolt. – Źle się czujesz? – zdołałam zapytać w krótkiej przerwie między zdaniem Moniki, a Chemiczka natychmiast wybucha, jakby tylko na to czekała.

Dlaczego nikt z nas nie powie jej prawdy? O co ją oskarżamy? Dłużej już tego nie wytrzyma. Nie jej wina, że przeniesiono ją z wiejskiej szkółki od razu do renomowanego liceum. To był przypadek. Zaczęła płakać. Głośno wytarła nos. Chce, abyśmy wiedzieli, że nie ma

sobie nic do zarzucenia. Żadnego świństwa nie zrobiła. Znajomy Zyty, to na pewno on, nie mogła się pomylić, widywała ich często razem, od paru dni jeździ za nią, za Chemiczką. Parę razy wpadła na niego w samie. A dzisiaj rano włókł się za nią aż na cmentarz. Bo ona często odwiedza grób dziadka. To było straszne. Skradał się za nagrobkami. Moment ciszy, znowu wytarła nos. Ilekroć się odwracała, widziała go gdzieś w pobliżu. Na szczęście przed cmentarzem wprosiła się do furgonetki „Uniwersum”. Inaczej stałaby z tym typem na przystanku autobusowym.

W pokoiku zapadła cisza, wszyscy patrzyli na Chemiczkę – nic nie rozumiejąc. Zyta ściągnęła okulary i jej krótkowzroczne, mrugające bezradnie oczy wyrażały zupełne osłupienie: – Mój kolega za tobą łązi?

Wczoraj zawezwali męża Chemiczki. Wmawiali mu, że w pracy był sabotaż, a nie zwykła awaria, i że on jest za to osobiście odpowiedzialny. Nie dopilnował, albo sam współpracuje z „wiadomymi ludźmi”. Coś mu kazali podpisać. Straszyli, że go internują. Przesłuchiwał go człowiek, któremu kiedyś dał wymówienie.

– Widzi pan, jak się role odmieńli? – spytał. Potem weszło jeszcze dwóch i głośno podejmowali decyzję:

– Bierzemy go?

– Nie, jeszcze nie teraz.

Czekała na męża w domu przez sześć godzin. Chłopak Zyty przez cały czas stał naprzeciwko okien. Dwa razy zauważyła, jak przechodził od drzewa do drzewa. Dzisiaj na korytarzu w szkole też ktoś za nią szedł. Słyszała kroki.

– To echo! – nie wytrzymałam. – Czyś ty zwariowała? Dlaczego ktoś miałby za tobą chodzić i do tego ktoś od nas? Może on po prostu mieszka koło ciebie, może ma także bliskich na cmentarzu...

– Myślałam, że mnie sprawdzacie.

Schowała w dłoniach mokrą od łez twarz. Dlaczego Zyta milczy? Jest speszona? Niemożliwe, wydaje mi się. Wyszła z zaplecza. W ciszy słyszeliśmy jej kroki najpierw w gabinecie chemicznym, na korytarzu, potem już prędkie po schodach. Zbiega w dół. Wuefista wyszedł za nią. Obraziła się? Co się tu dzieje? Może rzeczywiście podjęła jakąś akcję na własną rękę? Kim naprawdę jest Zyta? Trzy lata temu przyszła do szkoły, wtedy nawet dyrektor się jej bał. Miała za zadanie wychowywać w duchu socjalistycznym. Na każdej radzie wygłaszała żarliwe przemówienia. Po Sierpniu zaczęła uważnie słuchać naszych rozmów. Nie знаła wielu faktów z historii. Potem przyszła kolej na książki. W efekcie wystąpiła z partii. Zrobiła to pokazowo na ogólnym zebraniu w dzielnicy. Wygłosiła mowę. Zaczęła działać w harcerstwie, popadła w żarliwy, wojujący katolicyzm. Walczyła z nami ramię w ramię o zmianę dyrekcji. Miała tylko jedną wadę, mówiła zbyt gwałtownie. Czasem myliły się jej fakty, w zdenerwowaniu źle dobierała argumenty; w „starciach wręcz” (np. wizyta delegacji Rady Pedagogicznej u kuratora, w Komitecie Wojewódzkim) była bezużyteczna. Dlaczego nie spróbowała wyjaśnić niczego Chemiczce? Co to za człowiek, który chodzi za Chemiczką? Może to jedynie przewidzenie? Chora wyobraźnia?

Chemiczka mocno trzyma się stołu obiema dłońmi, wygląda na to, że niezbyt pewnie czuje się na nogach. Stół jest obity szarą ceratą, pełną rudych zacieków, brązowych, wypalonych dziur. Jej warsztat pracy. Wysiada tu często po lekcjach z uczniami, przygotowując zestawy ćwiczeń na następny dzień. Wyciąga z półek słoiki, buteleczki, mruczając pod nosem jakieś obco brzmiące nazwy. Podgrzewa próbówki, potrząsa nimi, dolewa czegoś, ogląda pod światło jarzeniówek. Coś tam stale koło niej bulgocze, syczy, wrze, dymi... Jej skupienie udziela się uczniom. Na zajęciach w absolutnej ciszy, tak samo mrużąc oczy jak ona, więc z identycznymi wyrazami twarzy, podnoszą kolby pod światło, zmniejszają płomień w palnikach gazowych, a potem uśmiech triumfu – jest! Coś tam się odbarwiło, wykrystalizowało z syczeniem, zgęstniało lub po prostu przestało istnieć.

Często pytałam: – Nie boisz się? – gdy przeprowadzała z uczniami niebezpieczne ćwiczenia. – Nie, a czego miałabym się bać, przecież znam przebieg reakcji – odpowiadała spokojnie. Nie zdarzały jej się rzeczy nie zaplanowane. Tutaj ona dyktowała reguły.

I nagle ruszył proces, którego przebiegu nie potrafiła zrozumieć. Cały kraj, szkoła, dom, pracownia zmieniły się we wrzącą retortę; grozi niekontrolowanym wybuchem.

Zapamiętałam tę scenę na zapleczu pracowni – o słonecznym poranku, rozegraną w sinym świetle jarzeniówek. Twarze ludzi wyrażały dużo: zaskoczenie, lęk, skrępowanie – całą gamę. Jedno wydawało się wspólne – uczucie osaczenia, jakby Gmach został oblężony, a na korytarzach stały erkaemy i warty.

Tłumaczyliśmy Chemiczce, że mamy do niej pełne zaufanie, że to tylko zmęczenie, nadmiar wyobraźni, przede wszystkim jej lęk o męża. Próbowała się uśmiechnąć, ale czerwone plamy z twarzy i szyi nie znikły, przeciwnie, pociemniały. Było widać, że nam nie wierzy. Nasz protest budził w niej jedynie coraz większą podejrzliwość. Wiedziała swoje. Może Zyta miała rację, że wyszła. Może tak właśnie należało zareagować na te absurdalne, chore słowa?

Wkrótce wszyscy, nawet najbardziej odporni, zaczęliśmy się czuć w Słowackim tropieni. Chodzono za nami, podglądano, podsłuchiowano – każdy z nas był tego absolutnie pewien.

Przestrzeń szkoły, razem ze ścianami, boiskiem i ludźmi miała zostać im oddana, zwrócona jak weksel. Całość! Żadnych azyli, miejsc osobnych.

* * *

Kto rozpoczął walkę o Gmach? My czy młodzież? Biały, ostry gniew, który wybuchął krzykiem protestu w klasach, pokoju nauczycielskim, a w czasie przerw opanowywał wszystkie korytarze – wolno, z biegiem miesięcy, wszedł do podziemia, ukrył się na dnie słów, za pozornie opanowanymi, ściśle odmierzonymi gestami. Tropieni – uczyliśmy się odwiecznych zasad mimikry.

Czas od końca stycznia do końca roku szkolnego dla nas wszystkich toczył się niemal wyłącznie tutaj. Bitwa o Gmach miała kilka faz.

Kolejność zdarzeń uległa w mojej pamięci drobnym odkształceniom. Nie umiem już dzisiaj ich wszystkich ułożyć chronologicznie. Co pozostało? Strzępy przestrzeni, każda z własnym rytmem, światłem, zapachem. Odległe w czasie, zminiaturyzowane sprawiają wrażenie, że mogłabym je ująć w dłonie, zważyć ich ciężar, poczuć granice, jakbym dotykała przedmiotów, a nie minionych lat.

Zdarza się także, że staję nagle twarzą w twarz z kimś zapomnianym, lub kaleczę się o jakąś rzecz, która upadła przed laty na podłogę i rozbiła się. Prawie można by uwierzyć, że przez ten cały okres leżała cierpliwie na ziemi, abym ją teraz dostrzegła, pochyliła się nad nią i aby mogła mi zadać ból.

Z Gmachem w pierwszych dniach nauki źle się działo. Zdziczał. Był jak wygłodzone, wielkie zwierzę. Pozbawiony przez kilka tygodni naszych oddechów, wypełniony zimnym światłem wędrującym od okien przez szkła portretów i gablot do czarnych, mięsistych tablic, stał się nagle wrogi, podstępny. Zza ukrytych drzwi, zakrętów korytarzy, zza kolumn można było swobodnie podglądać, podsłuchiwać.

Uczniowie czuli się w Słowackim obco. Zauważyłam, że wchodząc do Gmachu milkli: w czasie przerw było na korytarzach znacznie ciszej niż dawniej. Częściej rozglądali się, zwłaszcza na pustych schodach. Dawniej załatwiacze, ci, którym coś polecono, chodzili wolno, dostojnie, aby minęło jak najwięcej minut lekcyjnych – teraz biegali prędko od klasy do klasy, chcieli znowu znaleźć się w środku, być razem, między kolegami, a nie w groźnej korytarzowej pustce. Wielu z nich, jak i ja, dopiero teraz po raz pierwszy usłyszało szkolne echo.

I dlatego właśnie, że Gmach był stale jeszcze jak „nie swój”, kotwicę wymalowano na bo-

isku. Odgródzone od ulicy topolami, wysokim murem, leży świecąc kałużami, lodem, lub paruje w słońcu. Przez całe lata oglądałam je najczęściej z góry, z wysokości drugiego piętra, z okien mojej pracowni.

Tamtego ranka, jak zawsze w trakcie odpytywania, podeszłam do okna. Spojrzałam w dół. Na płycie, pod starym, żółtym napisem „Królestwo za konia” – duży znak Polski walczącej. („Koniem” nazywano starego dyrektora chyba ze względu na mozolnie hodowany czub nad czołem: płową falę, którą lubił potrząsać.) Kotwica była śnieżnobiała, wielka, namalowana przez rutyniarza. Czuło się tu dobrze wyćwiczoną rękę, proporcje zachowano nienaganne. Za moimi plecami zapadła cisza, ktoś kto odpowiadał, przerwał w pół zdania. Moment zawieszenia – inna rzeczywistość wtargnęła do pracowni. Tą ciszą wspólnie przeżyta uczciliśmy biały znak na dole. Stale jeszcze byłam odwrócona do uczniów plecami, nikt się nie ruszył, nikt niczego nie skomentował. To trwało dobrą chwilę. Niespodziewany przyływ patosu, coś bardzo w stylu mojego ojca, który zawsze – czytając patriotyczne wiersze – musiał pokonywać nagły ucisk w gardle, niemęski, tłumiony spazm szloch.

Kiedy wreszcie podeszłam do swojego stołu, cała trzydziestka patrzyła mi prosto w oczy. Nadal wszystko działało się w ciszy, jakby klasa była zanurzona nie w powietrzu, lecz w gęstym syropie. Pamiętam, że położyłam otwartą dłoń na dzienniku, na karcie ocen i nagle te stopnie pisane czarnym długopisem, czerwonym, niebieskim poruszyły się pod moimi palcami, jakbym włożyła dłoń do żywego mrowiska, zakręciło mi się w głowie. – Proszę dalej – powiedziałam do odpytywanego ucznia, swoim zwyczajnym głosem i w tym momencie spojrzałam na Laurę. Spuściła głowę i zaczęła wertować zeszyt. Jeżeli ona wie, kto to namalował, jeśli ma jakiegokolwiek podejrzenia... Będą tu za pół godziny, najpóźniej za godzinę. Zaczną przesłuchiwać. Kogo? W szkole jest tysiąc dwieście młodzieży. Przecież to nie musiał być akurat ktoś z tej klasy, uspokajałam samą siebie, nie wierząc w to jednocześnie, słuchając słów o *Przedwiośni* Żeromskiego. Stan wojenny wtargnął w środek analizy utworu. Przedtem szło spokojnie, ale teraz nagle temperatura interpretacyjna wzrosła. Wszystko zaczęło się im nagle kojarzyć z terażniejszością.

Obóz komunistów, stosunek komunistów do Polski, przywódców partii do robotników itd. Którzy z uczniów odpowiadał? Na pewno chłopak. Zapamiętałam ręce: spuszczone wzdłuż ciała, stał prawie na baczność, dłonie zaciśnięte w pięści, spodnie z czarnego sztruku, z długimi kieszeniami, zamkniętymi na zamek błyskawiczny. Mówił wolno, lekko utykając. Stefan! Tak, to na pewno był Stefan, bo i wyraz twarzy zaczynam sobie przypominać. Brak miki, nieruchomość, ta twarz jest zawsze jednakowa. Patrzył zazwyczaj na mnie ze swojej ławki pod oknem – niezależnie od tego, co mówiłam, czy żartowałam, czy tłumaczyłam na przykład istotę „sytuacji lirycznej”, tak samo skupiony, nieruchomy, notował wolno, myślał leniwie, ale poprawnie. Teraz szczegółowo omawiał metody przesłuchań więźniów politycznych w okresie dwudziestolecia, jak bito, typy tortur, warunki w więzieniach, ilość aresztowanych, przebieg procesów. Jego odpowiedź tylko formalnie była związana z tekstem Żeromskiego. Na boisku płonęła biała kotwica, pulsowała, świeciła. Niektórzy z uczniów przytknęli powieki, przypuszczam, że nadal żarzyła się pod nimi w czerwonych powidokach. W każdej chwili mogły się otworzyć drzwi klasy i ... Należało jak najprędzej rozbić ten balon ciszy, grozy. Udało mi się to dopiero przed dzwonkiem. Florek posłusznie zajął się wizją szklanych domów. Na niego zawsze można było liczyć w trudnych sytuacjach. Zwłaszcza w trudnych sytuacjach. Wtedy się mobilizował. Odniosłam wrażenie, że rozumie moją intencję. Starał się mówić interesująco. Grał. Często zmieniał rytm zdań, nawet gestykulował. Najpierw patrzyli na Florca zdziwieni, pytając siebie wzajemnie; oczami: – Ty, odbiło mu? – Potem dwóch, trzech zaczęło leniwie wertować *Przedwiośnie*, szukając jakichś uciepionych pamięci fragmentów, które coś tam z jego tez potwierdzały lub im zaprzeczały. Paru się zgłosiło. Maszyna ruszyła, najpierw wolno, potem coraz prędzej. Cała klasa oddychała mitem szklanych domów! Zwróciła moją uwagę czujność Piotra. Kontrolował nas wszystkich jednocześnie,

jakby oglądał spektakl teatralny. Oczy mu biegały od jednego mówiącego, do następnego, potem drzwi, ja, okna, znowu drzwi... Gdy dyskusja ruszyła, Florek wyłączył siebie z obwo-
du. Był zupełnie nieobecny. Pochylił się nisko, włosy opadły mu na twarz, nie widziałam jej wyrazu. Dłoń z długopisem znieruchomiała nad pustą kartką. O czym myślał? Dlaczego mi pomógł?

„Królestwo za konia” – ten szczeniacki wygląd sprzed paru lat, na który dyrektor zareagował w pokoju nauczycielskim jedynie krótkim rechem i typowym dla siebie komentarzem: „ja pierniczkę”, i teraz znak Polski walczącej – tuż obok siebie. Trudno byłoby znaleźć dwa inne, równie znaczące symbole. „Słowacki” wkroczył w nowy etap swojej biografii. Wydobyli tę kotwicę z przeszłości i za jednym zamachem dokonali karkołomnego zestawienia swojego pokolenia z „pokoleniem straconym”. Teraz czekali, co z tego wyniknie.

W trakcie przerwy po raz pierwszy wydało mi się, że Gmach jest znowu z nami. Może dlatego, że korytarze były tak szczelnie wypełnione młodzieżą. Nikt nie wyszedł na boisko. Większość stała ciasno zbита przed drzwiami gabinetów, rozmawiano cicho. Kotwica płonęła samotnie. Na parterze obserwowano drzwi wejściowe. Na pierwszym czujki stały pod oknem, z którego było widać podjazd przed szkołą, a na drugim obstawiono okno wychodzące na boisko. Ci z wnętrza korytarza raz po raz uważnie przyglądali się kolegom spod okien, ich nieruchomemu wyczekiwaniu. Stan zawieszenia trwał. W środku przerwy Dyrektorka wyszła z sekretariatu. Odprowadziły ją uważne spojrzenia. Badano jej twarz. Co zrobiła? Zadzwo-
niła do władz? Czy nie? Dyskutowano na ten temat. Zdania były podzielone. Usłyszałam:

- Koń by zadzwonił natychmiast.
 - Koń tak, ale ona nie.
 - Nie? Mogą ją z pracy wyrzucić.
 - No to wyrzucają. Straty muszą być...
- Specjalnie przeszłam przez cały korytarz, podsłuchując:
- Po twarzy nie poznasz.
 - Jest zupełnie spokojna.
 - Cholera wie, co będzie!
 - Ale..., nic nie będzie, co ma być? Wszystkich internują?
 - Szkołę mogą zamknąć.
 - Zwariowałaś?

Uczniowie rozstępowali się przede mną wolno. Przepuszczając mnie, nie przerywali rozmów. Nie byłam tu ciałem obcym. Niektórzy przyglądali mi się automatycznie, z nawyku, ale widocznie nie zaskakiwał ich wyraz mojej twarzy, bo po sekundzie obojętnie odwracali głowę. Jak wyglądałam? Czy byłam chociaż trochę bledsza?

Przy zakręcie schodów między pierwszym a drugim piętrzem – Florek z dziewczyną. Trzymał ją za rękę. Coś do siebie szeptali. Drobna, czarna, chyba z niższej klasy, nie znałam jej. Zakochał się. Przypomniałam sobie, że jeszcze przed stanem wojennym przyniósł mi kilka swoich nowych wierszy, prosząc o ocenę. Były między nimi erotyki. Myślałam, że to gra wyobraźni. Okazuje się, że – miłość. Czas wybrał sobie ciężki. Bo choćby i teraz, cała szkoła w napięciu, nie wiadomo co będzie, a on ze wszystkiego wyłączony, spokojny, schowany za występem muru, sam z tym nagłym uczuciem. A jednak pomógł mi przed chwilą! Dlaczego? Przez pół godziny był moim prawdziwym partnerem. Razem rozegraliśmy tę partię. Zrozumiano nas właściwie: tutaj jest przede wszystkim szkoła, trzeba się uczyć. To prawda, każdej chwili mogą po raz drugi zamknąć Gmach, ale na razie jesteśmy u siebie – z nauczycielami, z pracą! To im pomogło. Wychodzili z klasy pokrzepieni, utwierdzeni w poczuciu własnych racji. Mieli prawo właśnie tutaj, gdzie uczą się myśleć, namalować swoją kotwicę. Była ich, znaczyła wszystko, co znaczyła. Kropka.

– I taka jest prawda i innej prawdy nie ma – usłyszałam za plecami, gdy zamykałam gabinet na klucz.

Gmach przypominał teraz wielki żaglowiec, na razie bezpiecznie zacumowany przy najruchliwszej w mieście ulicy. Jaki wiatr powieje? Jakie chmury nadpłyną?

Pamiętam, że akurat wyciągnęłam rękę, aby otworzyć drzwi do pokoju nauczycielskiego, gdy za plecami usłyszałam furkot. Tak, właśnie furkot, jakby w tym samym momencie ruszyły i cofnęły się jednocześnie wszystkie ściany, podłogi, po korytarzu szelest stóp w ciszy, takie prędkie przesunięcie. Odwróciłam się gwałtownie – od okna w głąb korytarza biegł Piotr. Jak spłoszony wróbel, zdążyłam pomyśleć i już wiedziałam, co zobaczył.

– Dwa polonezy, grupa cywilów i trzech wojskowych – powiedziałam wchodząc do pokoju i patrząc jednocześnie w okno na wprost drzwi wejściowych. Podnieśli głowy znad herbat, kanapek, dzienników. Dyrektorka wstała bez słowa, dopiero teraz ją zobaczyłam, nakryła swoją kawę spodeczkiem, aby nie wystygła, obciągnęła sweter i – wyszła.

Usiadłam obok Chemiczki, rozkładała kupkami sprawdziany według ocen: bardzo dobre, dobre – na prawo, dostateczne i niedostateczne – na lewo. Nie przerwała pracy, ale na jej szyi rosła gwałtownie ciemniejąca, czerwona pręga.

– Mają gnojki, co chcieli! – podsumowała tłusta anglistka, przezywana Piggi. To było o uczniach. Wszystkie głowy odwrócone w jej kierunku, ktoś akurat ściągął sweter, zamarł z jedną ręką w rękawie. Monika wkładała dziennik do przegródki, zachwiał się niebezpiecznie na listwie szafki, zakolebał, stracił równowagę i byłby spadł, gdyby w ostatniej chwili nie pchnęła go silnie, z wściekłością. Uderzył głośno o ścianę i ten tekturowo-drewniany stuk w ciszy zabrzmiał jak krzyk. Był jedynym komentarzem. Nikt się nie odezwał. Ze strachu?

* * *

„Wiadomy incydent” – powiedział tego dnia po raz pierwszy na nadzwyczajnej radzie pedagogicznej, zwołanej na dużej przerwie, wizytator Żarnoskroński. Domagał się uchwały potępiającej wrogą działalność młodzieży, która godzi w ustrój i sojusze. Liceum Słowackiego okazało się ośrodkiem dywersji, uczniowie manipulowani w „wiadomym celu” przez „wiadome siły”. Dyrektorka: – Skąd pewność, że to nasza młodzież? – Uchwały nie podjęto.

Kotwicę kazano zmyć. Szorowano ją ryżowymi szczotkami przez trzy kolejne lekcje: woźny, palacz i dwie sprzątaczkę, bez efektów. Nowe polecenie – zamalować. – To jest szkoła – tłumaczyła cierpliwie Dyrektorka – a nie zakład malarski. Nie mam farby, gdybym miała, dawno kazałabym pomalować ramy okienne.

Po dwóch godzinach przywieziono cytrynową. Zamalował woźny. Kotwica zniknęła. W nocy lał deszcz, Kotwica się przebiła. Płonęła zwycięską bielą w cytrynowym trójkącie. – Nie da rady – skomentowała Chemiczka. – Widocznie farba wiąże się z asfaltem.

Po paru dniach obok kotwicy pojawiła się litera „V”.

– Mała rzecz, a cieszy – powiedziała Monika do Piggi.

A Dyrektorka do funkcjonariusza SB: – Postawcie tu swojego człowieka, w nocy każdy może wejść na boisko.

Teraz Gmach. Wkroczył do gry jak nowy instrument. Zabrzmiał czysto. Znowu był nasz? Zastanawiające, że młodzież zaczęła go opanowywać od dołu. A przecież tam właśnie było najniebezpieczniej: wejście główne, przez które raz po raz wkraczały służby tajne, wojsko, władze oświatowe, i brama na boisko, tamtędy z kolei, jeżeli się znało rozkład Gmachu, można było wejść do wnętrza zupełnie niepostrzeżenie.

Sprawdziłam to któregoś ranka, Zatrzymałam auto nie na parkingu przed szkołą, lecz na bocznej uliczce, wzdłuż muru boiska. Furta z czarnych, giętych prętów była szeroko otwarta. Nie można jej zamknąć. Koń przed laty wymurował sobie tutaj garaż (mieszkał naprzeciwko szkoły), nadal nim dysponował. Wyprowadzał swojego fiata, a jego synowie dwa motocykle o różnych porach dnia i nocy. Kiedy Dyrektorka, na kolejnych naradach, z uporem maniaka domagała się zwrotu garażu (chciała urządzić w nim magazyn szkolny, a przede wszystkim

nie wpuszczać na teren zakładu obcych), odpowiadano jej niezmiennie, że nie powinna być małostkowa. Przemknęłam obok zamkniętej na głucho szatni, potem parę kamiennych stopni i ostro w lewo, w biały korytarz dobudowanego dwa lata temu tak zwanego „łącznika” między Gmachem a gabinetem lekarskim oraz nową salą gimnastyczną.

Tu trzeba stanąć i przyjrzeć się głównemu wejściu (też na lewo), W upatrzonym momencie przeskoczyć jeszcze dwa metry i w górę po schodach. Schody nie są już widoczne z portierni. Każdy tedy mógł wejść i swobodnie kontrolować część parteru, pierwsze piętro, obserwować wewnętrzne życie szkoły. Wyższe piętra, drugie i trzecie, miały już swoją własną, skomplikowaną geometrię. Przede wszystkim dwie, oddalone na długość korytarza klatki schodowe. Należało się liczyć z tym, że każdej chwili może się ktoś pojawić za plecami. W świetle dwóch okien na początku i na końcu korytarza intruz jest widoczny jak na dłoni, z daleka można ocenić: wagarujący uczeń, ktoś z rodziców, wścibski podglądacz. W pierwszych tygodniach wypłoszyłam w ten sposób trzech panów z wąsami, którzy na pytanie, co tu robią, bąkali coś niewyraźnego: – Ja do brata... – Przyszedłem pytać o książki...

Zdarzyło mi się także, że w ustępie na trzecim piętrze, gdzie ukrył się wypatrzony przeze mnie zwiedzacz, poszukiwano drzwi do sekretariatu. Wszyscy, choć nikt nie wydał takiego polecenia, pilnowaliśmy naszego Gmachu, uczniowie i nauczyciele. Wyższe piętra były niedostępne dla obcych, ale boisko, piwnice, parter stanowiły terytorium stałej inwigilacji, a tam właśnie wisiły tablice ogłoszeń, gabloty samorządu, ZHP.

Na tablicy samorządu informacja o jego zawieszeniu i starannie na bristolu wykaligrafiowany kolorowymi pisakami, otoczony stylizowanymi iluminacjami fragment hymnu Krasińskiego:

Święta miłości Kochanej Ojczyzny,
Czują cię tylko umysły poczciwe
[.]
Byle cię można wspomóc, byle wspierać,
Nie żał żyć w nędzy, nie żał i umierać!

Trochę dalej pełne teksty bajek *Ptaszki w klatce* i *Dwa psy*.

Wizytator Żarnoskroński (polonista zresztą) ilekroć wchodził do Gmachu, musiał minąć tę swoistą antologię poezji polskiej w wyborze uczniowskim. Czy sam przed sobą udawał, że nie dostrzega klucza, według którego dobrano wiersze? Zacietrzewienie. Był zacietrzewiony. Przyjrzałam się kiedyś z bliska jego twarzy mijającej gablotę. Znałam go przed laty, był nauczycielem, potem dyrektorem liceum – jednym z lepszych w mieście. Od momentu, kiedy zabrano mu jego ogólniak (zbyt wielu uczniów oblało maturę), a potem gwałtownie awansowano – okazał się nagle kimś zupełnie nowym. Nie ja jedna podejrzewałam, że go czymś szantażowano. Stał się osobą dyspozycyjną. Ów obcy więc Żarnoskroński, już bez ambicji naukowych, krytycznych, literaturoznawczych, gdy mijał gablotę samorządu, uniósł jedną brew w górę, aktówkę przełożył do drugiej ręki, przyspieszył, a zrównawszy się ze mną udał, że mnie nie widzi na pustym korytarzu. Udał, bo rumieniec gniewu przemknął po jego twarzy jak ruchomy cień. Widocznie naiwnie przypuszczał, że to ja inspiruję młodzież, podsuwam teksty, prowadzę „antypaństwową działalność”. Nie docenił młodzieży. Od Dyrektorki domagał się po pierwsze: rozwiązania starego samorządu, który się zawiesił. Po drugie: zorganizowania nowych wyborów. W szkole musi działać samorząd.

– Młodzież nie chce.

– Co to znaczy, nie chce? W olimpiadach też nie będą brali udziału? – podniósł głos, było go słycać w sekretariacie.

– Ale to jest, jak nazwa wskazuje, sa-mo-rząd – wyskandowała Dyrektorka, przeciągając sylaby. – Sam się rządzi. Ja nimi nie rządę, rozumie pan? W tej szkole jest taka tradycja.

Mówiła ostro, trochę piskliwie: tonem, jakim sztorcowała uczniów, gdy była czymś silnie przejęta.

Obok gabloty samorządu wisi gablota ZHP – gablota Zyty. Drużyna Słowackiego to „Czarna Trzynastka”. Od lat nosi tę nazwę. Co miesiąc trzynastego ma na boisku uroczystą odprawę w pełnym umundurowaniu. Zyta powiesiła w gablocie rozkaz – 13 stycznia na lilijkach ma być znak żałoby, czarny pasek. Rozkaz wisiał dwie godziny.

Potem rozpoczęło się bieganie na parter, oglądanie i debatowanie. Ogłoszenie zdjęto. Pierwsza zareagowała Piggi. Po zajęciach zwołali specjalne zebranie partyjne, w protokole Piggi kazała zanotować swój głos oburzenia. Wykazała czujność. Zawiadomiono Komitet Dzielnicowy. Efekt – nawet przepisowe czarne chusty potraktowano w tym dniu jako wykroczenie, a uroczystość uznano za protest przeciwko stanowi wojennemu. Apel się odbył, na wszystkich lilijkach były czarne paski. Następnego dnia do Gmachu na dużej przerwie wkroczyło dwóch pułkowników i czterech szeregowych. Jeden stał przed szkołą. Rozbiegli się po piętach. Korytarze zostały fachowo, ze znanstwem zaatakowane – jednocześnie z dwóch klatek schodowych. Musieli przestudiować plan szkoły. Szukali ulotek, plakatów, napisów. Młodzież chodziła za nimi gęsiego, około dwudziestu za każdym. Nic nie znaleziono. Piotr po lekcji języka polskiego został w pracowni. Zrzucił teczkę na ziemię, rozsypały mu się zeszyty, książki, jakieś wycinki z gazet. Zbierał je wolno, na kolanach, omijany, poszturchiwany przez wychodzących, świecąc ku mnie konspiracyjnie swoimi białymi, wytartymi od soli żelówkami. Czekałam. Powiedział, że tuż przed wtargnięciem żołnierzy, prawie na ich oczach, zdołał zlikwidować kilka poprzyipinanych w różnych miejscach „niedźwiedzi”, „wron”, „żółwi”.

– Tak trzeba? – spytał.

– Trzeba. Bo jeśli wy tego nie zdejmiecie, to oni zdejmą nam dyrekcję.

– Jasne. Ale w szkole są różni inni. Może się z nimi dogadamy, a może nie, trudno przewidzieć. Oni mają swoje programy.

Widocznie jednak coś tam wynegocjowali, ustalili podział kompetencji. Odtąd wewnątrz Gmachu było czyste i mimo różne lotne kontrole (czasem były trzy w ciągu dnia) żadnych ulotek nie znajdowano. Wiedziałam jednak, że „chodzą” po szkole. Wędrowały z teczek do teczek. Znajdowałam je w zeszytach, zakładano nimi kartki w książkach, wtykano do worków między trampki lub zwijano w ruloniki i trzymano w skórzanych piórnkach. Raz wypatrzyłam wychodzący uczeni z za grubej skarpety egzemplarz młodzieżowego pisma międzyszkolnego (po wybuchu stanu wojennego „zeszło do podziemia”). Gdy spostrzegła, że jej się przyglądam, oblała się czerwienią, jakbym przyłapała ją co najmniej na samogwałcie.

Mury szkoły, zwłaszcza te od strony boiska, pokryły kotwice, znaki V, „nie” i „precz”, wrony, żółwie, swastyki, wymyślne rysunki, kartki papieru z pieczętkami, hasłami. Punktem kulminacyjnym tego etapu było powieszenie na odgromniku Gmachu dużej flagi „Solidarności”. Było ją widać z całej dzielnicy, straganiarki na rynku pokazywały ją palcami, ludzie wychodzący z kościoła podeszli pod Gmach, otoczyli go półkolem, młodzież aż do pierwszego dzwonka stała z zadartymi głowami. Flagę tak przemyślnie powieszono, że trzeba było wzywać straż pożarną.

Reakcja odwetowa Piggi. W swojej pracowni kazała zdjąć krzyż. Zmusiła do tego ucznia z klasy pierwszej. Wszedł na stół i w ciszy szcztoką strącił krzyż na ziemię. Po dwóch dniach dostał w prawej ręce częściowego porażenia nerwów. Była więc i kara Boska. Głuche wieści o niej wędrowały po Gmachu i poza nim, słuchy szły na miasto, potężniały. Do mnie dotarła już informacja spotworniała, że uczeń Słowackiego targnął się na krzyż i leży sparaliżowany w szpitalu, do śmierci zostanie kaleką.

Po zawieszeniu flagi Żarnoskroński spytał Dyrektorkę: – Przeprowadziła pani z określonymi nauczycielami rozmowy?

– Co to znaczy „określeni” nauczyciele? Proszę o nazwiska. – Podał moje i Moniki. Fakt odbycia rozmów miał być odnotowany w naszych arkuszach. To było polecenie służbowe.

– Nieważne, że nie działają antypaństwowo – wyjaśnił. – Trzeba aktywnie popierać wła-

dzę. Nauczyciel jest pracownikiem państwowym.

Twarz Dyrektorki: ostre rysy, krótkie, skręcone włosy. Najtrudniej jej opanować wyraz oczu. Patrzy często z ukosa, mruży powieki. Kilka dni po wizycie Żarnoskrońskiego powiedziała w pokoju nauczycielskim:

– Żarnoskroński opowiada po kuratorium, doszło do mnie, jeszcze mam tam swoich ludzi, że się ironicznie uśmiecham, kiedy wydają polecenia. – I głośno teraz już wprost do Piggii: – Jak mnie mają wylać za ironiczny uśmiech, niech wylewają!

* * *

Ożywiając minione, ozywiam przede wszystkim przestrzeń, potem dopiero siebie w przestrzeni. To podniecające uczucie, którego doznałam po raz pierwszy w trakcie pisania wiersza, wobec którego Filip stał się tylko jednowymiarową, szarą fotografią: moment, kiedy nagle pękła granica między mną a światem zewnętrznym i byłam tym, co widziałam. Owo tajemnicze przeniknięcie stało się odtąd moją szansą na odbiór świata, moją formą bytowania. Żyję więc z tą coraz cięższą, pełną przedmiotów, światła, ludzi pamięcią, dźwigam ją wszędzie ze sobą, ciągnę przez lata – jedyny bagaż, który posiadam naprawdę.

Nie byłoby mnie takiej, jaką jestem, gdybym działała się w innych miejscach, gdyby nie te drzewa, schody, ulice lecz inne drzewa, chodniki, twarze przyjaciół? Boję się tego pytania. Bo kiedy pomyślę szczegółowo, rozważę fragment biografii po fragmencie, dochodzę do wniosku, że nie tylko przypadek mnie zbudował, ślepy traf, ale gorzej – mnie osobnej jak kamień, wyjętej z krwistej, gęstej miazgi ziemi – w ogóle nie ma. I tu zaczyna się już geneza nocnych lęków, poszukiwania ośrodka, wokół którego toczę się, czegoś co niezmiennie, krystaliczne. Ściągam po kolei całe warstwy czasu, obieram samą siebie z pamiętanego jak jabłko ze skóry, miąższu w nadziei, że odkryję pestkę, przyczynę. Nigdy do niej nie dotarłam, przeciwnie, coraz częściej w środku nocy zaczynam słyszeć chrzęst gwiazd obracających się nade mną i wiatr nieskończoności. Jabłko jest więc bez skóry i jak tu marzyć o pestce, o jej krystalicznej goryczy?

Tymczasem goszczę w sobie zamknięte kręgi i otwarte szeroko pejzaże. Dzięki nim odbudowuję z mozołem to, co czułam dwadzieścia, trzydzieści lat temu. Linia ciągła, powolne toczenie się wszerek, zagarniające jak fala stale nowe. Działanie się lat, myśli. Splata się to i rozplata, stale ruchome, a jednak hierarchiczne. Mogę zwiedzać, zaciekawiony turysta, własną biografię różnymi szlakami, ciąć jej rozpasane bogactwo w poprzek, zdobywać zakosami, odkrywać szczegóły, albo patrzeć z lotu ptaka. Stale ta sama, a jednak inna. I to jest moje „ja”? Tylko to?

Dom, Gmach – dwa kręgi, zamknięte i otwarte jednocześnie, bo jakież ścisk w nich panuje, ile twarzy, rąk, czasów tak gęstych, że aż trudno się w nich poruszać. I jeszcze trzecia ziemia, nie tyle samo miasto, bo ulice, place, zakamarki były dla mnie zawsze tylko złem koniecznym, przebywałam je w prędkich wędrówkach do... Celem nigdy. A więc nie miasto, lecz jego okolice. Miejsca wypraw w środku wszystkich pór roku i miejsca wakacji.

Kiedy myślę o sobie, zawsze prędzej czy później muszę oprzeć się pamięcią o Wartę, zanurzyć w lesie, zgubić i odnaleźć w jego buczynie, wrzosowiskach, na ulubionych polanach, na skraju karczowiska, przypomnieć sobie dokładnie wille, w których wynajmowaliśmy pokoje. Ogrody, furtki, okna otwierające się na czeremchy, bzy lub srebrne świerki, drzwi haczące się przy otwieraniu o wysoką trawę, jak o źle położony dywan, ze schowanym w niej jeżem, który w poświacie księżycy chłepcze wodę ustawioną dla niego koło pompy, lub drzwi prowadzące wprost nad rzekę, pękającą od żab, pełną bąbli, jakby się dopiero co zagotowała. Piaski tych okolic, gorące do kostek, jedwabne pokłady igieł sosnowych, błočka głębokie nie do przebrnięcia, koleiny i podmokłe łąki. Moje stopy doskonale je pamiętają, oczy wędrują po ścieżkach nocą w poszukiwaniu świetlików, palce czują szorstkość, łykowatość łamanych ło-

dyg dziewanny. A całe ciało rozpoznaje zapach zgniecionej trawy, kiedy chowaliśmy się z tobą przed ludźmi na dnie lasu, jak na dnie świata, pod dachem z liści i opadających igieł.

To jest kłęb ogromny, wielka tocząca się kula, w której wirują prędko między niebem a ziemią, dziesięcioletnia, dwudziestodwutrydziestopięcioczwadziestoletnia. I jeszcze się potoczę całą sobą, ciałem coraz starszym, myślami, tobą i mną jednocześnie. Jaka będę w tych lasach, domach, rzece zawsze tamta i nowa, teraz nawet niewyobrażalna.

Gdyby nie ta wspólna ziemia, czy nie mogłoby się zdarzyć, że minęłabym samą siebie, obcą dziewczynę gdzieś na chodniku miasta, zmęczona spojrzałabym na jej twarz, wywołującą wprawdzie jakieś dalekie skojarzenia i poszłabym swoją drogą w starość już bez powrotów?

Rzeka i przewoźnik z jednego świata w drugi. Nośny archetyp. Nazywał się Schmidt. Nazwisko było przybite na białej tabliczce do burty łodzi. Ogromne chłopisko, przeważnie rozebrany do pasa, ciemnobrązowy. Wyprostowany na dziobie łodzi, pracując długim bosakiem, dziesiątki razy dziennie pokonywał rzekę w tę i z powrotem. Znał jej wszystkie mielizny, wiry, prądy – płynął na ukos, tnąc rzekę pachnącą wodorostami, przy brzegu gnijącymi liśćmi. Pozwalał nam, dzieciom, moczyć w niej nogi i pokrzykiwać dziarsko w oczekiwaniu na kąpiel. Wołało się na niego z brzegu na brzeg „hop, hop”. Wyłaniał się z lasu ogromny i szedł nie spiesząc się, aby potem po jednym pchnięciu bosaka znaleźć się na środku prądu. Woził mnie z rodzicami, przyjaciółmi i kolejnymi „wielkimi miłościami” na ten drugi, prawdziwy, już pusty brzeg rzeki, w lasy, gdzie można się było naprawdę zgubić.

Pamiętam, że kiedy po raz pierwszy przyprowadziłam Edwarda, przyglądał mu się uważnie z ukosa, za każdym razem, gdy podnosił bosak w górę, aż do chwili, kiedy musiał spojrzeć w rzekę, aby wybrać właściwe miejsce do nowego pchnięcia. Wyraźnie oceniał go, porównywał z tamtym poprzednim, wyciągał wnioski. Jakże? Byłam speszona, a jednak ciekawa jego zdania. Taki moment – nasze spojrzenia na sekundę spotkały się. Moje pytanie prędkie bez słów i jego równie pospieszne, bo czas już na nowe zanurzenie drąga, równie milczące, a jednak czytelne: „Może być”. Kiedy wychodziliśmy, upomniał nas krótko, po ojcowsku, patrząc na nasze splecione dłonie: – Tylko do zachodu – znaczyło to, że później możemy ewentualnie wracać przez most w Rogalinie. Dłuższe przebywanie w lesie we dwójkę w tych ciemnych uroczyskach pełnych paproci uznał widocznie za zbyt niebezpieczne. Zaczajemy się, a potem po ciemku zgubimy drogę, będzie szukanie, strachy. Przy poprzedniku Edwarda, dużo starszym, nie miał podobnych obiekcji. Częstoowali się wzajemnie papierosami, a czekając na widocznych z daleka ludzi, biegnących, machających rękami, by nie odpływał bez nich, pogadywali fachowo, zupełnie mnie lekceważąc, na temat dna rzeki, wirów i mielizn lub gdzie tu ryby biorą, a gdzie nie. Zwyczajnie, jak między mężczyznami. Edward był jeszcze dzieciak, a do tego miastowy, z twarzy to można było wyczytać, z kształtu dłoni nie nawykłych do pracy fizycznej: „taki to się w lesie zadzieje, jak nic”. Jeszcze wiele lat woził nas Schmidt do naszych już wspólnych lasów, które Edward otrzymał ode mnie w posagu. Wczesną wiosną Schmidt pytał często o ojca, czy w tym roku „zjedzie na letnisko”. Lubili razem pomilczeć w łodzi. To ich łączyło. Zapatrywali się w rzekę, w jej daleko widoczny nurt, zamglone brzegi. Ojciec widział wtedy swoją ukochaną Wisłę pod Sandomierzem, jej zakole obok rodzinnego gospodarstwa, dzieciństwo, kwitnące sady – spływające ku rzece, zimorodki.

Kiedy Schmidt i jego łódź zniknęły z Warty? Nie pamiętam. Nie pamiętam Schmidta staro, ani nawet starzejącego się. Zawsze był taki sam, jak wyrzeźbiony z ciemnej gliny.

Często teraz stajemy na brzegu i bezradni patrzymy na las naszej młodości, który, odległy, ciemniejszy za rzeką. Bez nas zarastają jego ścieżki, polany, bez nas opadają liście i igły nad tym gniazdem w trawach, które tak często nas gościło. Próbowaliśmy parę razy dotrzeć tam przez ów most w Rogalinie. Zawsze błędziliśmy. Wychodziliśmy za daleko, albo za blisko, cofaliśmy się przed mokradłami lub grzęźliśmy zmęczeni w piasku, rezygnując z poszukiwań.

Ale sama myśl, że gdzieś tam w środku lasu, na rzut oka nieomal, są nadal pamiętające nas

świerki, suche trawy, gdy im się przyglądało od dołu, pod światło, lekko różowawe – krzepi.

– A Schmidt żyje? – spytał mnie niedawno ojciec między dziennikiem a filmem, patrząc w czarne szyby, po których raz po raz jak w wodzie zapalały się iskry mrozu.

– Jaki Schmidt?

– Ten z Warty.

„Schmidt z Warty” został w naszej rodzinnej legendzie prawie jak „karp z wody”.

– Nigdy nie popłynę już rzeką, koniec, słyszysz? – powiedział szeptem, aby matka go nie usłyszała. – Kończę się – podsumował, machnąwszy ręką na swoje „spaprane życie”.

A ja zobaczyłam go w jednym z tych ogrodów z drewnianą, skrzypiącą furtką, piszącego na leżaku, pod ogromną lipą. Obok wmurowany w ziemię okrągły stolik z pękniętym, kamiennym blatem, zarzuconym książkami. W domu nigdy nie pracował przy biurku, zawsze w fotelu, noga założona na nogę, na kolanach oparty duży blok papieru listowego A 4 z twardą książką w środku. Piszę tak samo, odziedziczyłam po nim tę niewygodną pozycję, jak odziedziczyłam kształt głowy, dłoni, powietrze tej podmiejskiej puszczy, którą przewędrowaliśmy razem przeważnie w milczeniu wzdłuż i wszerz wszystkimi dostępnymi szlakami, a potem odkrywaliśmy własne ścieżki, kamienie i ukryte w ostępach dęby-olbrzymy.

Nie tłumaczył mi nigdy sensu swojej pracy, tego heroicznego uporu, z którym przez dzieściolecie realizował raz założony plan. Żył dla niego. Myśmy byli dodatkiem, rodziną, która miała stwarzać normalność. Widocznie potrzebna mu była świadomość, że ma dom jak większość ludzi, żonę, córkę. Ale istotą, rdzeniem – był notes na kolanach, zapisywany drobnym pismem, stopy rękopisów.

W czasie wakacji – wreszcie wyzwolony z piekła szkoły – dzielił swój dzień między pisanie a wycieczki. Terminowałam u niego, tropiąc determinację i nadzieję. Nadzieję przede wszystkim, gdy pod lipą, przy herbacie, w słonecznym cieniu marzył, uśmiechał się lekko sam do siebie, marzył o wydaniu *Idealu człowieka w pochodzie wieków*, o tym, jak zmieni się jego życie, dadzą mu wyteśknioną „katedrę” na polonistyce. Wreszcie przecież któraś z jego prac musi okazać się dziełem życia, tak by wskazywała logika. Z daleka, z mojego hamaku, zawieszzonego między dwoma świerkami, wyglądał jak kontemplująca w zieleni salamandra.

Lato pięćdziesiątego szóstego roku nie różniło się od innych spędzanych tutaj; może było bardziej upalne, ze złotą spiekotą piasków nadwarciańskich, żywicznym chłodem nadciągającym pod wieczór od strony lasu. Mieszkaliśmy na dużej, skrzypiącej werandzie. Trzy oszkłone ściany opierały się o gęstą zieleń, gdy dał wiatr, miało się wrażenie, że cały pokój razem z nami płynie przez ogród. Żyliśmy w szumie drzew. Ojciec był spokojny. Wyglądało na to, że cały swój zapas lęku zużytkował wtedy, w czasie wypadków czerwcowych, czekając na matkę. Dłużej tylko i dokładniej czytał gazety. Codziennie o siódmej rano wędrował po nie parę kilometrów aż na dworzec. Często obserwowałam go leniwie, jeszcze z łóżka, odsuwając białą zazdrostkę. Zdarzało się, że gdy odwracał kartę, nagle w gazetę wpadał wiatr, szamotał się w niej, łomotał zadrukowanym papierem. Ojciec walczył z nim zawzięcie, broniąc swojej dziennej porcji wiadomości. Potem klnąc siarczyście, niezdarnie i długo układał na nie posłanym łóżku rozdarte stronicę, dopasowując z mozołem płachtę do płachty.

Wieczorami wyklócał się z panem Adamem, właścicielem domu, przedwojennym kupcem. Pan Adam żył z maleńkiej renty, ogrodu i nas, letników. Nie czytywał gazet; słuchał zagranicznych stacji. Do dwunastej w nocy cały dom był jak ciężko chory gruźlik, sapał, charczał, trząsał się od zmiennych fal radiowych, dalekich zakłóceń, burz i wichur. Ojciec wierzył „Trybunie Ludu”, pan Adam Wolnej Europie. Spory toczyły się przerywane kłaskaniem słowików, rechotem żab – często do jedenastej w nocy, kiedy to siedemdziesięcioletni gospodarz zrywał się sprężysto z niskiego leżaka, niczym młody chłopak, i gnał do radia, a ojciec kwitował dyskusję dobrotliwym sapnięciem: – Klituś bajduś, módl się za nami. – Po piętnastu minutach jego głośnie chrapanie splatało się z chrzęstami „Wolnej”. Matka wkładała w uszy woskowe kuleczki, a ja, przeczekując, siadałam na kamiennym stopniu i wsłuchiwałam się w

daleki szum lasu. Stanowił właściwsze tło dla moich myśli. Nie interesowała mnie polityka, idące ze Wschodu i Zachodu prądy, które z chrzestem łamały się nad Polską, przewalały po ziemi, wciągając tłumy ludzi w swoje wiry. Więzienia, przywódcy, procesy, terror, to wszystko działo się w innym wymiarze. Trudno uwierzyć, ale właśnie tak było. Szczęśliwy zbieg okoliczności, że studia rozpoczęłam akurat w pięćdziesiątym szóstym, który przyniósł ze sobą to wszystko, co mnie później zbudowało – nową sztukę, teatryki eksperymentalne, ruch studencki – przyjmowałam jak rzecz całkowicie normalną. Zdałam maturę, jestem na studiach, zwykła kolej rzeczy. Byłam widzem. Wchodziłam w nowe dekoracje, które za moimi plecami przestawiono. Jak swoje zagarniałam to, co na moich oczach dopiero wywalczano. Nie przeżyłam, jak większość moich rówieśników, szoku. Może dlatego, że rodzice przezornie umieścili mnie w jedynym w mieście liceum, gdzie polityka nie wtargnęła do wnętrza, ocierała się jedynie o mury szkoły, budując nic nie znaczące pozory: wyjazd na wykopki, dziarskie śpiewanie pieśni masowych, akademie rocznicowe, hasła z bristolu na czerwonym płótnie. Nikt z nauczycieli ani dziewcząt (to była żeńska szkoła) nie traktował tego poważnie. Groza tamtych lat nie docierała do nas. Boisko sąsiadowało z murem klasztornym, często rozmawialiśmy z zakonnikami przez okna ich cel, a przed lekcjami wchodziłyśmy do barokowego kościoła, aby się żarliwie pomodlić: „od goli i nagan uchron nas, Panie”. Większość nauczycieli stanowiła stara, przedwojenna kadra. Nie o poglądy polityczne tutaj toczono boje, lecz o tarcze na rękawach, białe kołnierzyki, czyste paznokcie. Zaciekle stawiano opór chłopcom, którzy ścigali tłumnie pod szkołę, by czekać na nas o trzynastej trzydzieści. Precyzyjnie, aby mieć nas bezustannie na oku, obmyślano scenariusze balów maturalnych i wieczorków tanecznych.

O czym myślałam, siedząc do późnej nocy na kamiennym stopniu werandy, mając za plecami śpiących w ciemności rodziców, a przed sobą pełną szelestów czerń ogrodu? Płynęły nade mną konstelacje gwiazdne tak wyraźne, jak w atlasie astronomicznym, księżyc z mżącą, lisią czapą światła, warstwy słodkiego powietrza. Oddychałam głęboko, zanurzona w ciemności, odkrywając w sobie gwałtowną niecierpliwość. Dopełnić siebie, wreszcie być naprawdę! Ta dziewczyna jest mi teraz równie daleka, jak jedna z moich starych uczennic. Czy wiem o niej więcej?

Można wyobrazić sobie takie spotkanie: w jednym wnętrzu ja szesnastoletnia, trzydziestoletnia i czterdziestoletnia – trzy obce kobiety, inne oczy, inne decyzje życiowe, odmienne uczucia. Czy potrafiłabym między n a m i odnaleźć coś wspólnego? I od razu gwałtowny strach! A jednak... Niedawno wśród starych zeszytów wyszperałam pamiętnik w drewnianej okładce, do którego przepisywałam kiedyś swoje wiersze. Obce pismo, litery większe, okrągłejsze. Wzięłam lupę. Przy literach „t”, które jeszcze niby normalne, w połowie przecięte poziomą linią, w paru wypadkach dzieje się coś nowego, jakbym w środku drogi rezygnowała z kreski, zawieszenie i jakiś skręcony zawijas. Poród! Ucieszyłam się: oto właśnie wyłania się moje prawdziwe „t”, dzisiejsze, chore, skrócone „t”, doprowadzające Edwarda do szału, w oficjalnych pismach przekreśla mi je zawsze z satysfakcją poziomą kreską, kaleczy. – Nikt tego nie przeczyta, nie możesz tak lekceważyć odbiorcy!

Nie lubię tych interwencji, czuję się przy nich tak, jakby mi przecinał skórę żyłką. To śmieszne, ale nie umiem opanować gniewu. Są także w tych wierszach widoczne jeszcze inne próby moich późniejszych ostrych skrótów, przyspieszania biegu kreski liter. Patrząc uważnie, można już dostrzec efekt końcowy, absolutną nieczytelność moich notatek. Nie lubię samego aktu pisania, przeciągania długopisem po stronicach, zawsze trwa za długo, hamuje napływ myśli, obrazów – dlatego go maksymalnie skracam.

A więc w rękopisach tego obcego dziecka odnalazłam cechy swojego dorosłego charakteru pisma. Ale nie to mnie zaszokowało. Pismo jest w końcu cechą prawie fizyczną, przynależną nam, jak kształt dłoni, rysunek twarzy, linii papilarnych. Znacznie ciekawsze było to, że w swoich pierwszych, odrzuconych wierszach odkryłam metafory, które ponownie pojawiły się u mnie po dwudziestu, trzydziestu latach.

Miałam w rękach wystarczający dowód – całe obrazy poetyckie, kalekie wprawdzie, niedomyślane, przerwane w połowie, a jednak świadczące o tym, że to co na przykład napisałam w tym roku, miało swoją genezę dwadzieścia cztery lata temu. Wtedy po raz pierwszy tak właśnie pomyślałam, poczułam lub spojrzałam. Teraz jest to jedynie powtórka, nowy szkic, kolejna, bardziej udana wersja.

Mój mózg ukrył widocznie gdzieś w swoich mrokach, przechował pewne schematy, aby uruchomić je ponownie we właściwszym czasie.

Istnieje więc wbrew lękom coś, co łączy moje dawne wiersze i te przyszłe? A może to po prostu odbiór świata stale na tych samych falach. Docierają do nas tylko fale o określonych długościach? Ktoś nas tak raz na zawsze nastawił i nie możemy już tego zmienić.

Znaczyłoby to, że wiele moich późniejszych wierszy narodziło się właśnie w środku tych sierpniowych nocy. Żyłam wtedy intensywnie. Wszystko miało ulec zmianie: scena, aktorzy i ja. W takich okresach rzeczy zwykle olbrzymieją.

W tych ogrodach, lasach, wodach czułam się jak w pulsującej sierści. Obracałam się w szorstkim powietrzu, czując nieomal, jak mnie dotyka. Nawet skóra była nadwrażliwa, sucha, napięta.

Monika mieszkała niedaleko. Bliżej rzeki, w zapuszczonym parku Czartoryskich. Nasze rozmowy zyskały na ciężarze. Interesowała nas technika studiowania, rytm dnia, sieć bibliotek, układy katalogów, wypełnianie rewersów. Nic z egzaltacji, suche fakty. Siadałyśmy na parapecie okna, nogi trzymając na zewnątrz, na oparciu ogrodowej ławki. Prawie metafora, parapet jako granica dwóch światów. To był nasz próg, miejsce odbicia. Potem skok w nowe, lot ponad, szybowanie w niewyobrażalne.

Całą tę wakacyjną przestrzeń zamknęło ostatnie spotkanie z Filipem. Wracałam od Moniki. Było już zupełnie ciemno. Biegłam między gęstymi krzakami bzu, w świetle i czerni na przemian. Na ziemi odbijały się prostokąty zapalonych tu i ówdzie okien, w nich wędrujące gałęzie, a potem ciemność. Na skrzyżowaniu, wysoko, huśtając się na mocnym wietrze, wisiała lampa w metalowym kloszu. Płachty światła padały na trawę, świerki, biegingy ukośnie przez czerwone dachy i znowu w dół, na jezdnię. Nagle w mroku coś się poruszyło, ktoś stał w plamie światła. Moment przerażenia, ale zaraz ulga, ulga niepełna – Filip! Jak on mnie wytropił? Ile godzin czekał? Od przyjazdu z Gdańska udawało mi się go jakoś omijać. Po egzaminach wstępnych natychmiast wyjechaliśmy.

Całował gwałtownie, zaborczo, jakby od siły tych pocałunków zależało jego życie. Nie potrafiłam się od razu wyrwać. Zaskoczył mnie. Nie znałam go takiego, nie podejrzewałam nawet, że można tak całować.

Pobiegłam wreszcie przed siebie, uderzyłam całym ciałem o drewnianą furtkę, którą pan Adam zamknął już od środka.

Wiedziałam, wiedziałam na pewno: nigdy więcej nie dam się pocałować Filipowi. Już w łóżku, wsłuchując się w poskrzypującą lekko pod naporem wiatru werandę, stale jeszcze czułam jego silne ciało, przyciskające mnie do siatki płotu.

Uciekałam od Filipa, czy także od siebie dawnej? Cała przeminęłam? Wiedziałam teraz jedno – muszę narodzić się na nowo.

* * *

Mój sen z ostatniego czasu: wewnątrz teatru. Siedzę w środku tłumu, na płaskiej, bez podwyższenia widowni, która wygląda jakby dopiero co zmontowano ją z hali sportowej. Przyglądałam się scenie. Kotary, bure czerwienie, zużyte i zakurzone meble. Z prawej strony metalowe, szpitalne łóżko. Leżę na nim owinięta jak w kokon w szary, wojskowy koc. Mam dwie głowy, po obu stronach kokonu, obie nieruchome, zwrócone twarzami do publiczności.

Przy moich zmianach w kręgosłupie ta istota musi odczuwać silne bóle i to podwojone.

Tak więc, rozważam bez zdziwienia – są trzy identyczne kręgosłupy z takimi samymi zwyrodnieniami? Trzeba by zrobić zdjęcie rentgenowskie, aby się ostatecznie przekonać.

Czy one dwie, te na scenie, są ze sobą zespolone już na zawsze? Nie do rozsąpania? Może jednego krwiobiegu nie można wyzwolić z drugiego? A interwencja chirurgiczna? Co się dzieje ze zwojami mózgowymi, czy myślą tak samo? I nagle paraliżujący lęk, od którego natychmiast się budzę – wszystkie trzy w tej sekundzie i w każdej innej myślimy identycznie!

Gdyby ten sen wyjaśnić, rozważam już całkiem trzeźwa w głębi nocy: one dwie przed widownią – to ja pisana, odtwarzana z dwóch czasów, a ja trzecia wśród widzów – to ja patrząca, czytająca siebie. Czy tak?

* * *

Chcieli, żeby podpisała oświadczenie. Monika nie pamięta, o co w nim chodziło. Była tak wzburzona, że nie mogła się skupić. Wszyscy ją teraz pytają o treść tego pisma. Nie wie. Zaczma, kurza ślepotą, fioletowe plamy przed oczami, czarne fafle. Odmówiła.

– Straciłabym twarz.

Na to on, ten śledczy o jasnych, aż popielatych oczach:

– Twarz? Twarz to pani już dawno straciła!

W pokoju zapadła cisza. Rynio poruszył się pod oknem na szarym tle nieba. Jung skrzywną budą.

– Twarz to pani już dawno straciła – powtórzyła, jakby cofnęła taśmę magnetofonową, a ja natychmiast znalazłam się razem z nią w tym starym, zaniedbanym ogrodzie Czartoryskich...

Siedziałyśmy swoim zwyczajem na parapecie okiennym, ze stopami opartymi o ogrodową ławkę i rozmawiałyśmy w przerwach między klaskaniem słowików i zabijaniem komarów. Parę tygodni wcześniej ciotka Bacha zafundowała nam półgodzinny seans u prawdziwego plastyka, na molo. Wyciął w czarnym papierze nasze profile i nakleił je na tekturki z napisem: „Pamiętka z Sopotu. Czerwiec 56 rok”. Podobizna Moniki udała się. Miała, jak powiedział malarz, łatwiejszy profil. I tą kartką właśnie, z czarną twarzą Moniki, założyłam w *Skrzywdzonych i poniżonych* miejsce, w którym przerwałam lekturę. W trakcie rozmowy uderzałam rytmicznie książką o kolano. Kartonik co chwilę wyslizgiwał się z za stronice (raz widziałam głowę Moniki do połowy nosa, do brody, to znów aż po szyję), kiedy wysuwał się za bardzo, wpychałam go do środka jednym pchnięciem kciuka. Robiłam to zupełnie automatycznie, aż do chwili, gdy Monika kategorycznie zażądała: – Oddaj, bo mi zdemolujesz twarz. – Podała mi do założenia liść z obrastającej okno winorośli. Był pełen soku i przez sekundę zawahałam się, czy nie zostawi śladu. – Trudno, twarz ważniejsza!

I ten dialog właśnie wyjęty z sierpniowego mroku, z przeświecającej między jabłoniami rzeki, po której płynęła łódź Schmidta i wyraźnie było słychać uderzenia fal o burtę, tak niespodziewanie wrócił teraz po latach.

– Masz jeszcze ten swój profil z sopockiego mola? – spytałam. Nie zdziwiła się, znała mechanizm moich skojarzeń. Ryszard tylko zrobił krok do przodu, uniósł brwi, ale nie zdążył nic powiedzieć, bo machnęła na niego ręką, krótko, ostro, aby siedział cicho. Coś się jej nagle przypomniało.

W celach był problem z suszeniem bielizny, w ogóle z higieną. Siedziały po sześć, a rano dostawały tylko jedną miskę ciepłej wody. Lały ją sobie na dłonie z kubka, każda kropla była cenna. W nocy całą bieliznę, złożoną w kostkę, kazano im wynosić na korytarz. Gdzie suszyć majtki, rajstopy? Był taki kapitan, czarny, uderzająco przystojny i to jego właśnie wybrały sobie jako ofiarę. Zamęczały go tymi majtkami, zwłaszcza studentka medycyny z celi obok. Robiła mu głośne wykłady o konieczności prania, o złych zapachach, które mogą wynikać z brudu, ich konsekwencjach w przyszłym „pożyciu seksualnym”, nieodwracalnych zmianach chorobowych, nadżerkach itd. Raz po raz podnosił głos, ale tak naprawdę to był zupełnie bez-

radny. Walczyły, aby pozwolono im bieliznę trzymać w celach. Zapamiętała jeden z argumentów:

– Pan myśli, że ja się w nocy powieszę na gumce od majtek, albo na biustonoszu? Ja jestem dumna, że tu siedzę!

W nocy co godzinę zapalano światło, a o wpół do piątej rano szli przez ich korytarz do pracy kryminalni. Ordynarnie hałasowali, klęli, tupali, kaszleli, aż po paru dniach któryś z nich wrzasnął: – Cicho, do cholery! Tu śpi „Solidarność”!

Od tego dnia miały spokój.

– Popatrz, zwykli kryminalni, a taki ci powie: twarz to pani już dawno straciła!

Jung wylazł z budy, skoczył na kanapę i wsunął mi łeb pod. dłoń. Sapnął w poczuciu bezpieczeństwa.

– Pamiętka z Sopotu, mówiłaś? Zaraz, gdzieś całkiem niedawno wpadła mi w ręce. W czasie porządków przed rewizją? Coś sobie przypominam... W książce?

Większość księgozbioru musieli przewertować, bo Rynio ma taki głupi zwyczaj, że chowa za obwolutami różne ważne pisma. Nie chciała, aby wpadły w ich łapy. Nie, żeby od razu coś trefnego, ale tak dla zasady, na przykład listy. Po co mają czytać ich listy? Żenująca sprawa.

– Powiem ci, gdzie to znalazłaś. W *Skrzywdzonych i poniżonych* Dostojewskiego, mniej więcej pod koniec tomu. Zgadza się?

– Tak! Skąd wiesz?

Nie przeczytałam nigdy tej powieści do końca. Męczyła mnie. W trakcie lektury parę razy dostałam duszności, jakbym oddychała samym kurzem. Osaczające wrażenie lepkiego brudu. Często przerywałam, aby umyć ręce pod pompą. Zresztą zaraz po przyjeździe Filipa dni gwałtownie przyspieszyły i obie z Moniką nie mogłyśmy się już z wielkiej niecierpliwości skupić nad literaturą. Las, kąpiele, opalanie, wycieczki i gadanie, gadanie o zbliżających się studiach, to wszystko, na co nas było stać.

Dwadzieścia sześć lat, policzyłam prędko w pamięci. Dwadzieścia sześć lat minęło od chwili, gdyśmy odbijając się od szerokiego parapetu willi Czartoryskich – poszybowały w życie. Monika ma teraz chudą, ściągniętą twarz. Gdzieś znikła jej troska o wygląd. Od wielu dni chodzi w tym samym czarnym swetrze, czarnej spódnicy. Proste włosy i żółta, na skroniach sina skóra – zamiast puszystej zadymki i białoróżowych policzków, o których Bacha mówiła „krew z mlekiem”, a Monika, by być bledszą, czyli bardziej interesującą, w tajemnicy przed wszystkimi popijała ocet.

Rynio nie usiadł, stoi jak harcerz na czatach i co chwilę wyziera na podwórze, kontroluje widoczny po prawej rząd ciemnych okien klatki schodowej, robi to odruchowo. W każdym razie stanowisko obserwacyjne ma świetne między biurkiem a oknem, kąt widzenia szeroki, jednym rzutem oka obejmuje drzwi z korytarza i nas obie pochylone ku sobie. Pilnuje. Nie spuszcza oczu z Moniki. Wciąż ma lekko ściągnięte brwi, jakby czytał z wysiłkiem i rzeczywistość – czyta twarz żony. Nie potrafi jej pomóc. Co pewien czas odrywa się od okna, przechodzi za moimi plecami aż do drzwi, tam staje na palcach, raz, drugi, trzeci, poskrzypuje deska w progu, on zawraca, omija moją kanapę, czuję na plecach ruch powietrza. Monika przestaje mówić, odprowadza go wzrokiem, dopiero gdy Rynio nieruchomieje przy oknie, ona nabiera głęboko powietrza w płuca, strząsa popiół i zaczyna:

– Nie ma już nazwisk. Numer. Jesteś numerem. Dla niektórych to właśnie jest najtrudniejsze do zniesienia, na przykład dla Lizy Wicyńskiej. Trzymali ją obok, w jedyńce.

Dla Moniki najcięższy był sam proces siedzenia. Dosłownie: na krześle. W dzień nie wolno się było kłaść na łóżku. Mało jadła, właściwie tylko piła, jak teraz sobie przypomina, to dwa kubki kawy, a już było bardzo dobrze, jeśli parę łyżek zupy. Nie mogła połykać, czuła w gardle kluskę, narośl. Siedzenie na twardym krześle przez dwanaście godzin to absolutna katorga. Tak schudła, że kość ogonowa, krzyże to była jedna boląca masa. Wszystkie po kolei lądowały „w dołku”, tak nazywały okresy załamań, ale ona najczęściej. Masowały ją wtedy,

zmuszały do wspólnego śpiewania, modlenia się. Nie miała pojęcia, że jest tak mało odporna. Dwie sprawy były istotne: kibel za firanką, ilekroć na niego spojrzała, czuła, jak wnętrzości podchodzą jej do gardła, i pytanie, które nie opuściło jej ani na moment – co o niej wiedzą? To były prawdziwe powody bezsenności, wcale nie ta zapalająca się co godzinę żarówka. Z rozmów ze śledczym nie potrafiła nic wywnioskować. Mówiono o jej negatywnym wpływie na uczniów, niebezpiecznym autorytecie. Najważniejszego nie ujawniają? Ukrywają, by potem nagle z zaskoczenia? Kiedy? Konsekwentnie trzymała linię obrony – nie jest żadną „ekstremą”. Próbowwała zdefiniować samo pojęcie „ekstremy”: jakie warunki trzeba spełniać, by można było zostać nazwanym „ekstremą”. Czy walka o poziom oświaty, o prawdę w nauczaniu historii, o wartości etyczne to rzeczywiście są zbrodnie?

Nocami za zaciśniętymi powiekami, aby nagły błysk światła nie ogłuszył, układała ruchome konstrukcje, przewidywała kierunek przesłuchań, dobierała argumenty. Na granicy snu i jawy, w jakiejś udręczonej, lepkiej od potu nierzeczywistości, uczyła się tego wszystkiego na pamięć. Przepytywała samą siebie stale od początku, żeby niczego nie dać Boże nie zapomnieć, jakby od jednej celnej repliki zależała cała jej biografia. Momenty przerażenia – gdy nagle coś, co dopiero przed chwilą z dumą wymyśliła, jakieś specjalnie trafne zdania (ostrą igłą) osuwało się w zwały, góry piachu. Przez wiele godzin później grzebała, kopała, przesypywała przez palce, odtwarzała cały swój proces myślenia, aby znaleźć tę rzecz najważniejszą. Po takiej nocy bolały ją wszystkie mięśnie, jakby przez siedem godzin dźwigała na plecach kosze piasku, w oczach miała piekący, przysięgłaby, że czerwony kurz.

Została upokorzona, w jej czarnych oczach widzę tłumiony całym wysiłkiem woli popłoch. Rynio też go widzi. I on, zawsze taki zdecydowany, krótki, taki wiedzący jak z Moniką postępować, co jest dla niej najlepsze – teraz patrzy na żonę nieporadny, chodzi koło jej bólu, waruje przy niej, przywozi, odwozi autem. Przyprowadził ją do mnie i każe mówić. Dogłąda jej mówienia, jakby wierzył, że kiedy wszystko powie do końca, nazwie, to może będzie jej łatwiej. Przypomina to skomplikowaną operację. Odsłonięto już pole zabiegu, zdezynfekowano, obłożono wyjałowioną gazą. – Jestem słaba – zaczyna Monika zapalając nowego papierosa. – Nie miałam pojęcia, że jestem aż tak słaba. Nie nadaję się do żadnej roboty. Muszę odpaść.

Rynio zaczął kaszleć, zaniósł się od kaszlu, ostrego, rozdzierającego płuca, przypominającego długo tłumiony spazm. Żeby mu tylko serce nie wysiadło, pomyślałam, jeszcze parę takich tygodni, a rąbnie go zawał.

Chodziła na rozmowy z psychologiem. Interesował się tylko Grzegorzem, ile ma lat, jaki jest, spontaniczny, czy zamknięty w sobie. Kiedy się rozplakała, natychmiast spytał, czy może o tym napisać w protokole. Nie od razu zrozumiała, o co mu chodzi. Dopiero którejś nocy, gdy zdanie po zdaniu mozolnie odtwarzała przebieg spotkań (uparcie wzywał ją codziennie), nagle ogarnęło ją olśnienie, aż usiadła na pryczy. Musiał się zorientować, że odkryła jego intencję, bo następnego dnia, na samym początku rozmowy, spytał wprost: – Jak by pani zareagowała, gdyby syn w tej sytuacji, mówi pani, że kieruje się uczuciem, zrobił coś nieodwracalnego, coś szalonego?

Patrzyli na siebie długo, bez słowa. Nie wstydziła się łez, nie próbowała ich wstrzymywać. Podał jej papierosa, zapalił, dopiero gdy się zaciągnęła, spytał:

– Zgadza się pani? – Skinęła głową, to było wszystko.

„Chorobliwy lęk o dziecko, uporczywa bezsenność, odmawianie przyjmowania posiłków, wychudzenie, brak odporności fizycznej i psychicznej. W razie jakiegoś tragicznego wypadku z synem, czego nie można wykluczyć u chłopca w okresie dojrzewania, u matki istnieje realne niebezpieczeństwo targnięcia się na własne życie.”

Tak to mniej więcej brzmiało. Może nie powinna tego przyjąć, ale przyjęła. Ostatecznie nie znalazła w diagnozie ani słowa nieprawdy.

Przestała mówić. Zegar głośno tykał. W pokoju zapadał półmrok. Rynio usiadł przy mnie.

Głośno oddychał. Patrzyliśmy na żarzący się ogienek papierosa Moniki. Zataczał łuki, drgał leciutko nad popielniczką, rozświetlał wargi, potem maleńkie kółko na drewnie stołu, by znowu zawirować w ciemnym już pokoju. Nie pozwalała zapalić światła.

Już następnego dnia w „rozmowie” ze śledczym pojawił się nowy ton. Jego także interesował teraz przede wszystkim Grzegorz, wyniki w nauce, dyscyplina wewnętrzna. Dwudziestego trzeciego poinformowano Monikę, że istnieje szansa na zwolnienie. Ma czekać w Wigilię do godziny piętnastej. Wywołali ją z celi o siedemnastej. To był najdłuższy i najcięższy dzień w jej życiu. – Dlaczego się pani nie cieszy? – oburzał się funkcjonariusz sprowadzający ją na dół. – Dzisiaj przecież Wigilia! Idzie pani do domu.

O dwudziestej znalazła się na pustej, czarnej ulicy w dwudziestoczerostopniowym mrozie, z ciężką torbą. Jezdnie i chodniki wyglądały jak wąwozy, sterty śniegu, ślisko. W oknach żarzące się choinki, parę razy zza uchylonych szyb dobiegł ją śpiew kolęd. Myślała o tych wszystkich, co zostali w więzieniu. Płakała na mrozie, skostniała z zimna. Ani jednej taksówki, mowy nie było o tramwaju czy autobusie. Szła na swoje „wgnajewo” prawie dwie godziny. Trzy razy robiło się jej słabo. Raz ktoś ją podtrzymał, gdzieś ją próbowali zaprowadzić, do jakiegoś mieszkania. Pod domem znalazła się około dziesiątej. Stała oparta o latarnię i patrzyła w swoje okna. Widziała choinkę z zapalonymi świeczkami, wiedziała, że siedzą przy stole kilka pięter nad nią, myślą o niej, nie miała siły, aby pchnąć bramę i wejść na schody. To cud, że nie zamarzła. Grzegorz wyszedł na balkon. Przechylił się przez poręcz i nagle zobaczył matkę w ruchomym kole światła. Nic nie powiedział, bał się, że to złudzenie. Przebiegł przez mieszkanie, trzasnął drzwiami, nawet nie zapalił żarówki na klatce schodowej i pognął na dół w samej koszuli.

– Co jest? Co jest? – powtarzał podobno Rynio półprzytomnie, drepcząc w miejscu, gdy już weszła do środka, gdy usiadła w płaszczu na kanapie, dygocząc z zimna.

I teraz zaczęło się najgorsze. Wypuścili tylko Monikę. Dlaczego? Jak odpowiadać, kiedy przyjaciele, z błyskiem podejrzliwości w oku pytają: – A właściwie, tak szczerze, to co zdecydowało, że cię zwolnili?

Wszystkim opowiadać o pomocy psychologa? Może mu to zaszkodzić. Przeceniła jego rolę? Czy nie było to zwykłe, rutynowe działanie? Gdyby nie chcieli Moniki wypuścić, żadne diagnozy lekarskie nic by nie pomogły. W celi siedziała dziewczyna chora na nerki, z ostrymi atakami. Nikt się tym nie przejmował. Jej aresztowanie było zupełnie przypadkowe. Powiesiła w biurze, na tablicy ogłoszeń informację o zatrzymaniach. Zrobiła to z własnej inicjatywy, nawet nie była działaczką „Solidarności”. Ktoś ją zobaczył i doniósł. Następnego dnia przyszli. O zwolnieniu Moniki – może? – zdecydował fakt, że Rynio zdobył ten „Dziennik urzędowy” z prawami obowiązującymi w stanie wojennym. Przekazał go adwokatowi. W więzieniu są kobiety, które pozostawiły małe dzieci, chore, bez opieki. Gdy o tym pomyśli, czuje się winna.

– Ale co by komu pomogło, gdybym siedziała razem z nimi? – pyta. Złamała solidarność? Jakie są jej granice? Jaka cena? Naród milczał, gdy je aresztowano. Nasłuchiwały ulic, komunikatów radiowych, czytały pilnie gazety, wierząc, że może znajdą coś pokrzepiającego choćby między linijkami oficjalnych komunikatów. Nic. Pamięta za to, że nagle gruchnęła wieść po celach: następnego dnia wywożą je na Wschód jako zakładniczki.

Zdarza się, że ludzie milkną, gdy do nich podchodzi, lub nagle zaczynają rozmawiać o pogodzie. To fakt. Wmawia sobie, że jej to nie wzrusza, a jednak najszcześliwsza jest, gdy nie musi wychodzić z domu.

Zapaliłam lampę. Twarz Moniki była teraz jeszcze mniejsza, jeszcze bledsza. Jak jej pomóc? Co powiedzieć? Próbowałam wygrzebać z pamięci jakiś dowcip, choćby z serii: „Przyszła baba do lekarza...” I wtedy nagle Rynio przejął inicjatywę. Wstał. Ta cała konspiracja, zaczął, goni w piętę. Ludzie są tak głupi, że aż zatyka. Na przykład w pracy. Kiedy tylko wchodzi do zakładu, przed każdym kolejnym trzynastym, od razu wyłażą ze wszystkich ką-

tów, palacze, inżynierzy, sprzątaczkę i na środku holu napadają go, otaczają, podają go tajnikom jak na patelni. Panie Ryszardzie, co mamy robić? Niech pan jako przewodniczący zarządzi, żebyśmy wreszcie wiedzieli, co i jak. Wieszamy chorągiew, czy nie? O której godzinie jest msza? Robią takie numery publicznie.

– Ostatnio – Rynio pochylał się do przodu, zastygł z dłońmi spuszczoneymi wzdłuż ciała – jak mnie napastowali, powiedziałem tak: cisza, sza panowie. Co robić? – I na ucho najbliższemu. – Cztery razy dziennie srać. – Obróciłem się na pięcie i poszedłem. Patrzyli na mnie jak barany. Mówię wam, jak barany. Bawią się w konspirację, cudzym kosztem, a nie mają o niej zielonego pojęcia. O więzieniu też nie mają, bohaterzy!

* * *

„Zaskoczenie w pełnym mrozie”. Tak powiedział o stanie wojennym Mięzał. Poszedł w końcu na Komendę. Przez trzy godziny rozkładał ręce, powtarzał „nie”, całymi kwadransami milczał, gdy w rozmaity sposób, szantażem, pochlebstwem, krzykiem, próbowano zmusić go, by podpisał tzw. „lojalkę”. Wyobrażam sobie tę lepka, ponurą ciszę, znam doskonale stany całkowitego odrętwienia, w jakie wpada czasem Mięzał, nawet w towarzystwie przyjaciół. Żadna rozmowa nie wchodzi wtedy w rachubę, W końcu przypuszczono na niego mroźny atak. Otworzono szeroko okno. Mięzał był bez marynarki, w koszuli. – Zimno panu? – spytano zza biurka. Skinął głową. Pracownik wstał, przymknął okno i natychmiast tym samym ruchem przedramienia otworzył je znów. Początkowo wyglądało to na zwykłą pomyłkę, wynikającą z roztargnienia, ale gdy powtórzyło się po raz trzeci, nie było wątpliwości, próbowano zmusić Miężala, by poprosił o zamknięcie okna, lub przynajmniej nawiązał dialog. Mięzał dostał zapalenia oskrzeli.

Jeszcze pokaszlując i opędzając się od Junga, który uparł się, by z lubością wachać jego spodnie, wyraźnie pachnące innym psem – tłumaczył nam powoli, z przerwami, że według niego stan wojenny ma także swoje dobre strony.

Jeśli wyobrazić sobie kraj jako taflę lodu (myśli o namalowaniu takiego płótna), to trzynastego grudnia pojawiła się na niej szczelina, która teraz jest czarną przepaścią. Na dwóch dryfujących krach – drobne, skulone postacie. Zdecydowany podział – dwa światy. Raz po raz ktoś usiłuje przeskoczyć z jednej strony na drugą. W tej chwili jest to już ryzykowne. Parę osób tonie, ktoś trzyma się kurczowo jedną ręką pękającego lodu, inny z podkurczonymi nogami, zawieszonymi w powietrzu, ze ściągniętą lekkiem twarzą usiłuje przedłużyć swój lot o metr, dwa... Ważne będzie światło w tym obrazie, właśnie ono, leżące na bryłach, okrągłe, kostniejące pasmami na lodzie, musi budować przestrzeń, towarzyszyć decyzjom czarnych, okutanych ludzi ze zmarzniętymi twarzami i myślami. Rozważał jego układ na płótnie, prawie jak układ racji – siedząc naprzeciwko walącego z okna mrozu, naprzeciwko obcego człowieka za biurkiem, który z niewiadomych przyczyn nie czuł zimna. Nie był z ciała, ze skóry? A z czego? Z plasteliny, ciasta, gliny? I ta jego inność właśnie, obojętność wobec mrozu, który bijąc Miężala w twarz, musiał razić tamtego w plecy – nasunęła malarzowi pomyśl kompozycji. Biurko jako czarna przepaść między dwiema krami. Po raz pierwszy jego obraz będzie miał tak „bebechową” genezę. To nieprawda, że złośliwie nie chciał odpowiadać, nie, najpierw był ścierpięty ze zwykłego lęku, z samej sytuacji, nie należy do odważnych, ale potem kiedy zaczęła się ta gra z oknem, co mu miał powiedzieć? Jakie słowa wybrać, jeśli trząsł się z zimna, przestawał czuć dłonie, twarz mu ścierpła, a tamtemu nic, ani nie zbladł, ani się nie zaczerwienił. N i c . Do dziś tego nie rozumie, choć rozważa nadal, bierze pod uwagę wszystkie psychologiczne racje. Swój strach, poczucie niepewności, jego spokój – był na swoim terenie, od niego zależało zamknięcie okna, wystarczyłby jeden ruch ręką. Jeśli mróz nie był dla tamtego mrozem, to słowa też musiały inaczej znaczyć, niż znaczą. Jak swoją „ojczyznę” przełożyć na jego „ojczyznę”? Ten człowiek za biurkiem był po prostu

„obcy”.

W kraju są teraz, głosi Mięzał, dwie nacje, dwie rasy, dwie odporności. I nikt go już nigdy nie zmusi, aby komuś, dla kogo mróz nie jest mrozem, miał tłumaczyć, na czym np. polega jego rozumienie patriotyzmu.

I rzeczywiście, podział między ludźmi dokonał się sprawnie. Jedna strona najczęściej ukrywała swoją przynależność, stosując zasady mimikry, a druga, przeciwnie, podkreślała mimo ryzyka swoją wieloraką solidarność. To była dość zawiła semiotyka. Trzeba ją było umieć czytać. Znać gramatykę. Dyskretna czerń w ubiorze w okolicach każdego trzynastego, na szyjach medaliki, krzyżyki. Początkowo duże plakietki „Solidarności” stopniowo zaczęły się zmniejszać, aż do granic widzialności. Kto chciał zobaczyć znaczek wpięty w klapę, w sweter, zobaczył go, kto nie, mógł udawać, że nic nie dostrzega. Pojawiły się srebrne, miniaturowe orzelki, kotwice i zupełnie nowy pomysł – czerwony opornik (z radia, magnetofonu) jako znak oporu. Nosila go przeważnie młodzież.

W szkole byłem świadkiem sceny, której nigdy nie zapomnę. Piłam kawę w sekretariacie, gdy wszedł do środka uczeń liceum dla pracujących. Dopiero teraz odbierał swoje zeszłoroczne świadectwo maturalne. Tuż za nim, przy nodze, ogromny owczarek alzacki. Pies był bez smyczy i bez kagańca. Sekretarka próbowała oponować, ale chłopak powiedział coś ostro z taką pewnością siebie, że zrezygnowała. Poszukiwanie klucza do kasy pancерnej, a potem świadectwa, przedłużało się. W pewnym momencie drzwi się gwałtownie otworzyły i do sekretariatu wpadł ze śmiechem Stefan z jakąś dziewczyną. Biegli widocznie korytarzem, by zdążyć przed dzwonkiem, bo później robi się tutaj od razu tłoczno i stąd ten impet. Pies warknął, wyszczerzył kły. Dziewczyna zbladła, chwyciła kolegę za ramię. Znieruchomieli w półkroku. Widziałam, jak Stefan, tak zawsze opanowany, wpada w furję. – Do sekretariatu z psem? – krzyknął, a tamten odwrócił się wolno, majestatycznie, wyraźnie grał spokój. Przez chwilę stali naprzeciwko siebie bez słowa – dwaj młodzi mężczyźni w tym samym wieku. I nagle ten pracujący wyjął legitymację, zaświecił nią przed oczami ucznia.

– Proszę dowód!

Stefan spurpurowiał, ale posłusznie sięgnął do tylnej kieszeni spodni. Tamten studiował dokument długo, w skupieniu, a potem, wskazując palcem na tonący w grubym swetrze, ledwie widoczny opornik, zażądał:

– Zdjąć tę broszkę!

Wyciągnął bloczek i zaczął spisywać personalia Stefana.

Patrzyłam na to jak na film, jak na obraz Mięzała, na obcą rzeczywistość, w którą nie mogę ingerować, bo toczy się według nieznanych reguł.

W końcu jednak, pokonując ucisk w gardle, spytałam:

– Po co pan to robi tu, we własnej szkole?

Uniósł głowę znad notesu, obejrzał mnie dokładnie od butów po czoło.

– Wykroczenie jest wykroczeniem, nie widzę żadnej różnicy...

Stefan wysupłał wreszcie opornik z wełny i zamknął go w zaciśniętej pięści.

* * *

Tego nie można racjonalnie wytłumaczyć. W środku zimy Jung został zaatakowany przez pchły. To była prawdziwa plaga. Całe kolonie, dziesiątki pcheł. Wchodziły mu w oczy, biegały po nosie, brzuchu. Pies szalał, czekał, w nocy piszczał, drapał się do krwi, z rozpaczony pogryzł sobie ogon, groziła mu amputacja jednego członka. Nie umiałam mu pomóc. Mordowanie pcheł płynami, specjalnymi szamponami nie dawało rezultatów. Kiedy leżał cierpliwie z sierścią nasączoną trucizną, owinięty w koc, pchły skakały mu z nosa na tapczan, podłogę. Dawał mi wtedy rozpaczliwe znaki, skomląc inaczej niż zwykle, o kilka tonów cienia; czasem zdołałam taką pchłę chwycić, ale rzadko. Wolny był tylko zaraz po wyschnięciu – wtedy

leżał wyciągnięty na poduszce, żywy znak szczęścia. Morda mu się śmiała. Jedno wyjście na ulicę i wszystko zaczynało się od nowa. Siadał na środku dywanu i zaczynał się drapać. Płakać się chciało z bezsilności. Przecież pchły nie mogły żyć w śniegu, w lodzie? Więc gdzie, gdzie one do jasnej cholery zimują? Na schodach? W końcu znosiliśmy go na ulicę na rękach. Mimo to wracał zapchlony. Pozostawało szukanie w sierści i zabijanie. Futro miał grube, zimowe, we wszystkich odcieniach brązu, kłaki sięgały prawie do ziemi. Tropienie w czymś takim pcheł, a potem chwytywanie ich było prawdziwą katogą. Od tamtego czasu na każdy bezsensowny wysiłek mówi się u nas w domu: „jakby kto Jungowi szukał pcheł”. Podobno pchły nie przechodzą ze zwierząt na ludzi. Trzymają się sierści. Po Edwardzie skakały z upodobaniem. – Na dół – rozkazywał Jungowi, gdy ten w czasie dziennika, który oglądaliśmy w ramach rodzinnego masochizmu, kładł się obok na kanapie. – Na dół, mówię ci – upierał się Edward. Pies zeskakiwał i po sekundzie wracał. Nie przyjmował swojego wygnania do wiadomości. Też sposób.

Nasze życie ulegało ciągłej degradacji. Godzina milicyjna, pchły, groźba rewizji, braki w zaopatrzeniu. Przyszedł w końcu taki moment, w którym uświadomiliśmy sobie nagle, że zaczyna nam wszystkiego brakować. Najpierw zimowe buty. Ustawiłam je na dywanie. Par było kilka, ale każda z defektem: pęknięta podeszwa, przemakające wierzchy z białymi od soli zaciekami, których nie można już zapastować, bo skóra gdzieś od środka została nieodwracalnie zniszczona, przeżarta na wylot, popsute zamki, wyrwane, zbite na piętach w gruzły sztuczne futra, laminaty. Może gdyby je wszystkie rozłożyć na czynniki pierwsze, to jakiś genialny szewc zdołałby zmajstrować z nich po jednej parze dla nas. Ale to było marzenie o szewczyku z baśni, z ballady Leśmiana. Nasz szewc nie miał skóry, zamków błyskawicznych, dratwy, nawet kleju. Sklepy świeciły wypolerowanymi lustrami, w których kiedyś oglądało się z profilu i en face nowe buty. A więc buty wyszły! Bielizna się wybieliźniła. Podkoszulki, majtki, biustonosze, slipy – przerzucałam w szafie nędzne resztki świecące dziurami. Jeszcze gorzej z ręcznikami i bielizną pościelową, która po każdym praniu rozchodziła się w rękach. W nocy zdarzało się, że przy bardziej energicznym ruchu słyszałam suchy trzask drącego się płótna. Wyraźnie „przyszła ich pora”, większość pochodziła z początków naszego małżeństwa. Miały prawo się drzeć. Fakt starzenia się bielizny pościelowej przegapiłam, trzeba było stopniowo dokupywać. Teraz koniec! Zaczęłam wstawiać łaty, wycinać dziury, zszywać fragmenty w jedną za krótką całość. Jeszcze spodnie. Z tym było najgorzej. Edward nie miał ani jednej pary porządných spodni. Skarpety cerowałam. Znalazłam stary grzybek i przypomniałam sobie, jak to robiłam kiedyś w dzieciństwie ze skarpetami ojca. Skąd wziąć jednak odpowiednią przędzę. Miałam jeszcze trochę kordonku do haftowania, starej anilany, jakieś kawałki wełny ze sprutych swetrów. Proszek do prania, tasiemki, mydła, gumki, pasta do zębów, sznurowadła, kremy, zamki błyskawiczne – wszystkie zapasy się wyczerpały. Trzeba było z letnich sukien wypruwać zamki i wszywać do spodni, ciepłych spódnic – aby latem na nowo przesywać. I tak szczęście, że potrafiłam to sama zrobić. Zaczęłam przerabiać swoje stare rzeczy, błogosławiąc kurs kroju i szycia, który skończyłam w ciężkich, studenckich czasach.

W latach dosytu, po robieniu kolejnych porządków w szafach, z uporem wydawałam całe worki rzeczy, których już nie nosiliśmy. – Tyle dobra – myślałam teraz gorzko – tyle straconego dobra. – Koszule Edwarda z niemodnymi już kołnierzykami, sweterki polo, nawet płaszcze nosili inni obdarowani. Jeszcze brzmiało mi w uszach: – Nigdy już tego nie włożę!

Z nonszalancją ludzi ustabilizowanych rzucaliśmy na kupę do wydania jedną rzecz po drugiej. Brak wyobraźni. Defekt małej stabilizacji. Teraz byliśmy zagrożeni. Wydani lękowi. Walczyliśmy z chłodem, brudem i z uczuciem nie głodu wprawdzie, ale ciągłej czczości. Nasze kubki smakowe, języki i trawiące żołądki nie chciały zapomnieć smaku czekolady i polewki dwicy sopockiej.

Wszystko to jako żywo przypominało nasze życie w okresie studiów i zaraz po nich. Ale wtedy towarzyszyła nam wiara, że z czasem się wszystko ułoży. Byliśmy cierpliwi. Teraz,

po dwudziestu latach, czuliśmy tylko zmęczenie jak szarą, lepka mgłę. Straciliśmy nadzieję, że za tą mgłą błysnie coś jaśniejszego. I to było najtrudniejsze do zniesienia.

I wtedy właśnie, walcząc z uczuciem beznadziejności nasi ludzie zaczęli się skrzykiwać. Dosłownie, jak na pustej polanie. Altruizm – to była niewątpliwa zaleta stanu wojennego. W salonach Związku Literatów odsunięto pod ściany stoliki, przy których kiedyś obradowaliśmy i na środek parkietu zwalono dziesiątki pudeł z używanymi rzeczami, które przysyłano z Zachodu. Segregowaliśmy je przez wiele godzin w chłodzie (kaloryfery nie działały) na kilka hałd: ubrania męskie, dla dzieci i dla kobiet. W środku stos butów. Wełna wydzielala woń środków antymolowych, a wszystko razem całą gamę zapachową ostrych proszków detergentowych. Większość rzeczy była bardziej zniszczona, niż te, które jeszcze parę lat temu wyrzucałam. Wiele ubrań dla dzieci pedantycznie pocerowanych. Nasze dobrze się zapowiadające poetki, zwłaszcza te najmłodsze, które w życiu niczego nie pocerowały, z niedowierzaniem oglądały duże cery na śpioszkach, łaty na kolanach spodnek, podawały je sobie, jak rzeczy kuriozalne, oglądały pod światło fachowe, prędkie ścięgi. Sensację budził fakt, że niemieckie czy francuskie matki te zniszczone fatalaszki starannie wyprały, wyprasowały i zaniósły do punktu zbiorczego, wierząc, że się nam przydadzą. Miały rację.

Z perłowych ścian patrzyły na ten stos znoszonych rzeczy portrety Reymonta, autoportret Witkacego i kilka jego pastelowych, „metafizycznych” dam. Dźwigając stale nowe, czekające na rozpakowanie pudeła, raz po raz spoglądałam w oczy ironicznie uśmiechniętemu „gówniarzowi z Krupowej Równi”, nawet on by tego nie wymyślił. Cóż bowiem znaczyło jego chińskie wojsko, traktujące zachodnią Europę, wobec poety o sławie europejskiej, który z błyskiem nadziei w oku szamotał się między szybami wykuszu, próbując wcisnąć na siebie czyjeś stare, za ciasne spodnie: – Cholera! Czemu oni wszyscy są jednakowi, jak wysocy to szczapy, jak kurduple to pękaci! Znajdzie mi ktoś wreszcie jakieś niekompromitujące portki? Ostatnie spadają mi z dupy!

Przez kilka minut wszyscy przerzucaliśmy dla niego barwne kupy, dostał jedenaście par. Z naręczem, jak z rzadkim łupem, poszedł je przymierzać do ustępu. Znowu otwieraliśmy pudeła, aż tłumacz Biblii nie poprosił: – A skarpety? Czy widział kto skarpety?

– Tego nie rusz! – wrzasnęła pisarka dla dzieci, z zawodu pediatra, wydzierając znawcy hebrajskiego wełniane skarpety. – Zostaw, są granice. Możesz złapać grzyba, albo jakieś inne świństwo.

– Ale... oddaj – prosił. – Oni są czyści, cztery razy dziennie biorą prysznic, sam widziałem.

Edek upychał w worek rzeczy dla niemowlaków. W jego instytucie było parę młodych matek, zupełnie bezradnych wobec pustek w sklepach. Początkujący krytyk literacki J. zgubił własny sweter.

– Tu go położyłem – rozpacział. – O tu, na parapecie. Ktoś mi świsnął. To był mój sweter, nie z darów. Przywiozłem go z Włoch. – Biegał po pokojach. Jeżeli sweter wpadł do zwałów zalegających podłogi, to może go nigdy nie odzyskać. Prezes musiał zarządzić: – Przerzywamy. Wszyscy szukamy w swoich workach swetra kolegi J. Jaki miał kolor? Szukamy czerwonego swetra!

Początkowo chodziłam po obrzeżach tłumu pochylonego w pełnym zapamiętaniu nad stertami rzeczy i nie potrafiłam się skupić na wyborze. Nadmiar, ilość poszukujących ogłuszały. Do tego ten Witkacy z portretu... Ale to minęło, gdy Mięzał po godzinie podszedł do mnie z długim, czarnym szalem w wyciągniętej ręce: – Zobacz tylko, jak ci się podoba? – spytał z dumą. – To wszystko, co znalazłeś? Kurtkę miałeś sobie wybrać, kurtkę, mówię! – zaczęłam szukać w najbliższej stercie i wreszcie wciągnęłam się. To miało posmak hazardu. Raz po raz udawało się znaleźć coś cennego. Robiłam to sprawniej od innych, bo dzięki „krawieckiemu oku” prędko umiałam ustalić rozmiar. Przywieźliśmy do domu dwa worki. Teraz rozpoczęło się ponowne segregowanie, co dla kogo, dla znajomych, dzieci znajomych, rodziców, siebie.

– Czy ja dziad? – pytał ojciec, obracając niezdecydowanie w dłoniach ciepły, brązowy sweter. – Uważacie, że już jestem kompletny dziad, tak?

Prąło się to wszystko, przerabiało, pruć, zszywało i łątało.

Na koniec kolacja u przyjaciół. Edek w brązowych spodniach w czarną cienką kratkę, które udało mi się, likwidując mankiety, przedłużyć, rozszerzając jednocześnie w pasie na tyle, że był w stanie wytrwać w nich przez parę godzin, naprzeciwko niego, na fotelu autor książek wojennych w trochę przy szerokiej w ramionach marynarce – tak samo brązowej, w identyczną cienką czarną kratkę! Garnitur został rozparcelowany. Nigdy dotąd ludzie tak o sobie nie pamiętali.

– Chciałaś rękawiczki, patrz, ile zdobyłem, przymierz.

– Potrzebne ci śpioszki na dwa lata? Bierz!

Oczywiście zdarzały się i rzeczy ciemne, o których nie chciało się pamiętać. Wieczorem w salce ZLP rozpakowaliśmy pudła z butami. Rano góra butów była już o połowę mniejsza. Zniknęły. Kto miał klucze do związkowych pomieszczeń? Robić dochodzenie? Co zapobiegliwsi wywozili ubrania na wieś. Kwitł handel wymienny za boczek, masło, jajka.

Pozostawał problem, jak oswoić nie swoją rzecz. Najpierw należało ustalić, co stało się powodem jej wydania. Znaleźć defekt: wada kroju, dziurka od papierosa, przetarcie, plama, od tego zależał tok dalszego postępowania. Opłaci się w nią inwestować wysiłek, czy nie? Zdarzały się ubrania bez wad, nowe, lub prawie nowe (właściciel gwałtownie zmienił figurę, lub pozbył się nieprzemysłanego zakupu). Powoli zdobywaliśmy wiedzę o dawcach, można było rozszyfrować pewne ich skłonności, słabostki. Właścicielka mojej spódnicy na przykład na pewno tyła i to prędko. Początkowo jeszcze walczyła o nią. Na pasku odkryłam trzy ślady od przeszywanego coraz dalej guzika. Nie dziwię się, rzecz była atrakcyjna, głębokie, ze skosu krojone kieszenie. Obie miałyśmy przy noszeniu spódnicy podobny odruch, wkładanie rąk do kieszeni. Świadczyło o tym leciutkie, na bokach wytarcie materiału i drobna skaza w splocie, któraś z nas widocznie zahaczyła nitkę pierścionkiem lub bransoletką. Dziewczyna reagowała na modę, zmieniając długość spódnicy, są na niej ślady dwóch kolejnych obrębów – długość maxi i mini. Była przewidująca, nie odcięła pasa materiału, tylko fachowo go zakładając, wprawnym ścięciem podszyła. Znała się na tym. Kolor nici dobrany jest do koloru materiału – ciemna śliwka. Pedantka. Po szpulkę nici musiała pójść do sklepu z próbką materiału, takiego rzadkiego koloru nie trzyma się po prostu w pudełku do szycia.

Przy maszynie do szycia, w trakcie wielogodzinnych przeróbek, wpadł mi do głowy pomysł Cortazarowskiego opowiadania: dwie osoby z dwóch krańców globu niespodziewanie zostają połączone faktem noszenia tej samej rzeczy: buty, koszula nocna? I nagle u jednej z nich pojawia się cały łańcuch gwałtownych zdarzeń. Niezrozumiałe obsesje myślowe, czynności omyłkowe, nowe słownictwo, uczucia, sny z nie znanymi pejzażami, aż do powolnych, a jednak coraz widoczniejszych zmian cech fizycznych: długość nosa, kształt dłoni, paznokcie nagle mają ślady obgryzień, u kogoś kto nigdy tego nie robił. Można pofantazjować. W końcu ta rzecz (buty, koszula?) dążąc do odtworzenia swojego poprzedniego, utraconego właściciela, niszczy człowieka, przekształca go w twór obcy, groźny.

Nie było przecież obojętne, iż przez pewien czas nosiliśmy cudze swetry i wsuwaliśmy stopy w cudze buty. Coś się w nas musiało zmienić. Nie miałam na przykład dotąd pojęcia, że aż tak może dokuczyć zapach obcych perfum. Za każdym razem, mimo wielokrotnego prania, ilekroć wkładałam bżowy sweter, biła we mnie słodko-gorzka woń, rodziła mroczne, erotyczne skojarzenia. Widziałam nieomal wielkie, męskie dłonie z obrośniętymi przegubami, z czarnymi włosami na palcach, które zdzierają gwałtownie ten sweter z jakiejś brunetki o dużych piersiach z ciemnofioletowymi sutkami. Mulatka? To było tak silne, że w końcu mimo oporów (sweter był ciepły) podarowałam go Chemiczce.

Większość darów prędko opuściła nasz dom, powędrowała dalej, najczęściej w workach plastikowych – jak kiedyś moje stare rzeczy. W tamtych jednak trudnych tygodniach spełniły

swoją rolę, dając nam pokrzepiające uczucie, że ktoś, gdzieś o nas pamięta.

Kiedy rozwiązano Związek Literatów Polskich, rozpędzono pisarzy, zabroniono nam spotykać się w większych grupach, gdy zabrano nam wszystko, co można było zabrać: hotelik w Warszawie, stołówkę, bibliotekę, domy pracy twórczej, lokale związkowe, nie mieliśmy już gdzie zrzucić pudeł i rzecz zmarła naturalną śmiercią.

Na naszej krze, dryfującej w nieokreślonej czerni, byle dalej od tamtej drugiej – powstało w tym czasie silne poczucie wspólnoty. I ono przetrwało.

* * *

Zawsze intrygowała mnie anatomia przyjaźni. Jak to się dzieje, że człowiek osobny, z innej niż rodzinna przestrzeni, nagle staje się bliski. Co o tym decyduje?

Prawdziwa przyjaźń wymaga także fizycznej akceptacji. Oswajamy się z cielesnością „tego drugiego” prawie jak ze swoją własną. Dogłębiamy jej z troską. Dotyk ręki, bliskość oddechu, picie z jednej szklanki, kaszel, nawet choroba nie wywołują normalnego w takim wypadku odruchu izolacji. Więż psychiczna, tajemnicze momenty wspólnego pomyślenia o sobie, kiedy w tej a nie w innej sekundzie odzywa się dzwonek do drzwi, lub dzwonek telefonu, a do skrzynki wpada biała koperta. Wiemy na pewno, kto dzwoni, kto do nas napisał. Jest to po prostu wynik wieloletniego trwania obok siebie. Konieczna jest także wzajemna akceptacja wad, nawet ich sekretna ochrona. Przyjaźń wymaga rezerwatu, to nic nowego. Najtrudniej rozszyfrować genezę przyjaźni. U mnie była ona zawsze ciemna, okryta tajemnicą. Widzę kogoś ponad wszelką wątpliwość po raz pierwszy, a jednocześnie wiem na pewno, że go dobrze znam. W jakich przestrzeniach gościliśmy razem, że brzmienie jego głosu jest tylko przywołaniem minionego, a gest ręki wywołuje uczucie, jakie przeżywamy, gdy nagle po dziesięcioleciach przypomnimy sobie epizod z własnego dzieciństwa. Obcy wkracza w naszą prehistorię?

Może po prostu każdy dźwiga w mózgu swój własny model przyjaciela. Wystarczy później jedynie prędko akt identyfikacji. Bo jak to inaczej wytłumaczyć? Uwierzyć w życie przed życiem?

Monika jest przyjaźnią z późnego dzieciństwa. Moja szkoła podstawowa mieściła się w ogromnym, pruskim budynku z szarych bloków. Wyglądała jak warowny zamek. Wnętrze miała imponujące, schody obramowane białymi balustradami, posadzki z wielkich płyt. Na każdym piętrze, na podestach, okrągłe mozaiki z kolorowych kamyczków. Klasy jak sale balowe, zwłaszcza nasza, na drugim piętrze. Półokrągły wykusz biegnący wzdłuż całej lewej ściany oddzielony był od wnętrza stopniami i kolumnami. Między nimi tkwiły cztery duże akwaria. W słoneczne dni paliło się w nich zielone słońce, a po suficie wędrowały świetliste smugi. Ławki stały tylko na samym środku. Z wysokiej katedry wyglądały jak zagonione w jedno miejsce stado, otoczone gęstą zielenią. Paprocie, filodendrony, kilka odmian pnączy, wszystko to rozrastało się pod ścianami i wędrowało po specjalnie zbitych rusztowaniach. Był w tym wnętrzu zapach i niepokój ogrodu. Trochę to rozpraszało, zwłaszcza na przedmiotach ścisłych. Monikę przyprowadziła wychowawczyni w środku roku szkolnego, do piątej klasy. Przez pierwsze tygodnie obserwowałam ją uważnie. Dwie drobne rzeczy zwróciły moją uwagę – na lewym oku miała w piwnej tęczę niebieską kropkę wielkości główki od szpilki, a na paznokciach białe plamki. O takich paznokciach mówiło się, że „kwitną”. Te znaki, fantazjowałam, znaczą coś więcej niż znaczą, jest to magiczny hieroglif adresowany wyłącznie do mnie. Powinnam go koniecznie odczytać. W ruchach Moniki odkryłam dopracowaną celowość. Tak odwracała kartki w zeszytach, chodziła po boisku, jadła bułkę z metką, skakała przez linę, jakby nieprzerwanie ktoś ją fotografował, jakby grała w filmie. Większości to się nie podobało, mówiono, że się „staluje”, wyróżnia, wywyższa. Mnie – intrygowała. W końcu powstał między nami względnie stabilny układ. Wyczuwałyśmy wzajemnie, że coś nas łączy,

ale nie spieszyliśmy się z odpowiedzią na pytanie – co? Obchodziłyśmy siebie raczej z daleka, kołami, raz po raz tylko podejmując ryzyko rozmowy. Wyglądało na to, że nie mamy dla siebie czasu. Od kilku miesięcy przyjeżdżał już po mnie Filip. Wypadał na rowerze z zaokrętu furkocząc wiatrówką, na podjeździe wykonywał po mistrzowsku dwie ósemki, wyhamowywał z piskiem opon, spuszczał jedną nogę z pedału i czekał, aż podam mu teczkę. Zawieszał ją na kierownicy i szliśmy wkoło przez tak zwaną „cmentolinę”, park, który jeszcze dwa lata temu był cmentarzem poniemieckim. Po szkole krążyły czarne opowieści, że chłopcy z wyższych klas wykopują tam czaszki z długimi włosami. Nie wierzyłam w to.

W sumie było nas dziewięć z dwóch klas siódmych. Wszystkie zostałyśmy przyjęte do tej samej, ósmej klasy liceum. Pierwszego września weszliśmy z Moniką w tłumie dziewcząt do nowej sali, tuż obok siebie. Jedna szła za drugą, a która pierwsza? Może szłyśmy ramię w ramię? Kto kogo pilnował? Nie pamiętam. Usiadłyśmy obok siebie w lewym rzędzie, w trzeciej ławce od końca i siedziałyśmy tak przez cztery lata. Nikt nie skomentował tego faktu, chociaż oglądano nas z pewnym zdziwieniem. Dlaczego one nagle razem? Był to ten typ zaskoczenia, które rodzi połączenie dwóch pozornie nie przystających do siebie ruchów w szachach, z których nagle wynika prosta koncepcja ataku. Zdziwienie, że rzecz tak oczywista, jak nasza przyjaźń, nikomu wcześniej nie przyszła do głowy.

Od tego dnia większość czasu spędzałyśmy razem. W klasie mówiono „one tak twierdzą”, lub „one przyjdą po mnie”. Wkrótce zaczęto się z nami liczyć. Z nami, a nie z każdą z osobna. Nasza siła wynikała z wzajemnej inności. Uzupełniałyśmy się. Cała trudność polegała na tym, aby wynegocjować wspólną postawę, zbiór kompromisów. Wyłaniał się z wielogodzinnych rozmów, tworzył strukturę na tyle pojemną i elastyczną, że udawało nam się narzucić ją większości. Zaczęto realizować nasze pomysły. Wcześniej więc, dzięki wspólnocie, poznałyśmy smak wodzostwa. Stany gwałtownego podniecenia, gdy nagle rzecz wymyślona przekształca się w czyn. Kierowałyśmy spektaklami teatralnymi w szkole, ucieczkami z lekcji, obmyślałyśmy bojkot nauczycieli, prywatki i wycieczki.

Później, po latach, już po studiach, gdy udało mi się wreszcie ściągnąć Monikę do Słowackiego z Pałacu Kultury, i jeszcze po wielu latach to nasza między innymi zmowa, nasz upór uczyniły ze Słowackiego, jak mówiły władze, „gniazdo opozycji”.

Pamiętam doskonale to wrześniowe popołudnie osiemdziesiątego roku, od którego się wszystko zaczęło. Był tej jesieni wyjątkowy urodzaj śliwek; gazety pisały: „klęska urodzaju”. Nasze dwie renklody oszalały. Co rano ziemia pod drzewami była ciężka od owoców. Śliwki i ślimaki (plaga ogrodu) pękały pod podeszwami, zamieniając się w rudą maź, trzeba było uważać, aby się na niej nie poślizgnąć. Kojarzyło się nam to nieodparcie z rozpadem, gniciem życia, które nas otaczało. Na naszych oczach instytucje i ludzie błyskawicznie zamieniali się w lepka, kleistą ciecz. Więc jest aż tak źle? – pytałśmy siebie wzajem. Co robić? Ratować, na gwałt ratować to, co jeszcze zostało.

Śliwki też próbowaliśmy ratować. Ściągnęliśmy posiłki. Dzień był bardzo wietrzny, a drzewo wysokie. Czubek drabiny – z Grzegorzem na samej górze – wyraźnie przy podmuchach przesuwiał się raz na prawo, raz na lewo. Wtedy Rynio z dołu krzyczał na syna: – Balansuj, cholera jasna, balansuj!... – jakby chłopak stał nie na drabinie, lecz na pędzącej żaglówce w czasie sztormu (w zeszłym roku byli razem na regatach).

Oni zrywali, a my w kącie, między bazylią a różami, opowiadaliśmy Monice o zebraniu, na którym wybraliśmy nasz Tymczasowy Zarząd Regionu „Solidarności”. Do Poznania przyjechali trzej stoczniowcy z Gdańska. Mieliśmy się spotkać o piętnastej, w świetlicy Zarządu Zieleni. Nie wpuszczono nas do środka. Dyrektor otrzymał zakaz z Komitetu Dzielnicy. Lał deszcz, było zimno. Ruszyliśmy w końcu zwartą grupą przez szeroką, czteropasmową jezdnię, na drugą stronę, aby się schronić pod wiatami, nad Malta, sztucznym jeziorem, gdzie odbywają się coroczne zawody kajakowe. Zatrzymaliśmy ruch. Przodem jechał w poprzek szosy, a później przez trawniki bordowy fiat zachlapany błotem, wprost z trasy,

oklejony znakami „Solidarności”, za nim grupa delegatów, parę osób w kombinezonach; nie wszyscy zdążyli się przebrać. Szliśmy hardo, zamasyście, w przekonaniu, że idziemy w imię słusznej sprawy. Ścierpimy, przeczekamy, a póki co możemy obradować nawet na wolnym powietrzu. Przechodnie stawali na nasz widok, odprowadzali nas uważnym wzrokiem. Fiat był widowym znakiem, że w Trójmieście „Solidarność” jest już legalna, dysponuje własnym autem. Od jeziora ciągnęło chłodem. Ruszyła na nas gęsta mgła, lało. Stoczniowcy ze ściągniętymi, pociemniałymi od zmęczenia twarzami, zachrypniętymi głosami, krótko, gruzłowato informowali nas na zmianę o sytuacji w kraju i u nich, na Wybrzeżu. Od dwóch dni jadą przez Polskę na południe i zbierają informacje o Zarządach Regionalnych – zakłady pracy, adresy, nazwiska. Nazywa się to polityką „faktów dokonanych”. Trzeba się spieszyć.

Ktoś obok powiedział półgłosem:

– Będziemy o tym opowiadać dzieciom. To jest żywa historia.

Rozpierała nas duma, że w niej uczestniczymy. Monika słuchała zachłannie, zupełnie nie zwracając uwagi na syna zawieszonoego na wietrze, kilkanaście metrów nad ziemią i zsypując popiół raz na róże, raz na bazylię przerywała Edkowi przy każdym barwniejszym epizodzie: – A mnie tam nie było! Że też mnie nie wzięliście! Nie, tego wam nigdy nie wybaczę!

W naszą rozmowę co chwilę wdzierał się przejmujący krzyk Rynia: – Balansuj! – i chrzęst kroków sąsiada za płotem (nazywaliśmy go Mszycą, bo o wszystkich działkowych szkodnikach mówił: „E, pani, to mszyce”). Sąsiad, przechylając się ku nam przez siatkę i podając talerz pełen winogron („u mnie latoś obrodziły, niech państwo jedzą”), poinformował Edka:

– Panie, ja też słucham, można?

Reprezentowaliśmy dwadzieścia sześć zakładów pracy. Dla pewności policzyliśmy się cztery razy. Każdy zakład, największy i najmniejszy, miał prawo poddać pod głosowanie do zarządu trzech kandydatów. To nie było sprawiedliwe, ale stoczniowcy twierdzili, że na niuanse, wyliczenia, nawet na właściwych ludzi czas przyjdzie później. Było więc trzech robotników z wielotysięcznych zakładów Hipolita Cegielskiego, trzy przedszkolanki, trzech filozofów i trzech filologów z uniwersytetu, trzech ogrodników, trzech kolejarzy z Zakładów Naprawy Taboru Kolejowego, trzech tramwajarzy i, jeśli dobrze pamiętam, trzech weterynarzy. Głosowaliśmy, nie znając się wzajemnie, patrząc jedynie w twarze ludzi, słuchając ich prędko wypowiedzianych życiorysów. Ktoś zapobiegliwy miał termos z herbatą. Popijaliśmy ze wspólnego kubka, potupując z wrześniowego chłodu.

Po znojnym, długim obliczaniu głosów, na jakimś z trudem zdobytym krześle, ogłoszono wreszcie skład Zarządu. Stoczniowcy wzięli listę i natychmiast z wizgiem zrywającej się spod kół ziemi, na kontrolowanym poślizgu, znowu wstrzymując ruch, wypadli na jezdnię. O osiemnastej mieli już następne zebranie, w następnym mieście. Rozchodziliśmy się wolno, zostawiając za sobą małą grupkę ludzi pod wiatą, w strugach deszczu i mgłę. Umawiali się na dzień następny, aby rozpocząć u prezydenta miasta batalię o pokój z telefonem. Koniecznie z telefonem, to był warunek.

Przez dłuższą chwilę w ogrodzie panowała cisza. Mszycy zamarł w bezruchu, oparty o płot. Monika zaciągnęła się papierosem.

– U pana w pracy też już ruszyło? – spytał wreszcie Edward.

– A ruszyło panie, ruszyło, aż się trzęsie, a co poniekórych to i ze strachu trzęsie. Ale ja tak sobie myślę w sprawie tego szarego. Szary i tak zostanie szary, co by tam nie było... „Solidarność” czy nie „Solidarność”...

– A u nas nie ruszyło – powiedziała Monika. – Nie wiem, co by się musiało stać, żeby nauczycieli ruszyło.

Edward wziął kosz i poszedł wybierać z porannych spadów dobre jeszcze owoce. To było niebezpieczne zajęcie. W środku śliwek siedziały zatopione w soku osy. Nawet Jung odnosił się do tych buczących renklod z należnym szacunkiem, kiedy usłyszał w którejś bzyczeniu, cofał się z respektem i obchodził śliwkę wkoło.

Pewnie miał już serdecznie dosyć tego ogrodu pełnego niebezpieczeństw – osy, spadające z drzewa gruszki, śliwki, krzyczący ludzie. Stał przed furtką ze spuszczonego ogonem i z utęsknieniem wpatrywał się w ścieżkę prowadzącą do domu. Żywy znak protestu.

Słońce już nas minęło. Siedziałyśmy z Moniką w cieniu. Nad jej głową świeciła ciemnoczerwona, aż czarna róża, moja najulubiejsza, o ostrym zapachu dzikich kwiatów z łąki.

– Wyobraź sobie – zaczęła cicho, konspiracyjnym szeptem, którym zwykła przekazywać mi swoje najbardziej zwariowane pomysły, odwróciła się nawet, żeby sprawdzić, czy Rynio nas nie słyszy (ale za tą jedną różą była następna róża i wysoki mur marcinków), więc pochyliła się tylko niżej:

– Wyobraź sobie taką sytuację, że dajmy na to zakładamy w Słowackim „Solidarność”. Staremu by chyba oko zbieleło – rozmarzyła się. Wzrok się jej zapalił, przez moment wydało mi się, że niebieska cętka na jej lewym oku niebezpiecznie powiększyła się, błysnęła własnym, szalejącym światłem. Doskonale wiedziałam, na co się zanosi, słyszałam już nawet tę trąbę powietrzną, która się do nas zbliżała, poczułam na plecach falę chłodu, pas gęsiej skóry. Ogród gwałtownie poruszył się, sypnął owocami.

– Nic na chama, rozumiesz? – mówiła coraz ciszej. – Wolno, wolniutko przygotowujemy grunt, rozmawiamy, wbijamy do łepetyn, jakby nigdy nic, że tylko tak sobie głośno myślimy, a potem, jak się oswoją, buch i mamy związek! Rozpieprzamy w drobiazgi tę parodię szkoły, w której od lat tkwimy, ichnie wszystkie kretyńskie procenty „czystych” i „nieczystych”, procent goli na jednego ucznia, te wszystkie cholerne statystyki, ideologie, przelewanie z pustego w próżne i robimy normalną szkołę. Cudowną szkołę: normy etyczne, nauka, dyscyplina – marzyła.

– O co właściwie chodzi, grono mamy dobre, młodzież świetną a dyrektor?... No, dyrektora będzie można zmienić, jak sądzisz?

Kiedy przypominam sobie teraz to wszystko, co się później w Słowackim działo, co było po prostu ciągiem dalszym naszej rozmowy, te trzy lata wyjęte z normalnego życia, batalie, walki, zwycięstwa, a później procesy do Sądu Najwyższego włącznie i ostateczną klęskę, która dla Moniki, dla mnie i dla wybranej przez grono dyrektorki zakończyła się usunięciem nas z liceum – widzę zawsze nasz ogród w wietrze.

Myślę o nim – wiatr historii. Porwał nas, unióś i rzucił ciężko o ziemię.

* * *

Umieranie przyjaźni. Próbuje je opóźnić. Chwilami wierzymy, że uda nam się unieruchomić, zabalsamować przyjaźń, jak pszczołę w gorącej żywicy. Jej śmierć uświadamia nam, że czas to nie kopalnia niewidocznego kurzu, lecz twarda przestrzeń, rządząca się własnymi prawami, w którą wchodzimy powoli, jak w metal. Błyszcząca ściana wchłania nas – kroplę krwi – milimetr po milimetrze. Obcość rodzi się najpierw w oczach. Żrenice produkują matową, zimną substancję? Pierwszy znak – sekundy nieuwagi, gdy próbujemy opowiedzieć coś ważnego, a oczy przyjaciela, tak dotąd ostrożne, dotykają drzew za nami, ścian...

Kiejstut nie miał nigdy dobrego zdania o Polakach. Po osiemdziesiątym roku, doskonale to pamiętam, jego „nieroby” były niebezpiecznie blisko „warcholów”, którzy ciasno wypełniali mieszkanie, ilekroć otworzyliśmy telewizor. Później, już po wyborach władz uniwersytetu, pojawiły się w jego języku „święte krowy Solidarności”, „ludzie nie do dotknięcia”, „wodzowie dusz”. Taka prosta sprawa, opowiadał, jego doktorant otrzymał stypendium w Anglii, przez dwa miesiące nie mógł sobie załatwić urlopu naukowego. Decyzja przeszła przez wszystkie instancje, od dołu do góry, a papierka jak nie ma, tak nie ma. Termin się zbliża, odsyłają go od Annasza do Kajfasza. W końcu okazuje się, że pismo ugrzęzło w jakiejś szufladzie, rozpląnęło się w nicości między jednym gmachem a drugim. Totalny bałagan. Kiejstut musiał osobiście sprawę odkręcać, wydeptywać dywany, tracić swój czas, bo ci „namaszcze-

ni” zamiast urzędować, walczą o popularność! Wszędzie, gdzie mogą, wygłaszają przemówienia, na wiecach, w kościołach, co chwilę coś odsłaniają – tablice pamiątkowe, pomniki. Najgorsze, że nie znają przepisów. Wysoka fala dyletanctwa, cztery metry ponad poziom morza. – Zaleje nas, mateńko, zaleje – biadolił. Beatyfikowano ich za życia. „Święte krowy.” A nie wolno o tym głośno mówić, bo się człowiek naraża na towarzyski ostracyzm. Demokracja w polskim wydaniu.

– Mianowani byli sprawniejsi od wybranych? – spytałam czując, jak krew uderza mi do głowy.

– A żebyś wiedziała, że byli!

Te rozmowy odległe, spory kilkuminutowe z okresu, gdy wszystko koło nas płonęło, zmieniało wymiary, prędko ulegały zapomnieniu. Dłużej pozostawał w pamięci Kiejstutowy rejestr naszych wad narodowych. Po pierwsze: skłonność do zrzucania odpowiedzialności za własne nieudacznictwo na wszystkich wokół, byle nie na siebie, na tak zwane „trudności obiektywne”, system, nomenklaturę, sytuację geopolityczną, wreszcie na Wielkiego Brata. Po drugie: polski nacjonalizm. Kiejstut urodził się na Warmii, w rodzinie nauczycielskiej, od pokoleń walczącej o polskość tej ziemi.

– A wiecie, co Polacy robili z Warmiakami? – pytał, podnosząc niebezpiecznie głos. Słuchaliśmy pełni zażenowania, z poczuciem winy, która czyją była winą?

Widział na własne oczy pociąg pełen wyjeżdżających na Zachód Warmiaków. Uciekali z tej nagle nieswojej ojczyzny, od nowych sąsiadów, sprowadzonych tutaj z kresów wschodnich, od ich obyczajów, temperamentów, metod gospodarowania, uciekali przed wiecznymi podejrzeniami, przed poczuciem zagrożenia na własnej ojcowiznie.

Było lato, wzdłuż szyn świeciły zboża, dalej wymiecione podwórza, domy i ogrody. Otworzyli okna i kiedy pociąg ruszył, zaśpiewali głośno, rozpaczliwie przez ściśnięte krtanie: „Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy”. Było ich słychać aż na końcu wsi. Ich dzieci nie będą już śpiewać polskiego hymnu. W ciągu paru lat udało się Polakom to, co Niemcom nie udało się przez dziesięciolecia! Potem jeszcze długo wyjeżdżali, kolejno, jedni po drugich, na końcu ci najbardziej twardzi. Ci, którzy próbowali zostać. Co roku, kiedy latem wracał z miasta, dowiadywał się, kto ubył. Teraz z całej okolicy zostały tylko trzy, słownie t r z y stare rody, trzy chałupy.

Od początku nie miał zaufania do „Solidarności”. – Dlaczego miałbym ją mieć? – pytał. Bez kultury politycznej nikt jeszcze nie zbudował demokracji. Do jakich doświadczeń mają się odwołać? Do tej szamotaniny z dwudziestolecia? Na razie popełniają błąd za błędem. Wystarczy przyrzeć się, jak lekko skreślają ludzi, jednym machnięciem ręki skazują ich na społeczny niebyt. Znowu tracą, bez przerwy tracą, tak jak kiedyś ich przeciwnicy. Robią to samo. Do tego ta pewność nieomyślności, prawie charyzmy.

Kiejstut płonął. Na każdą próbę polemiki reagował gwałtownie:

– Ależ Bogusiu, ja cię bardzo przepraszam, ale ty... – nie można mu było przerwać.

Tak się składało, że prowadziliśmy te rozmowy w miejscach szczególnych, na przykład w osiemnastowiecznym pałacu pobiskupim w Ciężeniu nad Wartą. Uniwersytet przeniósł tam część swoich zbiorów bibliotecznych, a firma polonijna – uciekając przed podatkami – urządziła za darmo pokoje gościnne. Na wyniosłym wzgórzu, w ogromnym pałacu z dziesiątkami sal – tylko my we czwórkę, z Kiejstutem i Janą. Okna szeroko otwarte na leżące w dole zakole Warty i park z kwitnącymi lipami. Słodki zapach wdzierał się aż do pokoju, a na tle nieba, z wizgiem skrzydeł, tuż przed nami przelatowały dziesiątki jaskółek. Miały gniazda między gzymsami, zaraz nad i pod oknami. Kiejstut akurat wrócił ze swojej rodzinnej wsi. Był jeszcze pod jej wrażeniem. Dużo opowiadał, przede wszystkim o bracie. (Widziałam go w wyobraźni – płowowłosego, szerokopleczystego, udziałnego księcia w ogromnym domostwie.) Dla Kiejstuta był niedoścignionym wzorem. I choć to sobie trudno wyobrazić, brat przewyższał go podobno energią. Zgromadził beczki z setkami litrów benzyny, zapasy mate-

riałów budowlanych na kilka zabudowań gospodarczych. – On jest potęgą – stwierdził Kiejstut, kiedy już rozgromił ostatecznie „święte krowy Solidarności”, które tym razem nie za twierdziły mu w porę etatu dla stażysty. Trzeba umieć żyć, mocno żyć. Organizacja i jeszcze raz organizacja! Jeśli chce się do czegoś dojść, głosił, należy przede wszystkim zorganizować samego siebie. Postawić na coś.

– Czemu nie postawiłaś na „Solidarność”? – spytałam. – Narzekasz i narzekasz na wybrane władze, a sam do senatu nie chciałaś kandydować.

Nie odpowiedział, zamrugał oczami, przetarł okulary. Wizgot skrzydeł jaskółczych przeciął powietrze parę centymetrów od szyb, do środka wpadł zapach rzeki, jakby wieczór za oknami głęboko odetchnął. Po chwili Kiejstut znowu zaczął o bracie. Podjeżdża na przykład tarpanem pod „zaprzyjaźnioną” stację benzynową. Za plandeką ma ukryte otwarte kanistry. Chłopak leje do baku, leje, leje, a potem nagle hop i pod plandekę, do kanistrów, znów do baku i tak na przemian... Tylko ksiądz i brat mają taką umowę ze stacją, biorą, ile chcą. Oczywiście, coś za coś. Kiejstutowi dostało się trochę benzyny od brata, nawet razem z nowiuteńkimi kanistrami.

– Wielka mi sprawa, benzyna! – Jana pedantycznie polerowała kieliszki, oglądała je pod światło. – Nawet Edward by to załatwił.

„Edward” był dla Jany najniższą jednostką obliczeniową: za jej pomocą oceniała u ludzi stopień ich zaradności życiowej. Dwa „Edwardy”, cztery „Edwardy”. Kiejstut, który i tak nie zaspokoił wszystkich ambicji żony, był przez nią szacowany na circa kilkanaście „Edwardów”.

Jana także pochodzi z wioski warmińskiej. Dla mnie ich małżeństwo ma w sobie coś tajemniczego. Jak się zdołali wytropić w tym ogromnym mieście? Nie było między nimi żadnej wspólnej przestrzeni, należeli do dwóch obcych światów: uniwersytet, hotelik dla pracowników naukowych – i szpital, hotel dla pielęgniarek. Jana była położną. Pozostał tramwaj. Kilka przystanków, które przejechali razem, zupełny zbieg okoliczności. Kiejstut przeważnie chodził pieszo, mocno przechylony do przodu, w grubych okularach gnał ulicami, niewiele widząc wokół siebie, ale tego dnia akurat łało, więc stanął na przystanku. Nie można wykluczyć, że Jana знаła go już z widzenia. Mijała Kiejstuta jeżdżąc „ósemką”, zawsze w tym samym miejscu, o tej samej godzinie. Rano pracował w bibliotece, miał tam spokój. Po korytarzach hoteliku grasowały dzieciaki kolegów, pędziły na rowerkach, grały w piłkę, odbijając ją od drzwi, bawiły się w chowanego. Strzępy waty w uszach już nie pomagały. Był o parę lat starszy. Może imponowała Janie jego punktualność, determinacja, z jaką pokonywał przestrzeń, upór, bo przecież nie męska uroda (niewiele miał wtedy wspólnego z Kiejstutem dzisiejszym). Może patrząc, jak zaaferowany omija kałuże, dostrzegła w jego aktówce termos z kawą, paczkę z kanapkami i pomyślała, że byłby dobrym materiałem na męża, taki oszczędny, zdolny do systematycznego wysiłku. Pasja, wewnętrzny ogień są wypisane na twarzy Kiejstuta, a wtedy przed laty były jeszcze wyrazistsze, wystający podbródek, silna szczęka. Tak mogło być, ale nie musiało, zawsze zapomniałam spytać Janę, jak się poznali. Może wpadli na siebie w wagonie, gdy tramwaj zahamował, może podniósł jej rękawiczkę? Czy wysiedli na tym samym przystanku? Musi istnieć jakaś konkretna przyczyna, która zadecydowała, że Kiejstut się odezwał. Kobiety go wtedy nie interesowały. Małżeństwa nie miał w planie, a na flirty szkoda mu było cennego czasu. Parę miesięcy później wzięli ślub.

Poza tym, że wszystko zaczęło się w tramwaju i że przez całe lata, nim dostali pierwsze mieszkanie, tułali się po wynajmowanych pokojach – nie wiem o nich z tamtego okresu niczego więcej. Szkoda.

Teraz bowiem, kiedy niespodziewanie wpadam na Janę w sklepie lub na rynku, odkłania mi się wprawdzie, ale niechętnie. Kiejstut wita mnie może z bardziej mieszanymi uczuciami i ten cień, wąty cień naszej dawnej zażyłości nadal pojawia się w jego uśmiechu, a gdy rozmawiamy przez telefon, tembr jego głosu, zaczajony w nim tak dobrze znany rechot, który

mogłabym w każdej chwili obudzić odpowiednim pytaniem, przywołuje natychmiast te wszystkie spędzone obok siebie lata. I wtedy znowu, po raz już nie obliczony, rozważamy z Edwardem wszystkie szczegóły tamtej trudnej nocy, co kto powiedział, jak zareagował, jakie były powody naszej decyzji. Na koniec podważamy jej sens, aby wciąż od nowa pytać siebie z błyskiem nadziei w oku: – A może by ich tak zaprosić? – wierząc, że któreś z nas pierwsze nie wytrzyma i zacznie tego drugiego przekonywać, że już dawno powinniśmy to zrealizować. Zawsze jednak po dłuższej chwili ciszy – zmieniamy temat.

Tak się złożyło, że ostatni raz byliśmy u Kiejstutów akurat przed moim odejściem ze „Strugi” w okresie tzw. intensywnej normalizacji. Część pism właśnie „odwieszono”, część rozwiązano, innym zmieniono redakcję. „Struga” wyszła bez okaleczeń. Naczelny był dumny, uratował nas i miesięcznik. Kontrola była jednak szczelna. Żadne wolne zdanie nie miało szans druku. Wiedziałam – jestem okrażona i ubezwłasnowolniona. Za pensję, pytałam samą siebie, tylko za pensję mam tam siedzieć? W myślach układałam do przyjaciół pisarzy listy następującej treści: „Proszę Cię bardzo, przyślij mi swoje nowe wiersze. Będę Ci bardzo wdzięczna. Twoje nazwisko w druku odegra wiążącą rolę dla innych. Szkoda wytracać piśmo.” Miałam kilka szczególnie nośnych wersji. Obmyślałam strategię zachowań, jak ich podejść, jak oswoić. Wiedziałam jednak, że za każdym razem, ilekroć zacznę wertować świeżo złożone szrotki „Strugi”, będę leczyła migrenę, a po przeczytaniu wstępniaka naczelnego, lub jakiegoś innego „wiodącego” artykułu, napisanego przez któregoś z miejscowych politologów, pozostanie mi jedynie żywić nadzieję, że moi autorzy nie znajdą tych tekstów w numerze. Z lękiem zacznę otwierać ich listy, aby przeczytać, że wprawdzie wiersze przysłali, ale mimo wszystko nie podejrzewali, że pracuję w piśmie, w którym można odkryć coś tak kuriozalnego jak na przykład (i tu dokładny cytat)...

To wszystko już było, zdarzało mi się wielokrotnie przed Sierpniem, a nawet po, miałam to już za sobą, znałam moje wstydy, zapeszenia, tłumaczenia... Czy chciałam grać w to dalej?

Poszliśmy do Kiejstutów na ich dalekie osiedle. Mieli dla nas cielęcinę. Jana zdobyła ją gdzieś na wsi. Ten wieczór spędzony przy dwóch bocznych lampach był ważny. Lamy – jak dwie sprzeczne racje przyświecały naszej rozmowie z dwóch krańców stołu. Cielęcina okazała się pretekstem (potem pomyślałam: próbą pozyskania nas). Kiejstut postanowił zawiadomić nas o swojej decyzji. Podjął ją parę dni wcześniej. Byliśmy papierkiem lakmusowym. Nasza reakcja miała go poinformować o sile tego, z czym przyjdzie mu się zmierzyć w najbliższych tygodniach. Uznał widocznie, że jesteśmy typowi, nasze poglądy są wypadkową, nie wykraczającą poza średnią środowiska.

Pił już przed naszym przyjściem, a teraz dolewał Stocka prędko, raz za razem, nie wypuszczając flaszki z ręki, nawet przez tę krótką chwilę, gdy kieliszki były pełne. Otwartą butelkę trzymał za szyjkę, przechylał ją, opierał o cukierniczkę. Oczy miał zaczerwienione, lekko załzawione. Jana na długo zniknęła w kuchni. Chciała widocznie dać Kiejstutowi odpowiednią porcję czasu, aby jeszcze przed kolacją zdołał nam wszystko powiedzieć. To było dokładnie obliczone, bardzo w stylu Jany. Taka wiadomość w środku kolacji mogła zepsuć całą uroczystość. Wiedziała, że przestaniemy jeść, zaczniemy gadać, mięso wystygnie, nie mówiąc już o pieczarkach, których zapach unosił się po całym mieszkaniu.

Byłam pewna – nie myli mnie moje belferskie wyczucie – za moment dowiemy się czegoś ważnego. Próbowałam nawet parę razy uświadomić to Edkowi, ale kiedy zapytał mnie: – O co ci chodzi? Kopiesz mnie i kopiesz... – zrezygnowałam.

Kiejstut powiedział to w końcu w jednym zdaniu:

– Zostałem naczelnym „Pamiętnika Naukowego”.

Nie spuszczałam z niego wzroku. Stało się tak, jakby przedmiot znany do najmniejszej ryśy nagle ożył, obrócił się z chrzęstem o całe sto dwadzieścia pięć stopni i pękł w poprzek, odsłaniając swoje nieprzewidywalne wnętrze. Pomyślałam o skamieniałej bryle soli. Przywiozłam ją przed laty z wycieczki do kopalni, teraz służy mi jako przycisk do papierów. Dlaczego

go właśnie ona, ta rzecz użyteczna, pełna załamów cienia skojarzyła mi się z twarzą Kiejstuta? Dociekliwość, jakbym strukturę kryształu oglądała przez szkło powiększające. Ciemne światło, może odbicie czegoś w oku Kiejstuta, w każdym razie dojrzałam w jego tęczęwkach czarną, pulsującą nić.

„Pamiętnik” wychodził w Warszawie, redaktorzy mieszkali w różnych miastach Polski. Był najbardziej liczącym się miesięcznikiem naukowym naszej humanistyki. Redakcję rozwiązano przed tygodniem.

Kiejstut znowu nalał do kieliszków. To, że wchodząc do pokoju Jana powiedziała: – Jak się chce w życiu do czegoś dojść, trzeba ryzykować – nie było istotne. Wiedzieliśmy, że dla Kiejstuta rzecz była bardziej dramatyczna.

– Kto w tej sytuacji będzie u ciebie drukował? – spytał Edward po chwili ciszy.

– Jak to, kto? Chyba mi nie odmówisz?

– Ja miałbym drukować po takim rozpirzu, po wywaleniu naczelnego, który to pismo stworzył od zera? Ja?

– Sprawy personalne, Edwardzie, trzeba odłożyć, chodzi o ciągłość wiedzy. Za pół roku nie o rozpirzu będzie się pamiętało, lecz o poziomie pisma.

– Pewnie, nie ma ludzi niezastąpionych, tak? Wszyscy są wymienni! Tylko tydzień i już mają następnego. Król umarł, niech żyje król.

Dla nas „Pamiętnik” był własnością tych, którzy go zbudowali. Pismo zdołało sobie wywalczyć niezależność. W redakcji nie było ani jednego dyspozycyjnego człowieka, nie uzgadniano więc niczego z władzami, nie pytano o zgodę, po prostu redagowano. To drażniło, od lat mieli poważne kłopoty z nakładem, drukarnią, papierem, a po stanie wojennym skorzystano z okazji i całą redakcję rozpędzono. Kiejstut rozumował inaczej. Może uda się ocalić pismo, przenieść je delikatnie jak maskę gipsową przez czarną rzekę? Jeśli jest szansa, trzeba spróbować! Podniósł głos. Dlaczego ma z góry zakładać, że będzie zmuszony iść na kompromisy? Realizować ich polecenia? Skąd my to wiemy, do cholery? Skąd od razu wszystko z góry wiemy? Nie możemy tego wiedzieć!

On nie widzi żadnych realnych powodów, aby niszczyć wszystko wokół siebie, demontować. Trzeba się bronić, walczyć, podjąć grę! Zaczerwienił się gwałtownie, spocił nad górną wargą, jakby go zaczęto wolno zanurzać we wrzółku. Przypuszczam, że wreszcie zrozumiał, co go czeka, jak jego decyzja będzie komentowana.

Nie potrafiliśmy się porozumieć. Nasze kry dryfowały w przeciwnych kierunkach. Czarna przepaść rozszerzała się.

Jego decyzja dotycząca „Pamiętnika Naukowego” i moja, która powoli dojrzewiała, aby odejść ze „Strugi”, choć tak bardzo nieproporcjonalne, cóż bowiem znaczył jeden dział w prowincjonalnym piśmie wobec prowadzenia całego „Pamiętnika” – znalazły się jednak na przeciwstawnych krańcach i były w swej wyrazistości typowe. Oznaczały dwie drogi, dwie możliwości: podjąć współpracę z rządzącymi, lub nie podjąć. Instynktownie, niejako odruchowo (niektórzy twierdzili, że ze względów estetycznych) większość z nas wybierała to drugie rozwiązanie. Nie porozumiewaliśmy się ze sobą. Mieliśmy po prostu dosyć. Ten zbiorowy ruch odwracania się plecami do akcji, która działa się na scenie dalej, dawał nam poczucie siły. Zeszliśmy za kulisy, w mrok. Reflektory punktowe rozświetlały scenę, wydobywając z mroku zakurzone dekoracje, wszystkie dotąd ukrywane wady tej iluzorycznej przestrzeni, jaką była kultura, zostały wydane oczom. Kawały dykty zamiast żywej zieleni, łaty z desek na proscenium i na koniec ta rampa między publicznością a sceną, rampa nie oświetlona z braku żarówek – to wszystko nawet tym, co zostali na scenie, musiało dawać poczucie, że teatr, w którym grają, jest wyjątkowo tandetny, publiczność przypadkowa, a sztuka nie warta gry aktorskiej, ani oglądania.

Kiejstut nie wierzył w trwałość spustoszenia, był przekonany, że to zbiorowe wyjście za kulisy jest tylko krótkotrwałym antraktem. Za moment wszyscy wyłonimy się z mroku i rzecz

potoczy się dalej, tak jakby nie było ani Sierpnia, ani Grudnia. Po co te dziecinne dasy? Nauka, kultura nie mogą istnieć bez mecenasa.

– Gdybyście byli konsekwentni, nie powinniście przyjmować poborów – krzyczał. – Obrażać się na państwo to tak, jakbyście obrażali się na przemianę materii, na to, że jesteście zmuszeni wydzielać ekskrementy, wycierać dupy! Czyścioszki!

Wtedy mieliśmy absolutną pewność – Kiejstut jest w błędzie! My, ci zza kulis, nie wyjdziemy.

Nawet „gołym okiem”, „nieuprzedzonym uchem” było widać i słyszać, że zniknęły nagle wszystkie wielkie nazwiska. Jak wyprodukować nowe nazwiska? Z czego? Jak zmusić odbiorców, by uwierzyli, że miernota to wybitny pisarz, a kompilator Y. naukowiec? To się nie może udać! Zawieszenie związków twórczych i pism było błędem. Zarządzający rozumowali tak jak Kiejstut: wszyscy z wolna zapiszą się do nowych związków, znajdą nowe miejsce dla siebie w nowych układach.

Za oknami była już późna noc, a my stale jeszcze uparcie tłumaczyliśmy Kiejstutowi, że się pomylił. Straci to, co zdobył, autorytet, zaufanie. Poparł rzecz niegodną. Nie powinni znaleźć nikogo, żadnego człowieka spośród liczących się, który zgodziłby się podeprzeć swoim nazwiskiem ich decyzję. – Nie rozumiesz tego? – spytałam. – A jednak znaleźli i to błyskawicznie!

– Nie zrobisz dobrego pisma. Nikt z tych, których cenisz, nie poprze cię. Zrozum to człowieka i wycofaj się – niemal prosił Edward – jeszcze możesz wykonać ten ruch!

Kiejstut wstał gwałtownie od stołu, przewrócił krzesło, potknął się o dywan. Nie odrywaliśmy od niego wzroku, gdy wśród zupełnej ciszy zrywał z wieszaka kurtkę, z trzaskiem pękła pętelka, na której wisiała, rąbnął głośno drzwiami. Słyszeliśmy jeszcze, jak zbiega po schodach w dół. Powinien się przewrócić, nieomal czekaliśmy na rumor, gotowi biec mu na ratunek. Ale nie... Kiedy wszystko ucichło, pomyślałam – dobra pointa, koniec aktu drugiego, kurtyna opadła.

Później, przechyleni przez balustradę balkonu, długo szukaliśmy Kiejstuta wzrokiem między czarnymi cielskami bloków, u wylotu osiedlowych ulic, gdzie latarnie rzucały trochę światła.

– Dokąd chodzicie na spacer? – pytał Edward już po raz któryś z rzędu, a Jana za każdym razem automatycznie odpowiadała:

– Na cmentarz.

– Na cmentarz? – dziwił się, on, który nawet w Dzień Zaduszny niechętnie wchodził między groby. – Na spacer chodzicie na cmentarz?

– Na cmentarz!

– Dlaczego właśnie na cmentarz?

Powtarzali to w kółko co parę minut, jakby uczyli się na pamięć trudnej roli. Nie mogłam tego dłużej słuchać. Wysłałam do kuchni, aby jak zawsze przeżyć wstrząs. Przypuszczam, że Jana potrafiłaby pracować w niej bez żadnych zakłóceń, nawet w zupełnej ciemności. Każda rzecz miała tutaj swoje stałe leże. Wszystko jest pod ręką. Żadne przierzucanie szuflad, zagładania w głębiny półek nie wchodziły w rachubę. Zauważyłam jednak pewne zakłócenia rytmu. Taka rzecz drobna na przykład – łyżeczka do tortu porzucona na taborecie świeciła odbitym światłem świecy, którą Jana wyniosła wprawdzie z pokoju, ale zapomniała zgasić – obnażony goły nerw. Młynek do połowy wypełniony zmieloną kawą był otwarty, aromat unosił się w powietrzu zupełnie bezkarnie i bezużytecznie. W stercie brudnych naczyń, przygotowanych już do włożenia do maszyny, na dwóch talerzach odkryłam metalowe szpilki do zrazów. Odłożyłam je na bok, mogły uszkodzić mechanizm. Jana była jak chmura gradowa, milczała.

Okna kuchni wychodziły na drugą stronę osiedla. Panowała tam absolutna ciemność. Nie miałam żadnej szansy, aby dojrzeć stąd Kiejstuta. Sytuacja robiła się kretyńska, on nie wracał, a my nie mogliśmy wyjść i zostawić Jany samej.

W końcu zeszliśmy w trójkę na dół. Po półgodzinnym bieganiu wzdłuż i wokół bloków, stłumionych nawoływaniach, by nie pobudzić sąsiadów i nie sprowadzić milicji, weszliśmy wprost na Kiejstuta. Kolebał się lekko na podszwach w dół i w górę, stojąc na krawężniku między jezdnią a chodnikiem, naprzeciwko swojego bloku. Widział nas już z daleka, ale się nie ruszył, gdy podeszliśmy, spytał:

– Wy jeszcze tutaj? Postój taksówek jest z drugiej strony.

Jana próbowała go zagadać, zagłuszyć, ale gdy odchodziliśmy, krzyknął jeszcze do naszych pleców:

– A cielecinę wzięliście? – To pytanie zabolalo mnie najbardziej.

Po tych wszystkich latach, które minęły, i które mimo wszystko rzuciły na decyzję Kiejstuta nowe światło, nie potrafię o nim zapomnieć.

Przepowiednie Edwarda spełniły się. Kiejstut został sam. Obrzmiała twarz, zaczerwienione oczy, dużo pił. Gdy zabierał głos na radach wydziału, nie odrywał wzroku od stołu, na nikogo nie patrzył. On, dotąd perorujący, otoczony przyjaciółmi, teraz wyglądał, jakby był ciężko chory. W końcu rzucił „Pamiętnik” i zniknął. Wyjechał na Zachód. Dostał stypendium, lub podpisał kontrakt na kilka semestrów. Nie dowiadywaliśmy się. Straciliśmy go z oczu. Nie było go wtedy także w naszych rozmowach. Mieliśmy swoje kłopoty, swój ciężki czas. Kiejstut należał do innej przestrzeni w sensie dosłownym i metaforycznym. Zachód połknął wtedy wielu naszych bliskich. Znikali po kolei w drugim wymiarze, jak w czarnych dziurach, w kosmicznej zadymce. Nie chcieli już przeżywać krzyków i milczenia naszej umęczonej ziemi, tego wszystkiego, co zadecydowało, że w ciągu paru lat zrozumieliśmy więcej niż przedtem przez dziesięciolecia.

Ale Kiejstut jako jedyny – wrócił. Czy był to akt odwagi, poczucie wspólnoty mimo wszystko? Rachunek czy prosta konieczność?

* * *

Nadal nie było widać ani linii brzegów, ani niczego przede mną, co nie byłoby spienionym nurtem, porohem lub mielizną. Niosło mnie środkiem prądu, rzucało od fali do fali. Karkołomny wysiłek, aby się na niej utrzymać. Konieczność skupienia się na każdym najmniejszym ruchu skutecznie likwidowała jakąkolwiek szansę spojrzenia z góry, uogólnienie. Nie było mnie na nie stać.

Dwa pierwsze lata po trzynastym grudnia tak mi właśnie w szkole minęły. W ciągłym zagrożeniu, w wirze pękającego nad głową czasu, w gonitwie dni i miesięcy. Dopiero teraz z perspektywy lat widzę jasno, jak ich bieg był pieczołowicie kontrolowany, na jakie odcinki podzielony.

Rok pierwszy – usunięcie wybranej po sierpniu dyrektorki Słowackiego.

Rok drugi – nowy dyrektor. Monika i ja tracimy pracę w Gmachu. Parę innych osób zostaje przesuniętych na boczne tory.

Lata następne – normalizacja. Kolejne fale uczniów zdają maturę. Odchodzą ze Słowackiego ci, co pamiętają szkołę z lat 80–83. Zacieranie śladów, leczenie blizn, wycinanie pamięci, tam gdzie trzeba drobne amputacje na żywym ciele, wyrównanie kroku i dalszy marsz Słowackiego w świetlaną przyszłość.

Gdzie mieścił się sztab, któremu te zadania powierzono. Z ilu ludzi się składał? Jak ich instruowano? Według jakich zasad dobierano. Kto wybrał moment generalnego natarcia?

Słowacki się bronił. Zawiązaliśmy koalicję: kamienne cielsko Gmachu, młodzież i część nauczycieli. Wspólnota z biegiem czasu krzepła. Liczyliśmy na mrok korytarzy, usługowość ścian, zakamarków. Uczniowie opracowali cały system ukrytych przejść; miejsca gwałtownych ewakuacji, uchylne kraty w oknach piwnic. Na mapie Gmachu w czerwone kółka ujęto zakątki najmniej zagrożone, gdzie błyskawicznie rozsypywano wąskie pasemka ulotek infor-

macyjnych (musiały zniknąć w ciągu paru minut) dotyczących zachowania się na terenie szkoły w dniach rocznic, na którym piętrze odbędzie się cicha przerwa, które klasy, jaką klatką schodową wchodzi i schodzą, co śpiewać, jak się ubrać, któredy ewakuować w razie inspekcji z zewnątrz. Istniał sprawny system obserwacji Gmachu – od wart przed budynkiem do służb w oknach i przy bramach. Konieczne było objęcie nimi szkoły ze wszystkich trzech stron boiska i czwartej, najbardziej zagrożonej – od ulicy.

Gmach był teraz nasz, ale zaraz za nim rozciągał się teren obcy – chodniki, bramy, jezdnia, dopiero dalej znowu nasza ziemia – dziedziniec kościelny, kościół, sale parafialne, kaplica. Tutaj podglądacze i podsłuchiwalcy musieli się maskować, żegnać, klękać, śpiewać. Młodzież miała własne metody rozpoznawania ich.

Wiosną, któregoś kolejnego trzynastego, przed kościołem ułożono krzyż z kwiatów. Pojawiały się takie krzyże w Polsce. Żyły własnym rytmem, oddychały zapachem roślin, płonęły żywym ogniem świec. Krzyż naprzeciwko szkoły był naszą własnością. Świecił się przez dwa tygodnie. Codziennie rano przed lekcjami młodzież kładła na nim świeże bukiety, a w czasie dużej przerwy gromadziła się wokół niego.

Piggi, patrząc na to z okna pokoju nauczycielskiego, westchnęła:

– Do czego oni się modlą, do świeczek?

– Myślę, że do krzyża – odpowiedziała Chemiczka, zasłaniając gwałtownie rosnącą plamę na szyi. Młodzież poruszała się w tych dniach ruchem wahadłowym: szkoła – kościół. Przyglądała się temu z milczącą aprobatą cała dzielnica, znosząc naręcza kwiatów.

Służby specjalne obu stron wykorzystywały sytuację dla siebie. Trwało wzajemne rozpoznawanie. Panowie w bramach (było ich doskonale widać z okien Gmachu, czego sobie najprawdopodobniej nie uświadamiali) z krótkofalówkami, aparatami fotograficznymi zmieniali się co parę godzin. Ci nowi, jeszcze nie zidentyfikowani, śmiało wchodzili w tłum młodzieży, wystawali na chodnikach, zbliżali się do grup rozmawiających, udawali, że zawiązują sznurówka, lub zbierali z ziemi nagle rozsypane kartki z kołnotatników. Po dwóch, trzech kwadransach przechodzili na tyły, zajmowali stanowiska na obrzeżach terenu, z bram ruszały świeże posiłki. Niekiedy można było uchwycić moment przekazywania sprzętu – widocznie mieli go za mało.

Chłopcy oglądali ich z okien klas, auli, korytarzy przez polowe, wojskowe lornetki, fotografowali z ukrycia. Dysponowali świetnym sprzętem, elektronicznymi aparatami japońskimi, teleobiektywami. Szkoła była elitarna. W Słowackim edukowaliśmy dzieci dyrektorów, sekretarzy partii, komendantów – całej miejskiej nomenklatury. Absolwentom nasze świadectwo dawało świetną pozycję wejściową na wszystkich kierunkach studiów (najwyższy procent przyjęć na studia, około 98%).

Doskonale pamiętam zgodny, rozumiejący rehot w mojej czwartej „a”, gdy w czasie powtórek do matury w 83 roku przypominałam im, na czym polegał podstęp Konarskiego przy założeniu Collegium Nobilium, szkoły tylko dla „szlachetnie urodzonych”, w której wpajano idee walki z elitaryzmem klasowym w myśl zasad demokracji.

Zdjęcia tropicieli, tych co chodzili za nami od miesiący, wywoływano na tyłach Gmachu, w ponownie uruchomionej pracowni fotograficznej.

W trakcie jednej ze swoich wędrówek (lubiłam krążyć po Słowackim podczas wolnych lekcji, tzw. „okienek”), usłyszałam pod drzwiami od dawna nie otwieranymi jakieś podejrzane szelesty. Drzwi pchnęłam gwałtownie, będąc pewna, iż odkryję za nimi jakiegoś kolejnego podglądacza życia szkoły. Usłyszałam krzyk przerażenia, tumult, coś spadło na ziemię w czerwonych ciemnościach, jakaś szmata pacnęła tuż obok mnie, na stół. Okazało się, że wtargnęłam do ciemni w momencie naświetlania zdjęcia. Przy drzwiach leżał otwarty plik papieru fotograficznego. Na sznurkach pod sufitem wisiały twarze w zbliżeniu, sceny sprzed tygodnia, pojedyncze sylwetki na obrzeżach tłumy, dwóch mężczyzn pochylonych nad mikrofalówką, małżeństwo z wózkiem, na pierwszy rzut oka przeciętna rodzina, mężczyzna wcho-

dzący do bramy, zbliżenie numeru z czytelną nazwą ulicy. Zdjęcie z wnętrza klatki schodowej, ten sam mężczyzna naciska dzwonek, metalowa tabliczka z nazwiskiem, kilka aut, powiększone tablice rejestracyjne, numery.

W plastikowych pojemnikach, w utrwalaczu krzepły na wieczną rzeczy pamiątkę oczy, uszy, nazwiska, adresy, znajome skądś sylwetki, a w zlewozmywaku płukała się reszta osób incognito, które oto właśnie identyfikowano.

Usiadłam na stołku i kiedy oczy przyzwyczyły się już do czerwonego światła, zaczęłam oglądać uważnie jedno mokre zdjęcie po drugim. Robiłam to wolno, systematycznie. Za moimi plecami pracowano w zupełnym milczeniu, nikt niczego nie skomentował. Wyjaśnienia były zbędne. Polonez – charakterystyczny numer rejestracyjny, trzy trójki, za kierownicą mężczyzna w baraniej czapie, w okularach.

– Jaki kolor ma ten polonez? – po raz pierwszy przerwałam ciszę.

– Kremowy.

– Jesteście pewni?

– Absolutnie, to pierwsze auto, które ustaliliśmy.

Tak jak przed trzynastym grudnia zlekceważyłam informację Piotra, że Laura notuje dla tych z Jana Czarnolasu to, co mówię na lekcjach, tak samo nie przyjął do wiadomości faktu, iż zimą jeździł za mną stale ten sam polonez. Pamiętam dokładnie, kiedy to po raz pierwszy do mnie dotarło. Kończyła mi się benzyna. Przed stacją była ogromna kolejka, mniej więcej na dwie godziny stania. Wyhamowałam, aby ocenić ilość aut, przejechałam wzdłuż całego rzędu i postanowiłam, że stanę. Ktoś za mną jechał. Było bardzo ślisko, więc uważałam, aby odpowiednio wcześniej zapalić migacze. Objechałam kwadrat ulic i kiedy już dotarłam do końca ogonka, nagle zmieniłam zdanie, był duży mróz, pomyślałam, że zmarznę. Wycofałam się, zawróciłam, skręciłam w lewo, potem w prawo. Kątem oka rejestrowałam nieprzerwanie tuż za sobą obecność tego samego wozu, dojrzałam trzy trójki na tablicy rejestracyjnej. Kiedy stanęłam pod domem, przypomniałam sobie nagle, że jutro muszę odebrać bieliznę z pralni i znowu zmieniłam decyzję. Dopiero kiedy na światłach, naprzeciwko siebie, zobaczyłam ponownie poloneza, który przed chwilą jechał za mną, a potem, kiedy on jeszcze skręcił w lewo tak jak ja, że coś tu jest nie w porządku, dodałam gazu i wróciłam pod dom. Zatrzymał się o dwa bloki dalej.

Przy obiedzie opowiadałam to wszystko Edwardowi, jako dowód, że pracując w Gmachu można dorobić się manii prześladowczej. Śmiałyśmy się z moich przywidzeń do łez.

Śledzący mnie myślał na pewno, że mam do załatwienia coś szalenie konspiracyjnego i dlatego usiłuję go za wszelką cenę zgubić. Jak inaczej mógł sobie tłumaczyć przy permanentnym głodzie benzyny te moje kwadraty ulic, kółka?

Potem widywałam go często: przed sklepami, w których usiłowałam coś kupić, przed domem Moniki i przed paroma innymi, nawet przed bramą zoologu (poszłam tam ze swoją kuzynką z prowincji), a pod Słowackim tak często, iż w końcu doszłam do wniosku, że on tam po prostu parkuje.

Programowo nie przyjmowałam do wiadomości faktu, że mnie śledzi. Ilekroć już byłam gotowa przyznać, że to kremowe auto ma dziwny obyczaj jeżdżenia za mną, przypominała mi się Chemiczka, która ułożyła sobie tandetny scenariusz filmu kryminalnego z sobą w roli śledzonej przez własnych kolegów. Jej też zgadzały się wszystkie fakty.

Zdjęcie śmierdziało kwasem, krople wody ślizgały się po głowie kierowcy, po karoserii, kapąły na podłogę.

Nie ulegało wątpliwości, moi uczniowie byli lepiej przystosowani do czasów, w których przyszło im żyć, niż ja.

– Chce pani profesor lupe? – spytał Stefan. Twarz młodego człowieka za kierownicą mogła być twarzą mężczyzny, który dotrzymał mi towarzystwa przed przesłuchaniem, ale nie musiała. Wpatrywałam się uważnie w jego rysy złożone teraz z rozlewających się czarno-

białych ziaren.

– Gdzieś tu mamy go oddzielnie, powiększonego. Zaraz znajdę.

Stefan wyciągnął ze stosu suchych już zdjęć dużą twarz, twarz zmęczonego, obcego człowieka o ironicznie zmrużonych oczach.

Rozboliła mnie głowa i serce. Następną lekcja mi się nie udała. Nie potrafiłam się skupić na omawianym utworze. Ustawicznie łapałam się na tym, że myślę o ciemni. Do tego jeszcze nie zdążyłam umyć rąk. Prześladował mnie zapach utrwalacza. Wydawało mi się, że uczniowie go czują. Martwiło mnie to wszystko bardziej, niż się sama przed sobą przyznawałam. Rozmiar tej dziecinnej konspiracji, jej ciągła eskalacja, metody żywcem przejęte z doświadczeń drugiej wojny światowej, to się musiało źle skończyć! Mają nazwiska, adresy, numery aut! Jeśli któremuś z uczniów wpadnie do głowy, aby zacząć tropić tropiących, podrzucać im na przykład jakieś obraźliwe anonimy, chodzić za nimi, za członkami ich rodzin, dziećmi... Możliwości było dużo. Wyobraźnia młodzieży jest bez granic. Niebezpieczeństwo tej gry przejęło mnie grozą.

Kto wie o tej ciemni poza mną? Powiedzieć Monice? Raczej nie. Nie miałaby takich oporów jak ja. Pomyślałam o pracowni fotograficznej jak o bombie zegarowej ukrytej pod schodami. Prędzej czy później musi wybuchnąć. Spróbować rozmów z rodzicami? Spotkać się na przykład z ojcem Stefana na neutralnym terenie i powiedzieć mu: – Pański syn wywołuje i powiększa zdjęcia pracowników służb specjalnych.

– A kto z nim to robi? – spyta pan sekretarz dzielnicowy. – Zna pani nazwiska?

Chciało mi się płakać z bezradności. Zupełnie jakbym miała związane ręce, nogi, zakneblowane usta. Co począć z tą niechcianą wiedzą, z poczuciem odpowiedzialności za biografie dzieci, które czy rzeczywiście są jeszcze dziećmi (siedemnaście lat)? Gdzie znajduje się próg dorosłości? Jak go wyznaczyć? Czy oni bawią się w konspirację, czy już konspirują?

Dwa następne zdarzenia odwróciły sytuację. Gmach przestał być miejscem bezpiecznym. Ciemnię zlikwidowano. Ślady zatarto. Zdoebrałam klucz. Sprawdziłam to osobiście. Nawet pojemniki do płynów wymieniono, te które stały na stołach były zakurzone, od dawna nie używane. Na sznurku wisiały dwa poźółkłe zdjęcia ze zjazdu harcerskiego sprzed lat i fotografia Konia, przemawiającego na jakiejś akademii „ku czci”.

Dbalność o szczegóły mogła imponować. Trochę mnie to podniosło na duchu. Pracowali sprawniej niż pokolenie ich rodziców. Pytanie – gdzie teraz jest ciemnia, bo nie ulegało wątpliwości, że gdzieś jest, usiłowałam za wszelką cenę zagłuszyć, nie ulec jego presji, zlekceważyć. Nie dowiadywać się! Tchórzostwo? Zabranianie, straszenie nie miało żadnego sensu. I tak nie posłuchają. Tego jednego byłam pewna.

Trzynastego maja zachodnie stacje nadały komunikat: „W Poznaniu, w Liceum im. J. Słowackiego o godzinie dziewiętnastej eksplodował ładunek wybuchowy. Tego dnia w szkole odbywały się demonstracje przeciwko stanowi wojennemu, cicha przerwa, ulotki. Wiadomość nie została dotąd potwierdzona.”

Następnego dnia rano podjeżdżałam pod Gmach ze ściśniętym sercem. Wyobrażałam sobie zdemolowane wnętrza, młodzież na boisku, Dyrektorkę w asyście milicjantów, tresowane psy... A tu rude cielsko Gmachu szeroko otwarte, na kamiennych schodach śmigające łydki dziewcząt w modnych podkolanówkach, zwykły ruch, objijające się o siebie plecaki, worki turystyczne, a w wejściu ten sam co zawsze, niezmiennie zachwycający mnie efekt akustyczny, prawie fraza muzyczna. Gdy śmiech, rozmowy, gwar z otwartej przestrzeni placu zostają połknięte przez nisko sklepioną bramę, wyciszenie jest tak duże jak przy nurkowaniu i dopiero po kilkunastu krokach, kiedy fala młodzieży dociera do szerokiego korytarza, głosy unosząc się ku sufitowi i ścianom znowu brzmią donośnie, ale jednak o ton niżej niż na zewnątrz. Teraz już wiedziałam, że ten kontrast, to spotęgowanie dźwięków jest jeszcze dodatkowo wzmocnione przez żyjące w holu echo. Dyrektorka była podniecona, powieki spuchnięte. Słyszała nocny komunikat i przyjechała z mężem do Gmachu o pierwszej po północy. Obeszli

całą szkołę dwa razy, od piwnic po strychy. Dzisiaj od samego rana z kolei dzwonią do niej bez przerwy z Kuratorium, z Komitetu Wojewódzkiego, z dzielnicy, z Warszawy... Wszystkim wyjaśnia, że żadnego wybuchu nie było, ale to i tak nie ma żadnego znaczenia. Dla tych ludzi jest tak, jakby wybuch był. Żarnoskoński wręcz oświadczył jej przed chwilą: „Nie ma dymu bez ognia”.

Poinformowała nas, że nie przedłużyli jej umowy na następny rok szkolny. W zeszłym przewidująco podpisali tylko na jeden rok. Twierdzili, że to nic nie znacząca formalność. Nie sprawdziła. Teraz domagają się, aby od września zmieniła szkołę. Nie ma podobno zwyczaju, żeby dawny dyrektor pracował w tym samym zakładzie jako zwykły nauczyciel. Uparła się jednak: – Mnie tu dobrze! – No i ma teraz efekt. Dzieło swojego uporu. Ale i tak nie odejdzie! Niedoczekanie ich, nie będą kręcili nią jak kukłą! Ma tu swoją młodzież, swoich olimpijczyków. Nie wiadomo, co jeszcze może się stać. Prosi, abyśmy mieli oczy otwarte. O wszystkim należy natychmiast meldować.

Gmach jako dzika preria, Teksas z galopadą Indian, skaczącymi skałami, zasadzkami. Kowbojowisko zamiast szkoły.

– Prawda jest taka – i tu Dyrektorce nagle zadrżał głos, wszyscy jednocześnie spuściliśmy oczy w obawie, że sytuacja może ją przerosnąć: moment, a rozplącze się. Ale nie, opanowała się natychmiast. Zwinęła dłoń w pięść. I ta drobna, biała pięść, leżąca na biurku jak przedmiot z kamienia obok popiersia Słowackiego, przypomniała mi miękką, otwartą dłoń Konia, którą miał zwyczaj kłaść na głowie poety.

W tym momencie po raz pierwszy pomyślałam: Koń tu wróci! – Odrzuciłam tę myśl daleko, jak piłeczkę pingpongową po to tylko, aby za sekundę znowu była przy mnie. – Prawda jest taka – mówiła dalej Dyrektorka, a głos jej dochodził do mnie jak zza szklanej tafli (Koń tu wróci) – że niewiele brakowało, a wybuch zdarzyłby się rzeczywiście.

Ustna matura z polskiego trwała na drugim, na parterze leciała biologia, więc sprzątaczkę zaczęły zamiatać – wyjątkowo – od pierwszego. I wtedy właśnie jedna z nich poczuła gaz. Główny zawór w pracowni chemicznej był nie domknięty i dwa palniki na sali. Taka jest prawda! (Koń wróci!) Zawołały woźnego. Zamknął krany i poszedł do domu. Nie powiedział Dyrektorce. Nie chciał donosić na Chemiczkę. Dopiero dzisiaj, po tym komunikacie... przyszła do niej sama. Jest absolutnie pewna, że zawór zamknęła. Sprawdzała dwukrotnie.

– To by było wszystko – skończyła Dyrektorka; od paru sekund telefon znowu dzwonił. Wychodziliśmy gęsiego.

– Zawsze istnieje możliwość, że nie zamknęła – powiedziała psycholog Zyta. Coś tam rzeczywiście musiało być nie w porządku między nią a Chemiczką. Każdy bowiem, kto choć trochę znał Chemiczkę, wiedział na pewno, że zawór sprawdziła. Jej dokładność stanowiła temat anegdot. W gabinecie chemicznym obowiązywał odrębny regulamin, dodatkowe środki ostrożności. Ich przekroczenie było niewyobrażalne. Nikt nie wiedział wprowadzić, co by się wtedy stało, ale też nikt nigdy nie próbował tego sprawdzić. Chemiczka potrafiła narzucić wszystkim swoją wolę. W gabinecie pracowano jak na bloku operacyjnym.

Zastanawiałam się kiedyś, w jaki sposób tak daleko posunięta samokontrola może się łączyć u człowieka ze skłonnością do budowania struktur fikcyjnych. Chemiczka wielokrotnie powracała do swojej opowieści o tym, jak to śledził ją wysłannik grona. Dotąd nie zaakceptowała naszej wersji. Każdy szczegół był dla niej sygnałem, częścią całości.

Każdy nie kontrolowany żywioł można tak opisać, aby zobaczyć porządek tam, gdzie go nie ma. Nie istnieją prawdy obiektywne? Fakty tracą wagę faktów, a zbieg okoliczności staje się logicznym dowodem na potwierdzenie tez iluzorycznych. Ilu ludzi żyje w takim wyimaginowanym świecie? Czy ja także? Jest przecież we mnie, wiem o tym doskonale, niebezpieczna tendencja do wyolbrzymiania drobiazgów, nadawania im znaczeń symbolicznych – jak na zbliżeniach filmowych. Czy włamanie do prawdy o Gmachu jest możliwe? Czy uda mi się choćby zbliżyć do niej?

Następne, tajemnicze wydarzenie rozegrało się w Słowackim w jakieś dwa tygodnie po historii z gazem. Reżyser przyspieszył tempo akcji. Zbliżał się koniec roku szkolnego, a sprawa nowego dyrektora nie została sfinalizowana.

W nocy, w trakcie obchodu, dzielnicowi przyłapali dwóch naszych uczniów wchodzących do szkoły przez okno w piwnicy. Mieli przy sobie kubek białej farby, pędzle, a w kieszeni u jednego z nich znaleziono kartkę z hasłami, które zamierzali wymalować w Gmachu. Ich wersja: pewien student, podobno z anglistyki, namówił ich, aby podjęli się tej akcji. Każdy miał dostać po wykonaniu zadania dwa tysiące złotych. Na razie otrzymali po tysiącu, mieli banknoty przy sobie. Pokazywali. Następnego dnia przyszli normalnie do szkoły, jakby w nocy nic się nie stało. Dyrektorka otrzymała polecenie, aby potępić uczniów specjalną uchwałą, którą należało odczytać przez radiowęzeł. Władze porządkowe nie przedstawiły dyrekcji żadnego formalnego dokumentu. Nie było nawet wiadomo, czy wszczęto wobec chłopców jakieś postępowanie. Przegłosowaliśmy wniosek, że póki do szkoły nie przyjdzie oficjalne pismo, nie podejmujemy działań. Rzecz nigdy nie doczekała się finału. Trwała w zawieszeniu, w stanie nieważkości. Sprawcy chodzili do pierwszej klasy, nikt ich porządnie nie znał, nie próbowano z nimi rozmawiać. Należało brać pod rozwagę dwie wersje, każda była równie prawdopodobna. Rzecz całą robili na własną rękę, wymyślili studenta, pieniądze, jeszcze przed akcją, w razie wpadki. Fakt wzięcia pieniędzy miał ich oczyścić z ewentualnych oskarżeń politycznych. Druga wersja: rzeczywiście był jakiś prowokator, miał pieniądze, a chłopcy dali się na nie złapać. Bawili się w konspiratorów, lub zarabiali na sprzęt elektroniczny. Obaj byli hobbyistami.

Opinia o zbuntowanej szkole zataczała coraz szersze kręgi. Szły słuchy. Krążyły nad miastem coraz mniej prawdopodobne. U fryzjera dowiedziałam się, że w więzieniu siedzi trójka nauczycieli ze Słowackiego, a młodzież w imię odwetu zawiązała organizację terrorystyczną. Przyjaciółka mojej mamy z „wiarygodnego źródła” przyniosła wiadomość, że szkoła zostanie rozwiązana i najwyższy czas rozejrzeć się za nową pracą. Słowacki umrze śmiercią niechybną. Po prostu nie będzie naboru do klas pierwszych. Po trzech latach szkoła przestanie istnieć. I wielka cisza zostanie po niej. Do Gmachu wprowadzi się zespół szkoły zawodowej. Zasiedlą go chłopcy od maszyn zniwnych, dojeżdżający ze wsi, stale niedospani, o zaczerwienionych spojówkach i stwardniałych od pracy dłoniach. A wszystko po to, aby Duch Gmachu nie powstał z martwych.

W trakcie matur gruchnęła wiadomość, że absolwentów Słowackiego nie będą przyjmować na studia. Byli tacy, co na własne oczy widzieli odpowiednie instrukcje. Mówiono o zawieszeniu szkoły, o ponownych przyjęciach.

Ktoś te plotki pasł, dokarmił i puszczał w miasto.

A w środku tego wszystkiego nasza młodzież spokojnie, jakby się nic nie działo – zakuwała.

Boisko rytmicznie oddychało zapachem kwitnących kasztanów, świeciło niepokalanie białą kotwicą. Starannie obchodzono ją wokół, aby się nie wytarła. Cytrynowa farba, którą próbowano ją zamalować, nagle gdzieś zniknęła; nie było po niej śladu. Gmach brzmiał teraz o ton niżej, bardziej refleksyjnie. Trwała batalia o stopnie. Była intensywniejsza niż zazwyczaj, bardziej dorosła. Czuło się, iż gra toczy się nie tylko o oceny. Tacy jesteśmy, mówiły mi harde oczy moich uczniów z klas trzecich, tyle umiemy, tyle więcej od tych z innych szkół. I co nam teraz zrobią? Nic nam nie zrobią! Zagrożenie mobilizowało. Trójkowicze walczyli o oceny dobre. Odpytywanie zmieniło się w fascynujący pojedynek. Z rutyny, z trzyletniego przyzwyczajenia (trójka to tylko trójka) zaczynałam od spraw prostych, aby z coraz większym zdziwieniem przechodzić do zagadnień skomplikowanych. Towarzyszył mi skupiony doping całej klasy. Cisza była tak wielka, że słyszeliśmy tu, na drugim piętrze, kroki maturzystów chodzących po boisku, czekających na swoją kolejkę, skrzypienie żwiru pod podszewkami, lub suche kłaskania asfaltu. Przy tym nic z łatwizny, poprzeczkę ustawiono wysoko. Stopień do-

bry to miał być naprawdę dobry. Po raz pierwszy czułam, że moja ocena jest identyczna z oceną uczniów. Czasem tylko westchnienie zawodu, gdy pod koniec odkrywałam w mózgu delikwenta jakąś pokaźnych rozmiarów czarną dziurę niewiedzy. To miało posmak sensacji. Patrzyliśmy na siebie: ja zza katedry, oni zza swoich stołów, jakbyśmy dopiero teraz, po wspólnie przeżytych latach, po tylu awanturach, załamaniach, bojach, poznali wreszcie prawdę o sobie. Pojęcia nie miałam, że stać ich aż na taki wysiłek.

Nie stanowiłam wyjątku. W Słowackim większość nauczycieli tak właśnie pracowała. Rozpierała nas duma. Stworzyliśmy wreszcie organizm, rozumiejącą się wzajem wspólnotę. Właśnie zaczynaliśmy pojmować, według jakich reguł działa, jakbyśmy z części samodzielnie złożyli dobrze chodzący zegarek, gdy w Gmachu, na radzie pedagogicznej, pojawił się wizytator Żarnoskroński.

Nigdy nie zapomnę tego zdania, które, przypuszczam, długo sobie układał, może nawet w domu ćwiczył na głos, starannie dobierając słowa – był w końcu polonistą. Brzmiało to mniej więcej tak:

„W ubiegłym roku miałem wątpliwą przyjemność ogłosić państwu, iż na wyraźne żądanie rady pedagogicznej opuścił zakład jego wieloletni, zasłużony dyrektor. Wszelako teraz z prawdziwie wielką, osobistą satysfakcją mogę Państwa poinformować, że wraca do was po rocznym urlopie zdrowotnym, odznaczony medalem Komisji Edukacji Narodowej, wasz dyrektor...”

Nie skończył, nie mógł. Zagłuszył go nasz śmiech gwałtowny; wielki czterdziestosześcioletni śmiech. Wybuchł w Gmachu, jak kilka prawdziwych bomb. Drzwi były otwarte (upał), więc wypadł na korytarz, odbił się o sufit i ściany, stoczył się po schodach na parter, gdzie zogromniał, powtórzony przez echo, wciąż zasilany z góry nowymi wybuchami. Trwał długo. Myślę, że było go słychać aż na ulicy (okna otwarte) i na podwórzu. Ludzie śmiali się odchyleni do tyłu, z głowami zadartymi do góry, wszyscy bez wyjątku (nawet Pigg). Pierwszy ocierał łzy rękawem.

Otośmy dobrnęli do swego! Pół roku uparcie wyrzucaliśmy Konia, rok budowaliśmy nową szkołę i w momencie, gdy złapaliśmy pierwszy oddech – trach! Zatoczyliśmy koło przez kilka pór roku, kilka klimatów i znów jesteśmy w punkcie wyjścia!

Żarnoskroński znieruchomiał. Patrzył na nas, rytmicznie mrugając oczami (jak Kiejstut), jakby poraziło go zbyt ostre światło, jakby stanął nagle twarzą w twarz z dziesiątkami jupiterów. Więc jesteśmy aż tak krnąbrni? Tego nie przewidział.

W drzwiach nieomal jednocześnie pojawili się sprzątaczką i woźny. Ona zbiegła z auli, on wypadł z portierni. Nic nie rozumiejąc, przyglądali się to jednej śmiejącej się twarzy, to drugiej, jakby wertowali karty książki w nieznanym języku.

Kiedy śmiech na tyle przycichł (jeszcze tylko gdzieś po bokach wybuchały cienkie chichoty), że głos Żarnoskrońskiego mógł być słyszalny, wizytator wrzasnął. To był rzeczywiście wrzask, wrzask człowieka ogarniętego furją:

– I żadnego głosowania! Koniec! Te czasy się skończyły! – Rąbnął pięścią w stół. Nie spuszczałam z niego wzroku. Po raz pierwszy widziałam u kogoś w kącikach ust prawdziwą ślinę wściekłości. Naprawdę pieniła się. Zobaczył, że mu się przyglądam. Poczułam na twarzy jego rozbiegane oczy, jak uderzenie. To była zimna nienawiść. Od tego momentu wiedziałam – mój czas w Słowackim dobiega końca. A ja po prostu, jak zawsze, gdy Żarnoskroński tak bez reszty identyfikował się z poleceniami, które otrzymywał, zastanawiałam się, jaka jest prawdziwa przyczyna jego żarliwości? Przecież on doskonale wiedział, że Słowacki to wyjątkowo sprawnie działające liceum, wiedział, że panujemy nad sytuacją bardziej niż grona w innych szkołach. Żarnoskroński był o s o b i ś c i e odpowiedzialny za demontaż Gmachu.

Po paru sekundach milczenia powiedział jeszcze jedno dziwne zdanie, tym razem prawie szeptem, zdanie zupełnie nie przemyślane, chyba z przerażenia, z rozpacz, która go ogarnęła, gdy uświadomił sobie, po jakie metody będzie musiał sięgnąć, aby okiełzać wreszcie to

wściekle grono:

– Proszę tylko nie myśleć, że kiedy jesteście w klasie z młodzieżą, to jesteście z nią sami!

Przez moment nikt z nas nie rozumiał, o co mu chodzi. Żarnoskroński w wypiekach, suchy, nagle jakiś postarzały zaczął już zbierać papiery do aktówki, gdy Monika spytała go wprost:

– Czy to znaczy, że zamontowano nam w klasach podsłuch?

Nie odpowiedział, tylko wychodząc, trochę za głośno zamknął za sobą drzwi.

Nie rozjechaliśmy się na wakacje. Walka trwała. Słaliśmy delegację za delegacją do Komitetu Wojewódzkiego, Kuratorium, Ministerstwa...

Koń spotkał na ulicy Chemiczkę. – Powiedz Monice i Boguśce, że włos im z głowy nie spadnie w mojej szkole. Niech się niczego nie boją. Ja wszystko rozumiem, wtedy były inne czasy, teraz są inne. Co było, minęło. Przecież ja je do pracy przyjmowałem – rozrzewnił się nagle – ja tę szkołę stworzyłem. Z niczego!

Koń jednak do Słowackiego nie wrócił. Wyglądało, że znów wygraliśmy. Dyrektorem został nauczyciel ze szkoły zawodowej. Po paru miesiącach zyskał w Słowackim przezwisko: „Podkoń”. To była trafna przeczka. Już po miesiącu jego dyrektorowania pozostawało nam jedynie tęsknić – za Koniem.

* * *

– Na pytanie: „ile pani ma lat”, chora od tygodnia odpowiada „dwadzieścia cztery”.

To właśnie zdanie lekarza zadecydowało o moim natychmiastowym wyjeździe do Gdańska! Zaklinowane złamanie w biodrze, konieczność wielotygodniowego unieruchomienia, odleżyny, cały ten szpitalno-starczy syndrom przyjąłem stosunkowo spokojnie, był mi doskonale znany z licznych chorób matki. Nie musiałam natężyć wyobraźni, aby zobaczyć Bachę w szpitalnym łóżku, między sinymi prześcieradłami. Rude, wypalone chlorkiem dziury w powłoczce, bluzka pidżamowa z za krótkimi rękawami, spodni na pewno jej nie włożyli, ze ściąganiem ich jest dodatkowy kłopot. Najprawdopodobniej zresztą od razu podłączyli cewnik.

Znam na pamięć tę gorzką wiedzę o naszych szpitalach, w praktyce przerabiam ją średnio dwa razy do roku. Wystarczy tylko wiecznie skrzywioną twarz matki wymienić na spokojną twarz Bachy, krzyk, płacz i bunt – na cierpliwe przyzwolenie. W przeciwieństwie do dramatycznej starości matki – starość Bachy przypominała mi dotąd powolne spadanie rzeczy świetlistej z powietrza ku ziemi. Myśląc o niej, widziałam nasienie dmuchawca z białym, pulsującym spadochronem, jak spływa z wiatrem, lub nagle nieruchomieje nad łąką, jakby czas przestał istnieć, a tej maleńkiej kropli życia Bóg ofiarował wieczne trwanie. Długo nic się w ciotce nie zmieniało. Jej skóra przez wiele lat była skórą trzydziestoletniej kobiety; jej palce wciąż po mistrzowsku, nie zwalniając rytmu przebiegały po pieniądzach, blankietach, pieczętkach jak po klawiaturze fortepianu. Ceniła ich sprawność. Masowała je co wieczór. Lubiała patrzeć, jak kończąc masaż zataczała dłońmi wokoło przegubów prędkie, coraz prędsze okręgi. Ręce wyglądały wtedy jak łodygi kwiatów. Malowała paznokcie i światło lampy paliło się w nich czerwone i ciężkie. Przypuszczam, że smak i zapach, kolor, dźwięk, dotyk, śmiech – cała ta soczysta fizyczność doznawana wielorako i szczerze decydowały o jej długiej młodości.

Co takiego wydarzyło się w życiu Bachy, gdy miała dwadzieścia cztery lata, że tak uparcie ucieka do tamtego czasu, wrywa się mozolnie z ostrej woni moczu zmieszanego z lizolem, z własnej choroby, z kroplówki, jęków? Podobno bezustannie usiłuje wstać z łóżka (musieli ją przywiązać) i wyjść z sali.

Przenikanie. Rozróżnianie dwóch czasów: młodości i starości, porządkowanie wspomnień, jak zdjęć z różnych okresów życia – to wymaga dużo wysiłku.

Tupot, łopot, furkot, trzaskające drzwi, trzaskające na wózkach talerze z kolacją i nagle całkowita cisza. Słychać w niej tylko szelest nakrochmalonych fartuchów lekarzy (czas obchodu) i pytanie skierowane wprost do Bachy przez obcego, nisko nad nią pochylonego mężczyznę (białka nabiegłe krwią): – Ile pani ma lat?

– Dwadzieścia cztery – odpowiada natychmiast, a potem dla pewności oblicza jeszcze moloznie (według jakich faktów?) patrząc z napięciem w siwe oczy lekarza, aby ponownie potwierdzić z absolutną już pewnością: – Tak, dwadzieścia cztery! – Czemu jest niezadowolony? Płochliwe, na boki uciekające spojrzenia kobiet z sąsiednich łóżek i zimny wzrok pielęgniarki, która podciąga ją teraz na poduszce, jakby była tylko ciężkim, zawadzającym przedmiotem. Czy powiedziała coś niestosownego? Z ulgą zamyka powieki, jakby zamykała drzwi zbyt hałaśliwej klatki schodowej. Widzi już tylko spod rżęs prędkie, przesuwające się dołem ku następnym łóżkom sztywne obręby białych fartuchów, szpitalne drewniaki lekarzy – znowu jest u siebie! Teraz jest dobrze. Można spokojnie czekać na powrót ludzi, obrazów. Napływają niczym fale migotliwej wody. Ulga. Zanurza spalone słońcem (gorączką?) ciało w zimnym morzu. Uśmiecha się. Z kim ona jest teraz, dwudziestoczworoletnia, wolna i pełna światła, jak kryształ soli schnący na kamieniu?

Myślę o tym wszystkim już w pociągu, w zakurzonym przedziale, walcząc z alergią (kurz). Połknęłam tavegil, zaczynałam się już dusić.

Przed wyjazdem prosiłam matkę, aby przypomniała sobie, co takiego przydarzyło się ciotce, gdy miała dwadzieścia cztery lata. To ważne, tłumaczyłam, trzeba ją wytrącić z tego stanu, zmusić do powrotu. Nie wbija się endoprotezy za ciężkie dewizy komuś z rozmiękczeniem mózgu!

Matka miała wtedy piętnaście lat. Spały we wspólnym pokoju. Bacha do późnych godzin nocnych czytała, a potem szeleszcząc długo oglądała albumy ze zdjęciami aktorów. Budziła matkę. Z „nocki” wracała o szóstej, na ranną zmianę wychodziła o piątej, a po balach pojawiała się, podśpiewując o świcie. To wszystko co matka pamięta. Czy był jakiś mężczyzna? Koło Bachy zawsze kręciło się mnóstwo znajomych, przyjaciół, kolegów. W domu nikt się w tym dobrze nie orientował. Popołudniami stale ktoś do niej przychodził, dla jednych robiła bezy, innym była śmietaną z rodzynkami, smażyła chruściki (świetnie piekła). Całe tabuny obcych ludzi przewalały się przez mieszkanie. I jak teraz po sześćdziesięciu latach można żądać od matki, aby pamiętała, czy któryś z tych mężczyzn pojawiał się częściej od innych? Jedno jest pewne, Bacha nie chciała wyjść za męża. – Po co? Żeby prać brudne skarpety i gotować obiady? Nie jest mi to potrzebne do szczęścia! – powtarzała. Pamiętam ten jej argument. Matka zawsze wtedy dodawała: – Jesteś za wygodna na małżeństwo.

– Zgadza się – kwitowała krótko, może trochę za prędko. Kochała kogoś?

Między zdjęciami ciotki (lubiłam je oglądać, były wesołe) znajdowało się kilka portretów tego samego mężczyzny z różnych okresów jego życia. Odnajdywałam go także w dużych grupach, za suto zastawionymi stołami, w koszu na plaży, na majówce, zawsze blisko ciotki. Był trochę niższy od niej. Rzucalo się to w oczy zwłaszcza, gdy tańczyli ze sobą. Przypominam sobie takie zdjęcie z balu: mocno przytuleni, ramiona i dłonie owinięte serpentynami, on w smokingu, Bacha w długiej sukni z gołymi plecami.

– Kto to jest? – pytałam niezmiennie, pukając palcem w ciemną twarz mężczyzny, niewątpliwie bruneta o czarnych, głęboko osadzonych oczach. Podobał mi się. Może właśnie dlatego zwróciłam na niego uwagę. Niewykluczone, że w tym albumie było jeszcze kilku innych mężczyzn, także fotografowanych w różnych okresach ich biografii. Nie wiem. Ciotka nigdy nie wymieniła jego imienia. Zawsze to było tylko nazwisko. Brzmiało jakoś tak: Potrawiak? Piotrowicz? A może po prostu Piotrowski?

Zdarzyła mi się w związku z tym zdjęciem dziwna historia. Na studenckiej zabawie mignęła mi nagle znajoma twarz. Tańczyliśmy właśnie rock and rolla, tempo było duże i ta twarz wyłaniała się zza innych twarzy raz po prawej, raz po lewej stronie jak błysk światła.

Uśmiechnęłam się do niej. Chłopak uklonił się. Dopiero jednak nad ranem, gdy odprowadzał mnie do domu przez niespodziewanie białe miasto, gdy w przejmującej ciszy po wielogodzinym huku orkiestry, w chrzęszczącym pod butami śniegu, zaczęliśmy rozmawiać, okazało się, że absolutnie nie było żadnej szansy, abyśmy kiedykolwiek wcześniej zdołali się poznać. Uczucie zażyłości, jakby cień dawnej przyjaźni towarzyszył naszej ciemnej miłości aż do końca. Umarła równie gwałtownie, jak się narodziła. („Wychodząc z założenia, że to co między nami było, skończyło się, uważam, że odpowiedź na pytanie zawarte w Pani liście jest co najmniej zbyteczna...”)

Stosunkowo późno, dopiero po paru miesiącach, na wakacjach u ciotki, w Oliwie, uświadomiłam sobie nagle, że ta twarz przywędrowała do mnie z albumu Bachy. Położyłam jego fotografię obok tamtej, lekko już przydymionej, brązowej: czoło, rysunek warg, wyraz oczu... Ciotka z niedowierzaniem przyglądała się obu zdjęciom, dotykała je lekko koniuszkami palców.

– Skąd on pochodzi? – spytała wreszcie. – Z Przybysławia – powiedziałam.

– Gdzie to leży? – dodała po chwili z fachowym zainteresowaniem pracownika poczty. – Gdzieś między Jarocinem a Śremem.

Nigdy nie poznała go osobiście. Kiedyś jednak zauważyłam, że długo obracała w dłoniach kopertę od niego. Przyglądała się pismu? Szukała następnego podobieństwa?

Tavegyl zaczął już działać i jak zawsze po nim zapadałam w płytkie, trwające po kilka minut sny. Pociąg kołysał się rytmicznie, za oknami, ilekroć otwierałam oczy, przesuwały się strzępy dobrze znanych widoków (przed laty często tędy jeździłam), wieże, ułamki wzgórz, krzywizny jezior – było trochę tak, jakbym oglądała film z podartą lub miejscami zaświeconą taśmą. Można by, myślałam leniwie, wykorzystać w opowiadaniu motyw tych dwóch zdjęć wyjętych z dwóch czasów, z młodości dwóch różnych kobiet, spleść je ze sobą i stworzyć nową, trzecią rzeczywistość. Działyby się w nierealnym, wspólnym czasie – już nie do rozbicia, nieubłaganym jak tykanie zegara. Cały problem polegałby na odnalezieniu dostatecznie wyrazistych detali, odsyłających czytelnika zdecydowanie do jednego z tych dwóch odległych o dziesięciolecia okresów, które teraz toczyłyby się jednocześnie. Należałoby tak zbudować świat przedstawiony, aby jego imaginacyjność bez przerwy wyczuwalna, była równoważona siłą faktów. Powstałaby wtedy struktura spleciona z dwóch nie do splecenia żywiołów.

Zaczęło mnie to wciągać. Już szukałam leniwie, na granicy snu, charakterystycznych dla obu epok przedmiotów, wiedząc jednocześnie, że nigdy nie zdobędę się na odwagę, aby takie opowiadanie napisać. Początek lat dwudziestych: gramofon, długi sznur koralu, jojo. Koniec lat pięćdziesiątych: nakrochmalona halka, koński ogon (fryzura), koło do hula-hoopu. Nie potrafiłam wymyślić niczego oryginalniejszego. Jakie przedmioty leżały w tamtych latach na moim stole? Czego dotykałam w pośpiechu, nieuważnie? Jakie książki czytałam? *Obroty rzeczy* Białoszewskiego, tomik tygodniami oswajany. Po wierszach socrealistycznych było to prawdziwe trzęsienie wyobraźni. Ostry bunt. Po co pisać o podłogach, łyżkach durszlakowych, piecach? Kogo to interesuje? A jednocześnie podniecające odkrycie mikrokosmosu codzienności, owych „gwiazd głębszych”. Tych pod ręką. Fascynacja. Co czytała Bacha? Jakie to mogły być powieści? Trzeba by ją spytać. A co grywała na fortepianie? Już go miała od paru lat. Prezent od ojca na osiemnaste urodziny.

I dopiero gdzieś po dobrej godzinie uświadomiłam sobie nagle, że zamiast myśleć o chorobie ciotki, szukać dla niej ratunku, zastanawiać się nad tym, kto się nią teraz zaopiekuje, buduję akcję opowiadania, po prostu gromadzę do niego materiał. Cierpienie Bachy pobudzało moją ospałą imaginację. Nic nowego. To wszystko już wielokrotnie opisano, pisarz jako osobnik okradający własną biografie, biografie bliskich. „Wszystko na sprzedaż”... Raz już sprzedałam moim wierszom człowieka, wymieniłam Filipa na nic nie warte teksty. Stał się tworzywem ćwiczeń poetyckich. Czyżby ciotka miała być następną ofiarą? Może przynajmniej tym razem nie zmarnuję faktów, potrafię je literacko wykorzystać?

W życiu Bachy był jeszcze jeden tajemniczy detal – popielate, skórzane rękawiczki. Ciotka przechowywała je, owinięte w bibułę, w drugiej szufladzie sekretarzyka. Nigdy ich nie nosiła, czasem tylko przymierzała. Leżały idealnie. Przyglądała im się wtedy uważnie, przechyliwszy głowę na bok, aby zawsze na końcu powiedzieć to samo: – Nie zapomniał moich dłoni. – Rękawiczki przywędrowały w paczce z Anglii. Przysłał je „ciotki lotnik”, tak o nim w domu mówiono. Po wojnie został na Zachodzie. W końcu przestał pisać. Listy z Polski wracały z dopiskiem „adresat nieznan”. Czy był to mężczyzna z albumu? Po tylu latach stale jeszcze on? Mogłabym przysiąc, że na jednym ze zdjęć miał na sobie mundur. Mundur lotnika? Czyżby Bacha była rzeczywiście bohaterką wielkiego romansu?

Jak istnieją po dziesięcioleciach fakty biografii? Nie ma już przecież żadnej różnicy między marzeniami a prawdą. Jedno i drugie jest tylko mirażem, taśmą filmową wywoływaną w czerwonej ciemni mózgu. Film można wyświetlać według życzeń, zatrzymywać, przyspieszać. Stop-klatki pełne są przydymionej barwy starych zdjęć z martwym światłem, padającym na martwe twarze. I nieważne czy to, o czym myślimy, zdarzyło się nam naprawdę w sinych przestrzeniach minionego, czy dzieje się akurat teraz za zamkniętymi powiekami. Nie uda się przecież wkroczyć po raz drugi w c z a s c i e m n i bez zapachów, dźwięków, krwi, w świat wędrujących cieni, gdzie odbity cień naszej dłoni dotyka ust kochanego człowieka, gdzie nasze oczy stale jeszcze podążają za tamtymi oczami, których może naprawdę nigdy nie było aż tak intensywnych i czarnych?

A więc należałoby raz wreszcie dać spokój tropieniu prawdy i spokojnie wejść w to, co jest teraz. Tylko w to. Przepocona poduszka pod głową Bachy, wyżarte od chlorku dziury w powłoce, proteza dentystryczna z resztkami jedzenia (nikt jej nie chce umyć), zatkany cewnik, którego też nikt nie ma czasu przepłukać, póki chora nie zacznie krzyczeć z bólu, a wreszcie zacznie, nie będzie miała innego wyjścia.

Ból wtargnie gwałtownie w środek nocy spędzonej nad morzem, w koszu, razem z nim. Przyjechał niespodziewanie. Zobaczyła go na ulicy prowadzącej do plaży – całą sobą jednocześnie; uderzenie serca, krwi w wargach, choć on jeszcze dwadzieścia, trzydzieści metrów od niej, jeszcze jej nie widzi, jeszcze się niespokojnie rozgląda. Upalna noc w wiklinowym koszu u samej granicy morza. Tak go ustawili, że fale co parę sekund dotykały ich gołych stóp. Czy był księżyc? Pełnia rozbita w wodzie. Mogli kąpać się w niej. Płynęli w tym czarnym świetle daleko, aż brzeg stał się cienką nitką zapalonych okien.

Coraz jaśniej robi się pod powiekami, chociaż nadal mocno je zaciska, jakby nie wiadomo skąd nagle zaczął prosić śnieg. Ból jest ostry, przecina wnętrzności. Dotyka brzucha. Jest wielki. Miękkie fałdy tłuszczu rozlewają się pod dłonią. Skąd się wziął ten ogromny, miękki kłęb mięsa? Jeszcze przed chwilą czuła przecież, jak o jej twarde mięśnie ociera się morze, przesuwała się między szorstkimi falami, jak między dłońmi.

Jednocześnie z krzykiem, który wydobywa się z niej, wbrew niej, obok niej, otwiera oczy i widzi nagle nisko sklepioną, obcą salę pełną łóżek i starych ludzi. Zawrót głowy. Po chwili biały, prędko szeleszczący fartuch, czyjaś ręka szybko, sprawnie...

– Dziękuję, bardzo dziękuję – powtarza Bacha. Uśmiechają się do niej niebieskie oczy jakiejś młodej dziewczyny.

– Ile pani ma lat? – pyta pielęgniarka.

– Ile? Już sama nie wiem. Nie pamiętam – głaszczą ją po twarzy chłodne, drobne ręce.

– Proszę spać. Wszystko będzie dobrze.

Wciśnięta w róg siedzenia, z głową w prochowcu, przez całą podróż zastanawiałam się, o czym mogła myśleć Bacha, budowałam stale nowe sytuacje szpitalne, jednocześnie oceniając je jako przyszły materiał literacki: dobre, ekliwne, może dodać trochę horroru szpitalnego? Nie, tacy ludzie jak Bacha prędzej czy później znajdą kogoś, kto się nimi specjalnie opiekuje, za uśmiech, ciepło. Co innego matka, która w ciągu dwóch, trzech dni potrafi na każdej sali szpitalnej zbudować wokół siebie solidarną pacjencko-pielęgniarską próżnię obojętności.

Moje próby rozbicia zmywy – parzę herbatę, poprawiam poduszki, zagaduję, pocieszam, a siostrą wciskam do kieszeni pieniądze, czekolady – nic nie dają. Przyglądają mi się w milczeniu, spod oka, usiłując odnaleźć we mnie tę samą co u matki irytującą marudność.

To całe moje pięciogodzinne podglądanie życia Bachy znalazło niespodzianie swój dziwny, wizualny bilans. Weszłam do ustępu i gdy z trudem utrzymując równowagę, waląc biodrem raz o umywalkę, raz o drzwi, usiłowałam mimo wszystko umyć ręce, nagle w ścianie tuż nad sedesem coś się poruszyło. Przeraziłam się. Żywe światło. Sekunda refleksji: scena z surrealistycznego filmu, ściana mrugająca oczami. To było szeroko otwarte oko w okrągłej, pracownicy wydłubanej szparze. Zaczaiłam się w miejscu, którego nie mogło widzieć i nagle plasnęłam głośno w dziurę otwartą dłonią. Krzyk przerażenia po drugiej stronie wydał mi się krzykiem kobiecym. Czy to możliwe? Gdy wyszłam, na korytarzu, a także w umywalni obok, już nikogo nie było.

To następstwo scen, dopisanie mi przez życie pointy do własnych myśli, zdeprymowało mnie bardziej niż mogłabym przypuszczać. Gdybym pracowała nad scenariuszem filmowym o pisarzu, który bez skrupułów tropi czyjąś biografię, trudno byłoby mi wymyślić celniejszą obrazową wersję tego procesu. Pointę.

Znowu po raz nie wiadomo już który doświadczyłam dziecinnego uczucia, że czuwa nade mną jakiś wszech-obecny reżyser, komponuje mi epizody i zapala reflektory, gdy wchodzi na plan.

* * *

Dwie zdegradowane przestrzenie, miejsca chore, szpital i plac z pomnikiem przed stoczną w Gdańsku. Wyraźnie wyczuwalne podobieństwo. W czym? Zapach powietrza, ten sam upał wiszący nisko nad rozpalonym kurzem, zgaszone twarze ludzi? I tu i tam chodzenie, oglądanie, snucie się, wreszcie szukanie wody, wkładanie do słoików, czy puszek – kwiatów, ustawianie ich pękami wprost w oczy przechodniów i chorych. Niech się napatrzą, niech ocenią ogrom uczucia odwiedzaczy. Niech te dwie powolne agonie odbywają się do końca w upartej asyście, w celebracji, w cikliwej woni gnijących łądek, liści. Dłonie poprawiające, gładzące, przedstawiające bukiety na płycie pomnika, na nocnych stolikach, to wszystko, co mogą jeszcze zrobić. I tu i tam odsiadanie na brzegu łóżek, na kamiennych stopniach, potem długie stanie wokół chorych, wokół krzyży, wciąż w tłumionym, a jednak wyraźnie wyczuwalnym lęku przed lekarzem lub milicjantem, odruchowe rozglądanie się, badanie wylotów korytarzy, wnętrza ulic, bramy stoczni, dyżurki lekarskiej. Raz po raz gdzieś blisko wizygaretki pogotowia, wozu milicyjnego, przyspieszone bicie serca, atmosfera alarmu, ponure podniecenie towarzyszące odchodzeniu ludzi i idei. Lepki brud stale od nowa zapastowywanego kurzu, a na chodnikach nisko syjącego się piachu, w wietrze podrywające się papiery, na korytarzach strzępy gazy, nitki bandażu, grudki rozgniatanego na biały pył gipsu i tu i tam pękające pod butami pety rozrzucone przez tych czekających nie wiadomo już na co, zaciągających się za chłannie.

Marzenie, aby się wykąpać, splukać z siebie ostrym tuszem to wszechogarniające wrażenie choroby. I rzeczywiście, wróciłam do domu chora z bezsilności. Czułam się tak, jakby pod moimi dłońmi przy każdym najlżejszym dotknięciu rozpadał się, kruszył, pękał, syjąc się i rozpełzając na nici kiedyś gęsty, mięsisty materiał.

* * *

Łóżko ciotki stało pod oknem. Parapet pełen był darów: kwiaty, puszek z sokami, pomarańcze, banany, czekoladki, draże, rodzyunki. Pamiętano o niej. Kiedy się nad nią pochyliłam, otworzyła oczy i wbrew temu, co przed chwilą mówił lekarz, była zupełnie przytomna.

– Pupuś? – spytała, jakbym dopiero co wyszła z sali. – Ale ty jesteś mordziasta – dodała po sekundzie, przyglądając mi się z bliska, głaszcząc po twarzy. Paznokcie miała długie i brudne. Obciąłam, wyszlifowałam starannie pilniczkiem, tak jak lubiła, wycięłam nożyczkami skórki. Cóż więcej mogłam zrobić? Uśmiechała się.

– Kiedy znowu do mnie przyjdiesz?

Przyjdiesz, a nie przyjedziesz, to był jedyny ślad świadczący o tym, że rzeczywiście odległości, czasy, przestrzenie uległy w jej wyobraźni zakłóceniom. Teraz sama nimi sterowała. Nareszcie była wolna!

* * *

Ujęcie wyjęte ze starego filmu o zdobyciu Poznania. Nasza kamienica z wykuszami, przy bramie dwie białe strzałki, znaki topograficzne na żywej mapie miasta. Czytaj – schron.

Stoimy z Edwardem pod topolą, po prawej stronie jezdni. Mimo tych oznakowań przy bramie jest t e r a z , to znaczy czas teraźniejszy, chyba popołudnie (oświetlenie drzew). Stróż i jego syn, krępy zomowiec, wyciągają z bramy, a potem taszczą po jezdni ogromny tłumok, płaski przedmiot. Rzucają go koło nas. Przyglądam mu się obojętnie. I dopiero pod moim wzrokiem ta rzecz szara, niekształtna przeistacza się. Są to krótkie, trwające sekundę, dwie dziesiątki zdjęć, z każdym następnym staje się oczywistsze, że ta bryła żyje. Biały koń. Leży na boku. Z ogromnej rany na szyi płynie krew. Próbowano go zabić. Przecieli mu tętnice. Ma się tutaj po prostu wykrwawić. Koń patrzy na nas, ale w jego oczach nie widzę paniki, ani buntu. Czeka. I nagle z niego (zza niego?) wybiega źrebię, też białe, prędkie. Omija nas, leżącego konia... pędzi. Tracę oddech. Budzę się mokra od potu, jakbym wyszła z morza.

* * *

Po dwudziestu latach spotkałam Filipka. Wpadłam na niego w drzwiach obrotowych banku. Na sekundę zatamowaliśmy ruch. Natychmiast zobaczyłam wszystkie swoje zmarszczki, jakbym trzymała w dłoniach odbicie własnej twarzy w szeleszczącym pergaminie: lekko opuszczone kąciki ust, dwie bruzdy idące w dół od nosa ku brodzie, oczy z zapaleniem spojówek. Szara maska zanurzona w szarym powietrzu. Typowe dla takich spotkań speszzenie. Czujemy się winni, rozbijamy oto własny wizerunek sprzed lat. Tłuczemy porcelanową lalkę. I nic już nie pomoże odruchowy bieg dłoni ku włosom, wpychanie za ucho jakiegoś niesfornego kosmyka; w końcu pozostaje tylko zażenowany, pełen bezradności uśmiech, no trudno, taka jestem, poznałeś oto prawdę o mnie. Teraz należy jak najprędzej odnaleźć to, co nas kiedyś łączyło z tym bliskim nieznanym: typ słownictwa? gestykulacja? tematy rozmów? Co to było? Szukałam w pośpiechu. Pojawiły się strzępy dialogów, sytuacji, wrażenie, że oglądam je przez zaparowane szkło powiększające.

On, Filip i ja w topolowej alei, blisko domu. Obmyślamy wspólną wyprawę do Puszczykowa, na rowerach. Miałam jechać na ramie raz u jednego, raz u drugiego, na zmianę. Może lepiej pociągami, rozważaliśmy, a rowery nadać na bagaż?

Głębokie, obudowane oficynami podwórze, zbiegamy na nie ze stromych, wąskich schodów (kto tam mieszkał?) z hałasem, śmiechem po dwa, trzy stopnie. Filip zjeżdża po poręczy. Popisuje się przed nami, niebezpiecznie odchyła się do tyłu, potem przerzuca lewą nogę i zjeżdża okrakiem. Ktoś wygląda za nami oknem, ktoś nam grozi zza zamkniętej szyby (obudziliśmy dziecko?). Chichoczymy, ręce przy ustach. Na środku podwórza spod furkoczących w powietrzu i bijących o ziemię linek, spod butów skaczących dziewczynek unosi się kurz i pył kredy. Świecący, niebieski kamień leży, celnie rzucony w samym środku namalowanej gry w klasy, wystarczy lekko pchnąć go czubkiem buta, przeskoczyć przez kreskę i już się będzie w piątej klasie. Filipek wbiega w czeredę dzieciaków, roztrąca je, pryskają niczym

żywe krople, aż pod strome zejścia do piwnic i sam po mistrzowsku na jednej nodze przeska-
kuje cały siedmioklasowy schemat.

Nadal przyglądamy się sobie. Nie umiemy opanować wzajemnej ciekawości. Filipek jest prawie łysy, niespodziewanie krępy, on tak kiedyś zwinny, drobny. Tylko kolor jego skóry, jak dawniej po dziecinnemu różowy, nie uległ zmianie. W twarzy pięćdziesięciolatka wygląda to trochę szokująco, prawie nieprzyzwoicie. Rzucił pracę naukową (nie mógł utrzymać rodzi-
ny). Prowadzi teraz prywatne biuro turystyczne. Dużo jeździ. Z Filipem nie spotyka się od lat. Nasze drogi się rozeszły, mówi i spuszcza oczy, trochę tym faktem zbity z tropu. I nagle po-
konując wyraźne opory, podejmuje decyzję, odciąga mnie na bok, chwyta za rękę, rozgląda się prędko wokoło i mówi prawie do ucha szeptem, jakby tu w tym pustym kącie holu mógł nas ktoś podsłuchać: – Tobie mogę powiedzieć, Filip pracuje na Jana z Czarnolasu, a dokład-
nie – jest szefem od podsłuchów telefonicznych. Cała ta aparatura jest na jego głowie. To świetny fachman, ale sama rozumiesz...

Rozkłada ręce gestem rezygnacji.

Czy rezygnacja z przyjaźni jest jednocześnie rezygnacją z przeszłości? Amputacją pamię-
ci? Co się dzieje ze wspólnymi przestrzeniami? Gdzie się one podziewają? Nie zwiedzane gubią się w końcu w tłoku innych.

Trudno zrozumieć decyzję Filipa, nikogo się nie radził. Wzięli go najprawdopodobniej na nowocześnieść, nie umiał się oprzeć pokusie. Przecież sama dobrze wiem, ile godzin dziennie przesiadywał w tym swoim warsztacie na górcie, stale coś przelącał, montował, lutował, jak-
ieś obwody, Bóg jeden wie, co... Czy pamiętam jeszcze ten reflektor, którym świecił mi w okna? Teraz zdradzi mi tajemnicę Filipa. On układał do mnie listy, a potem nadawał je noca-
mi alfabetem Morse'a. Mówił do mnie wiedząc, że nie potrafię go zrozumieć. To mu dawało absolutną swobodę. Przyjmowałam jego znaki, nieregularny puls światła bijącego przez jezdn-
nię wprost w moje okno, jak rytualne misterium. Odstawałam ten czas zimą za szybą, wiosną i jesienią przy szeroko otwartym oknie wdychając zapach młodych lub opadających liści to-
poli, skoszonej trawy i wiatru. Szum nocy unoszącej się nad nami. Byliśmy zatrzaśnięci w czarnej kuli, obracało się nad nami w ciszy rozgwieżdżone niebo. Wydawało mi się, że słyszę chrzęst gwiazd.

W wojsku prędko poznali się na Filipie. Służył w łączności, a potem już na wieczorówce zrobił dyplom technika.

Dopiero po rozmowie z Filipkiem rozumiałam niektóre fakty. Dotąd traktowałam je jako nadgorliwość „tych panów”. Dzwonek telefonu, podnoszę słuchawkę i słyszę swój własny głos, rozmowę prowadzoną przed chwilą z Moniką na temat jakiejś planowanej akcji prote-
stacyjnej czy listu, który należało podpisać. Pogładowa lekcja wychowawcza. Filip czuwający nad moją biografią. W czasie pobytu Edwarda za granicą ciągle nocne telefony, zawsze około północy, z melodiami, które kiedyś lubiłam. Parokrotnie na pogłosie w jakiejś dalekiej, pełnej chrobotów przestrzeni usłyszałam swoje imię wymawiane szeptem w zdrobieniu, którego tylko Filip używał. Uwierzyłam później, że to było złudzenie słuchowe. Zdarzały mi się także dziwaczne zakłócenia w trakcie dyskusji, które prowadziłam przez telefon z różnymi ludźmi w złudnym poczuciu pełnej wolności, w wierze, że oto zbliża się era swobody. Kiedyś męski głos (przez parę dni męczyło mnie podejrzenie, że skądś go znam) powiedział dobitnie: – Do-
syć tego! – i przez dwa tygodnie miałam wyłączony telefon. Interwencje w biurze napraw nie odnosiły skutku.

Człowiek, który gubi się w naszym życiu, gubi się w czasie – jak rzecz w zagrożonym mieszkaniu, aby nagle ponownie wpaść nam w dłonie, w oczy. Co zrobić z takim niespodzie-
wanie odnalezionym zabytkiem, kopaliną? W jakiej szufladzie ją przechować, w jakim płacie pamięci? Należy do naszej prehistorii i oto wdziera się w terażniejszość.

Słowacki funkcjonował jeszcze przez kilka dni września względnie normalnie, z samego rozpędu, jak nakręcony mechanizm. Błędy naprawialiśmy sami w iluzorycznej nadziei, że Podkoń „wskoczy w biegu”. Uchwyci rytm.

Istniały dwa plany zajęć. Ten drugi, w którym lekcje nie zderzały się ze sobą, język polski nie odbywał się w gabinecie chemicznym, a nauczyciel wychowania fizycznego nie prowadził zajęć z dwiema klasami jednocześnie, gdy w tym samym czasie dwoje pozostałych wu-fistów miało „okienko”, powstawał na gorąco, w ciągu kilku dni, w pokoju nauczycielskim. Pracowaliśmy nad nim wszyscy po kolei, nisko pochyleni nad wygniecioną płachtą. Co trzy kwadransy niezmiennie ulegaliśmy popłochowi, psychozie chaosu, gdy po dzwonku na zajęcia na korytarzu zamiast spodziewanej ciszy – wybuchał rwetes. Przed gabinetami zderzały się po trzy klasy, pojawiali się trzej zdyszani – poszukujący kluczy – nauczyciele. Koczujące tabuny młodzieży poganiał niecierpliwie; uciekały cenne minuty lekcji. Biegi z parteru na trzecie piętro były na porządku dziennym (umyślni pędzący po kredę, gąbki, krzesła, gdy nagle w dwudziestoosobowej sali musiała się zmieścić cała czterdziestka), stanowiły normę szkolnej egzystencji. Mniej odporni dostawali migren, bardziej energiczni wszczynali awantury, a twórca tego bałaganu siedział zamknięty w gabinecie i czekał, aż plan, jak mówił, „sam się utrzęsie”.

Człowiekiem opatrnościowym okazywała się wtedy najczęściej Chemiczka. Naprawiała błędy Podkonia, nawet usiłowała się z nim porozumieć, co zresztą prędko okazywało się niemożliwe. Po aferze z planem rozpoczął się etap drugi. Organizowanie tak zwanego kolektywu. Podkoń zaczął powoływać, mianować rozmaite nowe ciała, grupy, podgrupy, komisje – według zasad, w których nikt z nas nie potrafił się rozeznać. Nie słuchał rad, w każdej wietrząc polityczne intencje. Dyskusję ucinął: – Jeśli mam być szczery, dziękuję za uwagi, ale państwo pozwolą, że będę obstawał przy swoim.

Miał skomplikowany sposób wysławiania się. Budował barokowe zdania – otaczając je barokową gestykulacją. Nic w jego ustach nie brzmiało jednoznacznie. Polecenia pojękiwały jak prośby, a prośby nabierały siły poleceń. Podkoń szczylił się tym, że nigdy dotąd nie dyktował. – Ja, szeregowy pracownik oświaty – powtarzał hardo po parę razy dziennie. Uczył dotąd w zawodówce przedmiotów politycznych. Gmach zrzucony nagle na jego głowę, ten kolos wymagający nieprzeciętnych umiejętności organizacyjnych, pełen tradycji, rytuałów, z nauczycielami, których nie można było traktować jak „szeregowych pracowników oświaty”, bo nimi nie byli, większość miała „wybitne osiągi”, do tego tysiąc dwieście młodzieży, prymusów lub potencjalnych kandydatów na prymusów – to wszystko zdecydowanie przerastało jego możliwości.

A przecież musiał jeszcze ślepo wykonywać polecenia dwóch władz jednocześnie, według ich (często sprzecznych) dyrektyw pilnować, „wykańczać”, doskwierać, podstawiać nogę, czyhać na pomyłki, nękać...

Ludzie snuli się po Gmachu ogłupiali; co bardziej temperamentni informowali dobitnie, gdzie mają „cały ten burdel”. Uwagi krytyczne docierały do niego błyskawicznie. To jedno potrafił sobie sprawnie zorganizować.

Młodzież prędko zorientowała się w sytuacji. Przyzwyczajona do dyscypliny – szukała ratunku u byłej Dyrektorki (wywalczyła sobie w końcu etat nauczycielski w Słowackim), zgłaszała jej wolne lekcje, brak zastępstw, niedobory w podręcznikach, ale to nie mogło pomóc, odprawiała ich ze stalowym błyskiem w oczach: – Nie moja sprawa!

Kiedyś uchwyciłam prędkie, kontrolne spojrzenie Piotra: – I co? Jak ma teraz być? Nasza jest szkoła, czy ich? Nadal chronić wnętrze? A może wręcz przeciwnie? Przecież Dyktorke już zdjęli...

Przypomniało mi to beznadziejne pytanie jednego z bohaterów telewizyjnego „kabareciku”

Olgi Lipińskiej: – Mam grać?...

Przestałam ingerować. Zostawiłam rzecz swojemu biegowi. Z kim w końcu miałam być solidarna? Czyich racji bronić? Władzy, która narzuciła nam Podkonia?

Taka wolna, taka „wiodąca szkoła”, która sama podejmuje decyzje, nie mogła istnieć. Należało ją zniszczyć, aby odbudować według starych zasad. Tak to wygląda teraz dla mnie z paroletniej perspektywy. Ale wtedy, w środku tego zamętu, wszyscy czuliśmy tylko jedno: na naszych oczach ginie coś ważnego, znika bezpowrotnie z Gmachu, przecieka między palcami jak woda. Opuszczała nas, uczniów i nauczycieli, wiara, że jesteśmy właśnie tam, gdzie powinniśmy być, gdzie dzieje się coś naprawdę ważnego. Gmach w zawrotnym tempie zamieniał się w zwykłą szkołę, tracił swoją magię, siłę przyciągania. Już nie był miejscem własnym, był miejscem publicznym. Jak urząd, do którego się wchodzi, aby załatwić s p r a w ę. Szarzał, przysięgłabym nawet, że tracił barwy. Ktoś nam upuszczał krwi? I pomyśleć – jeden obcy człowiek! Wdarli się za nim do Gmachu dawni posiadacze. Nareszcie nie byli intruzami. Zdobywali teren.

W pokoju nauczycielskim wróciły okresy ciężkiej, leniwej ciszy; znowu należało uważać, co się przy kim mówi, wyważano słowa. Dzielono się na grupy, grupki, rozmawiano szeptem, pochylając ku sobie głowy. Byli wtajemniczeni, mniej wtajemniczeni i odsunięci. Rozpoznawano się wzajemnie od nowa, podglądano, podsłuchiowano. Tylko Monika próbowała jeszcze czasem, jak mówiła, obudzić „dawnego ducha”. Wygłaszała oracje wzniosłe i światłe o powinności nauczyciela, godności, odwadze głoszenia niepopularnych idei, wierności wobec zasad, o konieczności prawdy, która jest potrzebna jak świeże powietrze. Ludzie patrzyli na nią ciężko, gryząc bułki, popijając herbatę (skąd ja to znałam?) i nie odnajdywałam w ich oczach żadnego ognia, żadnej iskry. Niektórzy odwracali się do Moniki plecami i półgłosem rozmawiali, inni pochylali się niżej nad sprawdzianami, dziennikami. Wyraźnie omijali ją wzrokiem. Zaczynała zawadzać. Słuchanie jej przypominało ciągłe, odruchowe dotykanie miejsca obolałego, sprawdzanie, czy drzazga jeszcze w nim tkwi.

– Teraz to ja muszę patrzeć, żeby mnie z pracy nie wylali – powiedział wuefista, a ktoś zmęczony, siedzący tyłem do światła: – Ty, Monika, zupełnie nie wiesz, na jakim świecie żyjesz!

Szła późna jesień, deszcze i chłody nawiedzały Gmach jak choroba. Od okien znowu wiało. Jak zawsze po każdej większej ulewie spod popękanych, wypaczonych ram w gabinecie polonistycznym sączyły się strużki wody. W ciszy lekcyjnej, w momentach skupienia słyszeliśmy, jak krople rozbijają się o podłogę. Szelest wiatru i rytmiczny stukot naderwanej rynny bijącej o mur gdzieś nad nami... otulałam się szczelniej grubą, zakopiańską chustą.

Przechodząc zbyt blisko stołów, pochylając się nad zeszytami uczniów, zahaczałam długimi, czarnymi frędzlami o śruby spajające oparcia krzesel. Zostawały w nich potem wyrwane, skręcone nici. Kiedyś w czasie przerwy, gdy nie miałam już ochoty oglądać ponurych twarzy moich kolegów i wędrowałam po pustej klasie, grzejąc dłonie o kubek z gorącą herbatą, naliczyłam aż siedem takich zgubionych frędzli. Nie wątpliwie był to mój, naznaczony przeze mnie teren: moja ziemia!

To poczucie własności miałam także, patrząc na twarze uczniów, wertując ich zeszyty, rozpoznając charakter pism, style. Wiedziałam: nie powinnam się tak mocno oswajać z miejscami i ludźmi. Nie wolno tracić poczucia obcości. Identyfikacja jest zawsze groźna. Ile będę gotowa zapłacić, zastanawiałam się, na jakie kompromisy pójść, ile zdradzić, aby tylko zachować swoją przestrzeń, swoich ludzi? Wierzyłam prawie, że tylko tutaj jestem naprawdę potrzebna. Dla kolejnych fal pierwszoklasistów byłam rekwizytem spodziewanym, miejscem stałym. Wielu z nich – nie znając mnie – doskonale mnie znało z opowiadań starszego rodzeństwa, kolegów... Po pierwszym wrześniu dokonywano konfrontacji wyobrażenia z rzeczywistością. Musiałam jedynie dbać o własną wyrazistość. Nie należało psuć schematu.

Gmach im bliżej zimy, tym bardziej się wyziębiał (dosłownie i metaforycznie). Malał przy

tym i jakby karła. Na koniec zajmował już dla mnie tylko przestrzeń gabinetu. Musiałam cały czas pamiętać, żeby za każdym razem szczelnie zamykać za sobą drzwi na korytarz. Inaczej wdzierała się do środka idąca od parteru fałszywa, obca nuta. Pogłos. Jedynie tutaj nie dotyczyło nas to, co huczało w holu, grzmiało w auli w czasie kolejnych akademii, panoszyło się w gablotach, charczało w radiowęźle. Tutaj byliśmy jeszcze samoswoi.

Na korytarzach znowu pojawiły się śmieci. Sprzątaczkę ginęły gdzieś na długie godziny. Jedna z nich wyspecjalizowała się w lustracji ustępów. Wypychając kieszenie fartucha ulotkami, po każdej dużej przerwie wędrowała do Dyrektora: – Znowu som! – mówiła, wykładając pomięte na biurko. Dyrektor zgarniał je i zamykał w kasie pancерnej, dzwonił do służb specjalnych, kuratorium lub nie, w zależności od sobie tylko wiadomych koncepcji. Wzywał uczniów, nauczycieli. Toczył rozmowy, szantażował, groził, straszył, schlebiał, obiecywał; repertuar był bogaty. Zdarzało się, że w trakcie rozmowy włączał radio, mrugając porozumiewawczo, dając do zrozumienia inwigilowanemu, że wie o zamontowanym u siebie podsłuchu. W nagrodę żądał prawdy. Przecież można ją przekazać jemu, który tak jawnie, tak ostentacyjnie zakłóca nagrania. Uczniowie, wpatrując się w niego, tępo udawali, że nic nie rozumieją. Co śmielsi pytali: – Pan dyrektor lubi muzykę młodzieżową?

Ciche przerwy, akcje solidarnościowe, protestacyjne toczyły się teraz po Gmachu ze zdwojoną energią. Walka między Podkoniem a młodzieżą (kto kogo przechytrzy) trwała bezustannie. Podkoń miał nikłe szanse.

Któregoś trzynastego dotarło do niego, bo miało dotrzeć, że akcja protestacyjna przeciwko stanowi wojennemu ma być organizowana na parterze. W czasie dużej przerwy kazał wyrzucić wszystkich na boisko. O to chodziło. Tam odbył się wiec otoczony milczącym tłumem przechodniów. W następnym miesiącu zamknął wyjście na boisko. Opuszczono Gmach głównym wejściem. Uczniowie spokojnie przeszli przez jezdnię i stanęli w milczeniu pod krzyżem, na dziedzińcu kościoła. Dyrektor aż do rozmowy z czterema panami, którzy przyjechali już po kwadransie, był dumny z siebie. Siedział w pokoju nauczycielskim zaróżowiony, perorujący. Protest odbył się poza szkołą, więc nie jest za niego odpowiedzialny. Wybito mu to widocznie z głowy, bo wpadł w furję. Zebrał wszystkich na auli i tam palnął mowę złożoną z tak zawyłych zdań, że ich końce przeczyły początkom. Uczniowie słuchali karnie, zgotowali mu owację. Najpierw uśmiechnął się pełen zadowolenia, aby na koniec wyklaskany uciec tylnym wyjściem. Rano pojawiły się na gablotach, ścianach, drzwiach poprzyklejane ulotki z co barwniejszymi cytatami. Nagrywali w trakcie przemówienia? notowali? powielali w nocy?

W następnym miesiącu w ogóle zlikwidował dużą przerwę. Demonstracja odbyła się po szóstej lekcji, na podjeździe, pod Gmachem. Tłum gapiów zatamował na parę minut ruch na jezdni. Podkoń przyglądał się temu z okna gabinetu. Usiłował wyodrębnić prowodyrów, zapamiętać twarze, zawołał nawet sekretarkę, aby mu pomogła: – Proszę patrzeć! Proszę skrupulatnie patrzeć!

Ale przywódców nie było, był tłum. Tłum śpiewał.

I tak to trwało, toczyło się, działało, tętniło. Tylko pokój nauczycielski coraz bardziej przypominał popękaną taflę lodową. Szczeliny ziały czernią. Teraz już naprawdę trzeba było uważać, przy kim się stało. Znowu te kry, myślałam, dryfowanie, odległości... brak kontaktu. Młodzież tropiła nas czujnie, rozważała nasze słowa, powolne zmiany wyrażań, nawet intonacji. Dokumentowała nasze przyjaźnie (kto jest z kim widywany na przerwach, poza szkołą), nasze przyzwyczajenia, trasy po Gmachu. Nigdy na przykład nie rozrzucano ulotek, nie przypinano haseł na drodze, którą zwykła chodzić do ustępu jedna z bibliotekarek (natychmiast docierały do Podkononia).

Po czterech miesiącach zapanowała w Gmachu jasność ostateczna. Podział został dokonany. Już wiadano, kto jest kto. I wtedy właśnie, któregoś grudniowego poranka, jeszcze w szarej, mżącej mgle, w siąpiącym kapuśniaczkę, zamykając okno przed pierwszą lekcją, zobaczyłam na płycie boiska (obok kotwicy i znaku zwycięstwa) nowy napis, tym razem żółtą

farbą: „kolaboranci”, dwukropek, a pod spodem drukowanymi literami siedem nazwisk. Świeciły wprost w okna wszystkich klas, od parteru do trzeciego piętra. Właśnie je doczytywano.

Piggi, wchodząc do pokoju nauczycielskiego, powiedziała do Moniki tak, aby słyszała ją ciasno zbita na korytarzu młodzież:

– Szczęście, że nie napisali, że pracuję w SB.

Na to Monika spokojnie, otwierając drzwi, uprzejmie przepuszczając Piggi, tyle tylko że cicho, do ucha:

– Pewnie jeszcze o tym nie wiedzą.

* * *

To był powolny proces, ale ciągły. Teraz żyli już między nami, w środku.

Czy można zawłaszczyć ludzi jak zawłaszcza się ziemię? – pytaliśmy zdeorientowani, rozglądając się wokoło. Twarz jako teren zdobyczy. Opanować mimikę, zmusić przeciwnika, aby nie krzywił ironicznie warg, gdy blisko niego wybuchają obce słowa, aby milczał, mimo że krtań, struny głosowe, język, wargi drżą, artykułują. Zgasić oczy, niech będą idealnie matowe, bez iskier w środku. Od takich oczu odbijają się wszystkie tak zwane „racjonalne argumenty”, takie wolne oczy sprawiają poważne kłopoty, takie oczy nieodpowiedzialnie widzą. Podejrzane są także pionowe zmarszczki u nasady nosa: znak myśli. Od myślenia nad sprawami kraju są inne czoła, czoła wiadome, czoła kompetentne, które za nas podjęły trud...

Coraz więcej było w Gmachu przepisowych twarzy. Mnożyły się jak monety odbijane od jednej matrycy. Znikały także nerwowe ruchy dłoni, niecierpliwe pukania palcami w trakcie przemówień o blaty stołów konferencyjnych. Ręce leżały teraz na kolanach spokojnie jak oswojone zwierzęta. Żaden atak nie był przewidziany, żadne zapisywanie się do głosu. Dłonie nie podrywały się już do góry.

Opuszczaliśmy nie tylko własne twarze, również własne przestrzenie. Wycofywaliśmy się w popłochu, jakbyśmy się bali, że odetną nam odwrót.

W ilu redakcjach, zastanawiałam się, zbierając w „Strudze” swoje papiery z biurka, ładując do torby stare maszynopisy, kalki, rękopisy, ilu ludzi robi teraz to samo co ja?? Pospieszna ewakuacja. Nie było żadnej szansy, aby pismo zachowało choć pozory niezależności. Spieszyłam się. Nie chciałam oglądać tryumfującej twarzy Naczelnego. Szeleszcząc spadały na podłogę odbitki starych felietonów. Pukały o dno szuflady, toczyły się po niej ołówki, wyschnięte wkłady do długopisów. Taśma maszynowa wypadła mi nagle zza sterty teczek, uderzyła o podłogę i potoczyła się, rozwijając pod następne biurko. Znieruchomiałam, nadsluchając, czy nie usłyszę przez cienkie przepierzenie dobrze mi znanego rumoru odsuwanego fotela Naczelnego, ale nie...

– Przemyślałaś to? – spytał nagle od drzwi redaktor działu prozy A. (nie usłyszałam, jak wchodził, widocznie także nie chciał wpaść na Szefa). Śmieszne, redaktorzy ukrywający się przed własnym naczelnym! A. patrzył, jak na kolanach zza nóg biurka wyciągam stale jeszcze rozwijającą się taśmę.

– A ty? – odpowiedziałam pytaniem na pytanie.

Zauważyłam, że w ostatnich tygodniach coraz więcej ludzi tak właśnie ze sobą rozmawiało.

– Sam jeszcze nie wiem... Głupio jakoś tak nagle wszystko rzucić i iść w cholerę. Gdzie mam iść?

Oglądałam bezradnie swoje czarne od czarnej taśmy dłonie. Później myłam je długo nad zlewozmywakiem. Tusz nie chciał schodzić, nie było ani mydła, ani ciepłej wody. Nie ulegało wątpliwości, że to moje długie mycie rąk miało dla nas w tej chwili podwójne znaczenie.

– Dałabyś już spokój – powiedział wreszcie A. – W końcu każde życie brudzi. Nie ma ży-

cia bez brudu.

Usiedliśmy po raz ostatni naprzeciwko siebie, przy moim biurku, tak jak to robiliśmy przez wiele lat, ustalając zawartość kolejnych numerów.

– Kto tu teraz po tobie przyjdzie?

Zupełnie mnie to nie interesowało. Coś nieodwracalnego pękło, pokruszyło się, złuszczyło, a przecież budowaliśmy „Strugę” z takim uporem, walczyliśmy z cenzurą, pozyskiwaliśmy najlepszych autorów. Już nie myślałam: „moja redakcja”. Chciałam stąd wyjść jak najprędzej. To była skażona przestrzeń. Ostatni numer mojej „Strugi” ukazał się w kioskach jedenastego grudnia. Sprzedawano go przez kilka pierwszych dni stanu wojennego. Zza szyb kiosków „Ruchu” patrzyły w skostniałe od mrozu ulice przerażone oczy rysunków Mięzała, ilustrujących wiersze Krynickiego. Nikt nie pomyślał o wycofaniu „Strugi” z kiosków. Zawartość numeru, treść artykułów – na tle tego, co działo się w mieście – to była czysta groteska, pomieszanie dwóch światów.

Długo wyplątywałam się z mrocznych pokoików gmachu prasy, z kamiennych korytarzy, labiryntowych zakoli – odbierałam ostatnią pensję, oddawałam pożyczone książki. Po drodze spotykałam bliskich i dalekich. Przyglądaliśmy się sobie. Oni nadal, każdy na swoim miejscu, i ja już z zewnątrz, nagle obca. Czy obca? Nie miałam już w szufladzie swojego mydła, szklanki, swojej przydziałowej herbaty Ulung, ani przydziałowego ręcznika. Mijano mnie bez pytań. Tylko „dzień dobry”, „cześć”, „no to do przyszłego”, „muszę lecieć”, „zadzwoń kiedyś”. Dotykały mnie te słowa lekko, jak skrzydła much, może ciem. I byłam w tym wnętrzu jak przechodzień, który wszedł tu mimochodem, przez pomyłkę. Nie mogłam się nadziwić, że tak łatwo mi stąd wyjść, z taką ulgą usłyszałam miękkie sapnięcie dobrze naoliwionej bramy i oglądając się prędko za siebie po raz ostatni zobaczyłam swoją twarz w rżniętym kancie matowego szkła. Było już po wszystkim. Jakbym rzuciła za siebie kamyk – osiem lat pracy. Stuknięcie drzwi malucha, noga na gaz i – mijały mnie całe lata jazd tutaj, sklepy, w których po drodze robiłam zakupy (trzy adamaszkowe serwety, dwie pomarańczowe, jedna niebieska), kawiarnia ze skośnym światłem, rozmowy w niej odbyte. To wszystko gasło za mną prędko, żarzyły się jeszcze tylko sterty wierszy, recenzji, podkreślonych czerwonym długopisem (szkolne przyzwyczajenie), na marginesach znaki zapytania, haczyki, gwiazdki. Oddana pozycja. I zdziwienie, na razie tylko lekki cień niepokoju – budynek nie jest pusty. Przeciwnie. Tłok w nim jak dawniej, bieganina między pokojami redakcyjnymi: tempo to samo, rytm ten sam, i ludzie, ludzie w większości też ci sami. Jedynie ci, którzy przed chwilą spotkali mnie twarzą w twarz z dwiema wielkimi torbami, wypchanymi całym moim redakcyjnym dobytkiem, ci jedynie wiedzieli, że rzuciłam to, czego oni nigdy nie rzuca. Lekkie zawstyżenie, o którym tak łatwo zapomnieć. Przecież i tak wszyscy od lat wiemy, że jesteśmy w tej grze wymieniaalni – jak karty, które, gdy wypadną z talii, natychmiast są zastępowane przez inne. Nikt nie potrafi odróżnić oryginałów od dubletów.

Parę dni później poszłam do fryzjera. Panna Rysia świetnie ścina włosy. Ma jedynie stałe klientki: ktoś z zewnątrz jest u niej bez szans. – Z ulicy nie biorę – powtarza hardo. Zarabia kilka razy więcej niż ja. Kończy liceum zaocznie i ma zwyczaj w trakcie suszenia włosów pobierać u mnie darmowe korepetycje. Polonistka się na nią, jak twierdzi, „uwzięła”, a ona musi koniecznie w maju zdać maturę, żeby się wyrwać z tego piekła na świeże powietrze. Inaczej udusi się w smrodzie kwasów od trwałej, w tych wszystkich farbach, szamponach, odżywkach, utrwalaczach. – Nienawidzę swojej roboty – trajkocze, nawijając następny kosmyk na szczotkę. – Za żadne pieniądze dłużej tu nie wytrzymam.

I po chwili, przekrzykując wizg suszarki, informuje mnie: – Współczesną już wkułam. Pozostał mi jeszcze poeta, Gajca.

– Gajcy, nie Gajca.

– Pani się nie myli? Ona mówiła Gajca.

Rysia nie lubi moich włosów. Są za długie i za gęste.

– Na pani miejscu ścięłabym to wszystko – powtarza za każdym razem z niesmakiem, rozdzielając kosmyki. Teraz za gwałtownie nawinęła jeden z nich na szczotkę, zabolalo, potem zapiekło, zbyt blisko skóry trzyma suszarkę. Rzeczywiście nie jest dzisiaj w formie.

– Ja się tu naprawdę uduszę – mówi ze złością. – No więc co z tym Gajcą?

Od Powstania Warszawskiego, w którym poeta zginął, przeszliśmy do stanu wojennego, zatrzymań, przesłuchań, aresztowań. I nagle, zagłuszając szum aparatów, pan Jan, syn właściciela, zażądał kategorycznie:

– Proszę na te tematy nie rozmawiać.

– Rozmawiam z klientką.

– U mnie w zakładzie proszę bez takich tematów. Wyjeżdżam za granicę i nie chcę mieć kłopotów z paszportem.

Znałam go od wielu lat. Pamiętam, jak terminował u swojego ojca, potem oglądałam dyplomy, a niedawno nagrody z międzynarodowych konkursów.

W jednostajny szum kilku suszarek, w drewniany stukot odkładanych na bok wałków do trwałej ondulacji wdarły się słowa piosenki z radia: „motylem jestem”. Pan Jan, żeby zmienić nastrój, przerwać ponurą ciszę, która zapadła po jego słowach, sygnął dowcipem: – Motylem byłem, ale utylem.

– Skurwysyn – syknęła Rysia tuż nad moim uchem.

Rozejrzałam się. Ten sam, znany mi od dwudziestu lat zakład (pierwszy raz czesałam się tu przed balem maturalnym), dwa pokoiki, za oknami dudniące tramwaje, głowy przechodniów przesuwane jak kukielki nad zazdrostkami na szybach i nagle paraliżujące uczucie obcości. Ostra, biała obcość.

Patrzyłam na twarz kobiety siedzącej nie opodal. Pod nieruchomymi powiekami plastry waty, na nich rzęsy pomalowane henną i czarne, wielkie brwi – maska, obrzękła, nieruchoma maska z zamkniętymi oczami. I ten spokój: martwy, roślinny spokój.

Ucieczki zbiorowe i indywidualne w ciszę, w niemówienie, w elementarną, pierwotną codzienność.

Przestrzeń domowa też nagle się zawężliła. Matka odprowadzała mnie karcącymi spojrzeniami, a każde nasze nagłe wyjście z domu budziło gwałtowną bieganinę rodziców od okna do okna, nasłuchiwanie, podglądanie. Odwiedzający nas podlegali kontroli.

Mięzał, którego znany, chorobliwy lęk przed telefonami po wybuchu stanu wojennego zamienił się w silną awersję, wpadał do nas bez zapowiedzi o różnych porach dnia i nocy.

Godzina dwudziesta druga czterdzieści. Dzwonek. Ojciec już w piżamie! potargana, wielka, siwa czupryna – otwiera drzwi. Widzę tę scenę z ukosa, przez szparę, w smudze światła padającego z gabinetu. Przez sekundę stoją naprzeciwko siebie nieruchomo. Mięzał w kominiarce sięgającej aż do brwi, z twarzą zarośniętą rudym zarostem, z plecakiem przewieszonym przez ramię i ponury, przerażony starzec. Ojciec po dramatycznym okrzyku: – Jezus Maria! – zatarasował sobą drzwi. Nie wpuszczał. Oto wdziera się w ciszę domowego ogniska ewidentny konspirator, zbiegły internowany, groźny kolporter, w każdym razie ktoś na pewno ścigany. A przecież znał Miężala co najmniej od dziesięciu lat.

Rodzice żyjący tuż obok nas, za ścianami, z dnia na dzień stawali się coraz głośniejsi. Mówiąc do siebie – mówili do nas tak, abyśmy słyszeli ich argumenty, aby docierał do nas ich entuzjazm, ich pewność. – Nasza nienaruszalna pewność – podkreślała matka.

Życie biegło teraz dwoma rytmami. Traktowałam podejrzliwie nawet Junga: on też był zadowolony. Przyglądał się nam ufnie swoimi okrągłymi ślepiami. Z nadejściem nocy, posapując z ulgą, włożył do budy. Znowu był bezpieczny.

Ja natomiast coraz częściej, kiedy pracowaliśmy z Edwardem wieczorami (każde przy swoim biurku, każde w swojej plamie światła), traciłam oddech, puls przyśpieszał, łomotał.

Cisza, w której trwaliśmy, była mordercza. Niszczyła z dnia na dzień jak choroba.

Tuż naprzeciwko łóżka – chmury, niżej wróble, łebki i ogony. Patrzę. Jest dobrze. Na korytarzu biegania, szcęk wózków, kroplówki, tlen – nic mnie to nie obchodzi. Tutaj półmrok, wolno zapadający wieczór, jeszcze nie wiosenny, mokry, wietrzny.

Położyli mnie w jedynce. Nadsluchuję swojego serca, Bije normalnie. Zupełnie normalnie, jakby wystarczyła mu ta nagła ewakuacja, te gwałtowne przenosiny, sam zapach szpitala.

Co parę godzin pojawia się w drzwiach Bumek, kolega jeszcze ze szkoły podstawowej, z Różanej, zwaliste chłopisko (jak przystało na chirurga) i zadaje mi stereotypowe pytania: „Jak się czujemy?”, „Podać coś na ból?”, „Serduszko w porządku?”, „Może zgasić światło?”.

Już rozpoznaję stukot jego drewniaków zbliżających się po wykładzinie korytarza. Przy-
mykam oczy i widzę tę długą, szaroniebieską przestrzeń, w środku żółto świecąca kabinę dy-
żurki, otoczoną zapachem kawy. I po raz pierwszy od wielu miesięcy czuję, jak wypełnia
mnie ciepłe światło spokoju. Mam od niego ciepłe dłonie, ciepłe usta i ciepłe, leniwe myśli.
Nic mi nie potrzeba. I zupełnie nieważne jest to pismo, które trzymam w szufladzie nocnego
stolika. Przed chwilą wyjęłam je po raz kolejny i bezmyślnie przyglądałam się jego części
czwartej, ostatniej ćwiartce. Potem przeczytałam ją:

– w Poznaniu. Proponuję Obywa-
em l. 09. 83 r. na tym samym sta-
pujących Szkół podstawowych 5. 42.,
jednocześnie informuję, że w przypad-
ustawy z dnia 26 stycznia 1982
Obywatelka na własną prośbę zostać
nieczynny lub można rozwiązać
Wypłacając odprawę w wysokości
nagrodzenia zasadniczego

Brzmiało to futurystycznie, ale sens można było wyczytać. Dyrektorka, Monika i ja –
otrzymałyśmy przeniesienia identycznie brzmiące, tylko numery szkół podstawowych były
inne. Powód: „zmiany organizacyjne”. Podkoń okazał się nerwowy. Doręczył nam pisma
jeszcze przed ruchem służbowym, już w lutym.

Jako partner okazał się nieprzydatny, psuł jedynie to, co Żarnoskroński ukartował. Bo i po
kiego licha już teraz wręczył nam te pierdolone papierki? Należało działać z zaskoczenia.
Uderzyć w ostatniej chwili, tuż przed wakacjami. A teraz co? Natychmiast zawiązał się ko-
mitet obronny, Komitety Olimpiad przedmiotowych poczuły się oburzone, interweniują ro-
dzice uczniów i sami uczniowie. Zawrzało. Po klasach już trzeciego dnia wędrowały jakieś
pisma, młodzież zbierała pod nimi podpisy. Delegacje jeździły do Warszawy, do minister-
stwa, domagały się na kserokopiach swoich apeli stempelka z sekretariatu ministerstwa:
„wplynęło dnia”. Czekają na odpowiedź, ponaglą.

Leżę w sinych, chłodnych prześcieradłach i nieomal słyszę jeszcze to ciche, padające już,
gdy jestem przy drzwiach gabinetu Żarnoskrońskiego pytanie: – A pani musi koniecznie pra-
cować w szkole?

Rozsypuję je pod przymkniętymi powiekami, jakbym pisała na czarnej tablicy białą kredą.
Widzę każdą literę osobno, okrągłe, lekko przysadziste, gdy ruszę powiekami, chwieją się,
opadają, prószą. Nie wiadomo skąd pojawiają się nagle między nimi czarne, krótkie nitki, ja-
kieś strzępy powidoków. Pruje się to zdanie, przesącza przez powieki, jak przez kilkakrotnie
złożoną gazę.

Na korytarzu rumor. Toczą łóżko, prędko, coraz prędeziej do towarowej windy w środku
oddziału. Zwłoki zasłonięte są prześcieradłem, ale nie do końca, widać na pewno usta, pod-
bródek. Taki podpatrzony kiedyś gest altruizmu wobec chorych (żywych). Można sobie
wmówić, że to ktoś w ciężkim stanie, ale jeszcze z szansą. Teraz szcęknięcie zatrzaszkują-

cych się automatycznie drzwi do windy. Tą samą windą przywożą na górę, na nasze jedenaste piętro, posiłki.

Cokolwiek dzieje się tuż obok, za ścianami, tętno mam nadal normalne i w zapadającym prędko mroku leżę jak na dnie polany w Tatrach.

Czy to był zbieg okoliczności, zastanawiam się, czy dobrze przemyślany chwyt? Szkoła numer 42, w której zaproponowano mi pracę, była moją szkołą podstawową; kamienny kolos leżący na wzgórzu, tuż obok poniemieckiego cmentarza. Może przyszło komuś do głowy, że powrót do niej okaże się dla mnie atrakcją, szansą na dotarcie do minionego, ożywieniem pamięci? Znaczyłoby to, że zebrano o mnie informacje, uporządkowano fragmenty biografii, wyciągnięto wnioski „humanitarne”. Jakże łatwo ulegam mistyfikacjom! Nie było najmniejszego powodu, aby musieli się aż tak trudzić. Jestem dla nich anonimowym przeszkadzaczem, którego jakże łatwo wyeliminować z gry.

Odwracam się do ściany, wciskam głowę w poduszkę, bo na korytarzu półgłosem, szepem, tłumionym krzykiem komentuje się śmierć sprzed chwili. Docierają do mnie popękane słowa, intonacje wzrastające, opadające, jakbym słuchała całego koncertu na głosy, raz po raz człapanie papci, pukanie o wykładzinę balkoników na kółkach, stukot lasek, zacichanie rozmów, gdy zbliża się siostra, szklany łomot tacy z lekarstwami, potem znów gwałtowne przyspieszenie. Nie chcę tego słuchać, nie chcę pamiętać, kto tu na co jest chory, dyskutować o trzustce, oglądać szwów.

Można odgrodzić się od tego, co na zewnątrz, zamknąć oczy i dla pewności zatkać jeszcze uszy woskowymi koreczkami ze szpitalnego kiosku. Szkoda, że dotąd tak rzadko o tym pamiętałam.

Przyznaję, był taki moment, cały dzień, może nawet tydzień, kiedy powrót na Różaną wydawał mi się atrakcyjny. W końcu to była moja pierwsza, poza mieszkaniem, przestrzeń obłaskawiona.

Przecież jeszcze teraz, czekając na wieczorny obchód, przypominam sobie dokładnie taki mały sklepik w suterenie, naprzeciwko szkoły. Żelazna balustrada biegła wzdłuż szyby wystawowej. Trzymałam się jej kurczowo, mocno przechylona do przodu, aby dojrzeć wszystkie obrazki w oknie wystawowym. Cała sztuka polegała na tym, aby z paru widocznych barwnych plam domyślić się całości. Czy sprowadzono już nowe wzory? Czy warto schodzić na dół? Sprzedawca sprawnie wrywał obrazki z arkuszy. Mówiło się: „Trzy aniołki”, „Dwa Jasie i Małgosie”, „I jeszcze raz tę różę z fiołkami”.

W obrazki się grało. Kartki w zeszytce składało się na pół i w co czwartą, третią wkładało się obrazek. Każdy do gry przystępował z własnym zeszytem, ilość obrazków musiała być identyczna. Kto u przeciwnika znalazł obrazek (wkładało się palec między mocno ściśnięte stronicę), miał prawo do dodatkowego ruchu, Gromadzenie błyszczących zwierząt, kwiatów, amorków, układanie ich na stole, tasowanie, przekładanie było fascynującą wędrówką w nieznanie. Traciło się od niej oddech i zapominało o wszystkim, co działo się wokoło. Między oknem wystawowym sklepiku a sceną w auli szkoły istniało zastanawiające podobieństwo. Pamiętam, że odkryłam je natychmiast, gdy tylko stanęłam po raz pierwszy w środku biało oświetlonej przestrzeni i spojrzałam z góry na rzędy widzów. Patrzono na mnie z takim samym napięciem, jak ja na obrazki z wystawy. Dwa światy – prawdziwy i ten udający prawdziwy, ale barwniejszy, nasycony dziwnościami, przyglądały się sobie. Podobieństwo i inność, odpychanie i przyciąganie, iskrzyły się te światy, jakby od sceny i wystawy sypały się prawdziwe iskry.

Cisza patrzenia, celebrowanie patrzenia, wielka przygoda. Na szkolnej scenie grałam Telimenę. Ciotka Bacha dała mi piękny wachlarz. Pamiętałam czasy prawdziwych balów; pociemniała kość słoniowa, w środku błyszczący fiolet. Nauczyła mnie, jak należy go otwierać i zamykać.

Zakręciłam teraz dłonią wokoło przegubu, powtarzając ten spamiętany z dzieciństwa gest, jakbym łudziła się, że razem z nim przywołam światła tamtej dawno zgaszonej sceny.

Najbardziej jednak magiczny, obramowany zwykłą tekturą, a tak suwerenny i nie do przewidzenia – był kolorowy świat kalejdoskopu. Tajemnica w nim ukryta, szklane kwiaty, szklane wzory mnożone w nieskończoność z kilku okruchów szkła. Każdemu obrotowi towarzyszył dobywający się gdzieś z wnętrza chrząst kamyków, które pracowicie budowały nową konfigurację.

Nosiłam kalejdoskop przy sobie, w nocy trzymałam go pod poduszką, bawiłam się nim w czasie przerw, a czasem także na lekcjach.

Okno wystawowe, scena, wnętrze kalejdoskopu – trzy nowe ziemie. Ile czasu musiało minąć, nim wreszcie zrozumiałam, że między nimi a moim dorosłym pisaniem nie ma większych różnic? Bo cóż ja w istocie robię – pisać? Oto stale od nowa ustawiam przedmioty i ludzi. Oświetlam je i podglądam z zapartym tchem przez wąską szczelinę, aż cała ta dzwoniąca, szeleszcząca budowla zakrzepnie, zastygnie w bezruchu.

I nic w tym dziwnego, że dźwigając w pamięci zamrożone, barwne światy dzieciństwa, gwałtownie zapragnęłam zbliżyć się do nich ponownie. Zwiedzać samą siebie, jak salę muzealną, w której przechodzi się wolno od jednego obrazu do drugiego. Ile jeszcze zdarzeń pozornie zapomnianych mogło wrócić?

Tłumaczyłam w domu, że uczenie dzieci też może być zajmujące. Edward przyglądał mi się chłodnymi, twardymi oczami. Sama zresztą doskonale wiedziałam, że pomysł był zwiariowany. Kwestia języka, jak do nich mówić? Jakich słów używać? I co robić, aby zatrzymać ich uwagę, zaczarować...

Monika miała inną koncepcję – sprzątanie szkół. Sprzątać umiemy, uczyć dzieci nie. Niby proste. Trzeba tylko ukryć fakt, że ukończyłyśmy studia. Snuła szaleńcze koncepty, błyskając ku mnie raz po raz swoją niebieską kropką w piwnym, lewym oku. Sprzątaczką są „na wagę złota”, powtarzała, a ja zobaczyłam to dosłownie. W każdej szkole brakuje ich, po dwie, trzy. Nikt nie będzie dochodził, skąd się wzięłyśmy. („Nikogo nie pytamy, skąd przychodzi”, głosili spikerzy TV.) Chcemy pracować i już. „My się brudnej roboty nie boimy”. Zachodnie rozgłoszenie podadzą: „Dwie polonistki i była dyrektorka Liceum im. Słowackiego w P. po usunięciu ze szkoły podjęły pracę na etacie sprzątaczek”. – To brzmiało. Cóż za kąsek dla agend antysocjalistycznych! Chichotałyśmy. Teatr.

Wszedł ordynator z lekarzami, siostra... Badają mi puls, nasłuchują serca, przeglądają ekgę, mierzą ciśnienie. Takie rutynowe obchodzenie ciała. Tropienie czegoś, czego najprawdopodobniej nie ma. Może to jedynie bakcyl, który chwyciłam w Słowackim, który tylko tam się rozwija, kwitnie jak na sztucznej pożywce. Robią mi tu wszystkie możliwe badania: krew, mocz, tarczycę, struny głosowe, krtań, neurolog, prześwietlenie kręgosłupa, zatok. Zgodziłam się na szpital z dnia na dzień, zgodziłam się z lęku.

– Połóż się u mnie – zaproponował Bumek – coś ci znajdą. Po tylu latach pracy nie możesz być zdrowa. Przy okazji podleczysz serce, nerwy. Wyrobimy ci rentę i cześć, bez ichniej ła-ski!

Wiedziałam, że to ucieczka, klasyczna ucieczka w chorobę. Tchórzostwo połączone z determinacją?

Wbijali mi igły w żyły, przez dwa dni co parę godzin kazali pić jakąś miksturę, przykładali do gardła cykający licznik, kładli na chłodnych stołach, podglądali moje wnętrze na wymyślonych aparatach, obracali mną jak przedmiotem, spuszczały na mnie skrzypiące obiektywy, oplatali przewodami elektrycznymi, wsuwali do krtani lusterka – wszystko to znosiłam wyjątkowo cierpliwie, jak Jung, gdy mu się szuka w sierści pcheł.

Potem spałam w środku dnia, spałam tak mocno, jakbym była w górach: ja, którą w domu budzi najłżejszy szelest.

W końcu Bumek zaczął mi się przyglądać podejrzliwie i zamiast, jak dawniej, prędko zniknąć, przysiadł na łóżku, opowiadał dowcipy z cyklu „przyszła baba do lekarza”, dwa razy dziennie przynosił świeżo zaparzoną kawę, a po tygodniu przytachał do sali przenośny tele-

wizor, zamontował antenę i zmusił mnie do oglądania filmów, później kazał mi je streszczać, wypytywał nawet o szczegóły.

Tłumaczyłam mu, że nic się ze mną złego nie dzieje, po prostu wreszcie nie muszę podejmować żadnych decyzji, odmierzać słów, obserwować ludzi, przewidywać, skąd przyjdzie nowy cios. Leżę sobie, śpię, czytam, gdy wołają – idę, cierpliwie czekam w kolejce. Odsłaniam tę część ciała, którą kaza, nabieram powietrza w płuca, oddycham, leżę nieruchomo, siadam, zakładam nogę na nogę, aby mogli puknąć mnie młotkiem w kolano, podaję prawą rękę, nie, nie prawą, w lewej mam lepszy żyły, obserwuję, jak krew ścieka do probówki. Nauczyłam się temu spokojnie przyglądać, przedtem zawsze odwracałam głowę.

– Otworzyć okno? – pyta siostra, biorąc drugą probówkę. – Jeszcze chwilę, strasznie dużo tych badań.

Wszystko to dzieje się płynnie, rytmicznie, podają mnie sobie z rąk do rąk, pochylają się nade mną w skupieniu. Na twarzy ciepły oddech okulistki, jej czoło dotyka mojego, gdy przez rozszerzoną źrenicę bada dno oka. Wciąż czuję tu bliskość fizyczną drugiego człowieka, dotyk. Przesuwanie rąk po skórze, mięśniach, ucisk, szukanie wnętrzości, obmacywanie ich, przymknięcie powiek na sekundę, dwie, aby nic nie rozpraszało uwagi, czujne oglądanie moich reakcji, napięcie w oczach, odginanie ciała, przeginanie.

Przed badaniem gruczołów pod pachą prędko, ukradkiem wytarłam pot chusteczką. Zauważono. – Daj spokój – powiedział Bumek – cóż by ze mnie był za lekarz, gdybym się brzydził potu! – Zaczerwieniłam się. Ciało stale jeszcze jest dla mnie przedmiotem wstydlivym. Krępują mnie te wszystkie dobrze wyćwiczone palce, oczy, uszy specjalistów.

Wiem, że dopiero cierpienie niszczy wstyd. I śmierć. W pokoju obok od wielu dni umierała staruszka. Zauważyłam, jak gwałtownie zareagowały siostry, gdy któregoś wieczoru rozpięła bluzkę pidżamową, zrzuciła kołdrę i leżała całkowicie naga. Nie dała się przykryć. Prędko osłonięto ją parawanem. Ale nie o nagość chodziło. Chroniono śmierć przed naszymi uważnymi, obcymi spojrzeniami.

Jakże dalekie było dla mnie to wszystko, co zostało na zewnątrz, za oknami. Zwłaszcza Gmach. Tkwił tam przecież nadal uwięziony między ulicami, rzędami aut, mocno przyparty do muru boiska. Ani razu w myślach nie weszłam w jego wnętrze, nie wędrowałam po jego korytarzach. Nic, pustka. Pamiętam dokładnie moment, w którym uświadomiłam sobie, że znowu staję się człowiekiem wolnym. Wielkie wyzwoliny.

Odwiedziła mnie Monika. Patrzałam na jej ziemistą twarz, pogłębione zmarszczki, przyglądałam się nerwowym ruchom. Nie mogła spokojnie usiedzieć, chodziła od okna do drzwi, przysiadła na łóżku, poprawiała kwiaty w wazonie, gładziła mój szlafrok, jakby sprawdzała, z jakiego jest materiału, dzwoniła szklankami w umywalce, stuknęła słoikiem z kremem, kubkiem od mycia zębów i jednocześnie mówiła – prędko, głośno. Odwołały się razem z Dyrektorką od decyzji Podkononia do Sądu Pracy. Sędzina, wielka blondyna, po sześćdziesiątce, pamiętająca stalinowskie procesy, upierścieniona, która wszystkich poza odwołującymi tytułowała „magister”, spytała Monikę: – Dlaczego się pani tak upiera, przecież dyrektor pani nie chce. Trzeba mieć trochę godności!

Przegrały.

Słuchałam uważnie, ale jednocześnie nie mogłam pozbyć się wrażenia, że to wszystko dzieje się w innym wymiarze: w świecie, który już minęłam. Przecież jeszcze tak niedawno siedziałyśmy razem w zadymionym pokoju i układałyśmy list do Ministra Oświaty, wierząc naiwnie, że nam pomoże. Miałam założoną, tak jak i one obie, specjalną teczkę z przejrzystego plastiku, w której chowałam po kolei wszystkie pisma, odwołania, kseroksy protestów rodziców, uczniów i obraźliwe lub wymijające odpowiedzi instytucji. „Dla potomności”, mówiła Monika. Razem szukałyśmy wyrażen i określeń – tych jedynych, celnych, tych, które, wierzyłyśmy, odmienią nasz los. Przeżywałam chwile euforii, gdy udało nam się coś szczególnie celnie sformułować.

Teraz żyłam już na innej Ziemi. Z odwagą wyobrażałam sobie własne, krwawe wnętrza, kształt narządów, łączące je drogi pełne pulsujących płynów, wędrujących cieni. To był nowy układ odniesienia, nowa perspektywa, spoza której Gmach wydawał się nieomal nierealny. W przeciwieństwie do układu krwionośnego czy kostnego każdy układ ludzki, każdy Gmach można wymienić na inny. Tutaj pamiętało się o tym przez cały czas.

Mój proces nie wchodził w rachubę. Miałam zwykłą umowę na pół etatu (kiedyś, żeby dostać urlop na pisanie, zrezygnowałam z mianowania). Wystarczyło dać mi trzymiesięczne wypowiedzenie.

Wobec Dyrektorki i Moniki Żarnoskroński zdążył przed procesem w Sądzie Wojewódzkim zmienić podstawę prawną. Na trzy lata przenoszono je do szkół zawodowych, aby podniosły tam poziom! To cyniczne rozwiązanie było zgodne z Kartą Nauczyciela. A jednak w Sądzie Wojewódzkim parę dni temu – wygrały. Podkoń, zawezwany jako świadek, zgubił się. Zapytany, dlaczego podjął tak szkodliwą dla swojego zakładu decyzję, odpowiedział hardo, przechylając się konfidencjonalnie ku sądowi: – Major Toczak oświadczył mi definitywnie, że te panie w Słowackim nie będą pracowały!

– Kiedy oświadczył? Czy to był jeszcze stan wojenny? – spytał Sędzia.

– Nie

– W takim razie nie rozumiem, z jakiego powodu pan z nim tę sprawę konsultował?

W sali rozległ się tłumiony chichot nauczycieli, uczniów, rodziców uczniów, obserwatorów z „Solidarności”. Dopiero wtedy Podkoń zrozumiał, że popełnił błąd. Wyszedł tak przedko, że zapomniał płaszcz, musiał się cofnąć.

Monika usłyszała komentarz Żarnoskrońskiego: – Bęcwał!

– Czemu akurat bęcwał? – zastanawia się teraz głośno; „bęcwał”, powtarza, smakuje to słowo, rozbija na sylaby: bęc-wał. Podchodzi do okna, kładzie dłoń na parapecie i widzę, jak jej rytmicznie drgają, jakby udzielało im się tykanie zegarka z przegubu. Nie umie tego opanować. Masuje palce, w końcu zanurza je w umywalce, w zimnej wodzie.

– Tak mi się teraz robi od czasu do czasu – tłumaczy zażenowana.

– Pamiętasz – mówi po kilku minutach ciszy (woda, bulgocząc w rurach, wypływa z umywalki) – były kiedyś w „Przekroju” dowcipy rysunkowe o Bęcwałskim, wrogu demokracji.

Ktoś uchylił drzwi i cicho je zamknął, zobaczyłam błysk czerwonego szlafroka – sąsiadka z naprzeciwka. Robi swetry dla firmy polonijnej. Obiecała, że nauczy mnie nowego ściegu. Mówią tu na nią „ta z kamieniołomem”. Bumek wyciągnął jej kilka dni temu z woreczka żółciowego całą garść kamieni. Pokazuje je teraz wszystkim. Podchodzi blisko: – Pani patrzy – mówi i hop, tuż przed oczami otwiera gwałtownie dłoń – to miałam w środku!

Kiedy przeczytano werdykt nakazujący anulowanie przeniesienia, ludzie na sali zaczęli klaskać, a jedna z matek chwyciła sędziego za rękę i zaczęła mu dziękować „w imieniu nas wszystkich tu zgromadzonych”.

– Proszę tego nie robić! – syknął.

– No i co z tego? – mówi Monika, otwiera i zamyka dłoń, na ziemię kapią krople wody.

– Co z tego? Już się odwołali od decyzji do Sądu Najwyższego. Jeśli przyjmą rewizję, mam wakacje z głowy.

Obie wiemy, że procesy nic nie pomogą. Wyrok zapadł dawno. Pozostała szamotanina, obijanie się o pręty klatki, walenie w ściany wyłożone dźwiękoszczelnymi poduchami.

W oczach Moniki jest teraz popłoch. Zauważyłam, że nawet kiedy patrzy nieruchomo w jeden punkt, jej źrenice biegają. Chce widzieć. Przynajmniej tyle, widzieć to, co się zbliża, czego nie można ani zatrzymać, ani zmienić.

Któregoś popołudnia, w parę minut po odejściu Edwarda, usłyszałam wołanie „tej z kamieniołomem”:

– Pani Bogusławo, znowu mężczyzna!

W holu pod automatem telefonicznym stał Florek. Jak znalazł mnie w tym szpitalnym labi-

ryncie? Jak zdołał przemknąć nie zauważony przez portiernię? Przecież nie zna wejścia od strony laboratoriów. Co innego, gdyby to był Piotr, ten w ciągu kilku minut potrafi zdobyć każdą informację.

Dopiero teraz, gdy zobaczyłam Florka z dużego oddalenia, stojącego samotnie za szklanymi, wahadłowymi drzwiami oddziału, zauważyłam, jaki jest wysoki, rzeczywiście już mężczyzna, a nie chłopiec patrzący wiecznie gdzieś w bok, o parę centymetrów od twarzy tego, z kim akurat rozmawiał. Przeszkadzało mi to zwłaszcza w czasie odpytywania.

Początkowo podejrzewałam, że ktoś mu podpowiada, a on z bezgłośnego ruchu warg usiłuje wyczytać odpowiedź. Nie spuszczałam wzroku z tego, na którego, jak mi się wydawało, Florek patrzy. Obserwowany kręcił wtedy przecząco głową, że nic podobnego, rozkładał ręce, ja mu odkiwowałam, że no dobrze, w porządku, pomyliłam się. Florek tymczasem w trakcie tej pantomimicznej sceny skupiał się, brał rozbieg, aby po chwili spokojnie, równo, beznamiętnie odpowiedzieć na pytanie. Nie wiem nawet, czy orientował się w sytuacji, czy uświadamiał sobie moje podejrzania, dostrzegał wymianę naszych gestów. Później już zawsze, póki nie zaczął mówić, pochylałam się nad dziennikiem udając, że studiuję listę ocen.

Teraz przyszedł z misją. (Dlaczego właśnie on?) Czytam to w jego twarzy, nawet znam pytanie, które mi za chwilę zada. Siadamy obok siebie na ławce i mówimy w lenteksową przestrzeń posadzki, w kremowy beżmiar holu:

– Czy pani profesor wróci do nas?

– Wygląda na to, że nie.

– A matura? – To trwa krótko, ale trwa, Florek błyskawicznie obraca głowę i patrzy na mnie w napięciu przez sekundę, dwie.

– Nic nie wiem, moje dziecko, zupełnie nic – odpowiadam.

I to „moje dziecko”, które mi się nagle wyrwało, skierowane do tego wielkiego dryblasa, zaskoczyło i mnie, i jego.

– Mam dla pani profesor coś dobrego – mówi nagle ciepło, o ton niżej – coś od klasy, żeby pani profesor było tutaj słodziej. – I wyciąga zza skafandra ogromną bombonierkę.

– Przekupujecie mnie? – pytam.

Kładzie mi ją na kolanach. Otwieram. Jemy, ja czekoladkę, on czekoladkę. Milczymy. Ale nie jest to cisza krępująca. Każdy z nas myśli teraz o tym samym: nasze losy, jego, klasy, mój – jak się one dalej potoczą?

– Na co idziesz? – pytam wreszcie.

– Chcę na polonistykę.

Zaskoczyło mnie to. Miał trójkę w trzeciej klasie. – Dam radę – uspokaja mnie – mocno się uczyć.

– Kto mnie zastępuje?

– Mniejsza o to – odpowiada. Domyślam się, że nie chce mnie denerwować, że coś tam jest nie tak z tymi zastępstwami. Zapomniałam o nie zapytać Monikę.

– Chcę wiedzieć, kto uczy? – nie ustępuję.

– Taki jeden, nowy. Podobno ma w przyszłym roku dostać pełen etat.

Po chwili milczenia, zawstydzony, dodaje jednak w imię prawdy:

– Gdy się odwraca, rzucają w niego papierkami.

To było coś absolutnie niewyobrażalnego.

– Kto rzuca? Wy rzucacie? Piotr rzuca? Stefan rzuca? Co ty opowiadasz?

– No, nie akurat my, ale rzucają.

Minął jeszcze tydzień mojego biologicznego, szpitalnego trwania, zanim pojawiły się pierwsze, początkowo drobne zakłócenia rytmu. Najpierw, żeby ponownie zasnąć, wystarczyło zmienić pozycję w łóżku, potem musiałam już otwierać okno, a w końcu zaczęłam wędrować po korytarzu. Dzwoniłam do Edwarda lub do Moniki, odwiedzałam szpitalną kawiarnię. Puls badałam już bez lęku, że znowu naliczę sto sześćdziesiąt na minutę. W nocy odwie-

działam znajomych lekarzy w izbie przyjęć (zaczęłam nawet myśleć o napisaniu reportażu), plotkowałam z siostrami, lub leżąc z otwartymi oczami wsłuchiwałam się w życie szpitala. Dopiero teraz docierały do mnie gdzieś zza ścian jęki, wołania o pomoc, czasem trudno było ustalić czy to z góry, czy z dołu; dzwonki alarmowe, biegi przez korytarz, nerwowe, prowadzone szeptem rozmowy lekarzy. Potem zaczęto mnie coraz częściej widywać z podsuwaczami. Znosiłam je lub wynosiłam do „brudownika”, zmieniałam powłoczki, dźwigałam jedzenie, karmiłam staruszkę leżącą na wyciągu, zbierałam brudne naczynia, parzyłam chorym herbatę. Drzwi do mojego pokoju były teraz otwarte, chciałam „mieć oko” na salę naprzeciwko, gdzie co dwa, trzy dni operowano kogoś nowego i gdzie pomoc „chodzących” była niezbędna. Bumek przestał już tak często do mnie zaglądać, a mijając mnie na korytarzu poklepywał po ramieniu i powtarzał: – Maluczko, a wyjdiesz. – Dali mi sublokatorkę. Sama wychowała trójkę dzieci i po parę razy dziennie powtarzała, że w innym ustroju byłoby to niemożliwe. Umówiliśmy się, że nie oglądamy dziennika. – Ta pani ma inne poglądy niż ja – słyszałam, jak komentowała ten fakt w sali obok. – Denerwuje się przy wiadomościach, a stan jej serca...

Pierwszą noc mocno chrapała; gdy gwizdnęłam, był spokój przez pięć, dziesięć minut. Rano patrzyła na mnie spod oka, niezbyt życzliwie, wreszcie spytała wprost: – Jednego nie rozumiem, dlaczego pani całą noc gwizdała?

Matura! Dwie klasy maturalne – teraz był to już dzwonek na lekcję. Wyrwał mnie gwałtownie ze snu. Budził nad ranem tak intensywnie, że kilkakrotnie wyskoczyłam z łóżka i dopiero gdy stanęłam boso na zimnej posadzce, uświadamiałam sobie, gdzie jestem.

Przyspieszoną akcją mojego serca uznano za wadę czynnościową. Oznaczało to, że jest, póki jest, i minie, kiedy minie, jeśli minie. Poza tym nie znaleziono w moim ciele niczego alarmującego, same stany przewlekłe, skrzywienia już nie do odkrzywienia. Najgorzej było z kręgosłupem. – Od tego się nie umiera – powiedział Bumek – od tego się cierpi.

Podsumowali mnie w swoich gabinetach, wertując stopy kartek z wynikami, raz jeszcze oglądając zdjęcia moich zdeformowanych kości, rozpulchnionych zatok z płynem i torbielą, wyważali długość zwolnień, kolejność komisyjnych badań. Wynikało z nich jasno, już nie wrócę do Gmachu. Do szkoły w ogóle. Dopracowałam się jedynej zawodowej choroby nauczycielskiej – gruźelki na strunach głosowych. Wolno mi mówić tylko półgłosem i to niezbyt długo.

– Masz to z głowy – oświadczył Bumek – dosyć się natyrałaś, dostaniesz stuprocentową rentę. Nie chcę cię, to nie! Bez łaski.

Dwie nogi w jednej nogawce, tak się zaczynam czuć – pomyślałam, doskonale to pamiętam, akurat przed gabinetem ginekologa. Obok na wózku inwalidzkim osiemdziesięcioletnia staruszka zawodziła jednostajnie: – Taki wstyd w moim wieku, taki wstyd...

Co będzie z maturą? Ilu ich jest dokładnie? Sześćdziesięciu pięciu. Kto ich będzie pytał – rozważałam, rozbierając się prędko za parawanem, żeby ta babcia z korytarza jak najkrócej czekała, szlafrok, rajstopy, majtki. Jakiś młody lekarz, odwrócony do mnie plecami mył ręce, pogadywał wesoło z pielęgniarką, pukały o szkło narzędzia. Wdrapałam się na fotel, siostra wsadziła mi nogi w uchwyty, usłyszałam charakterystyczny gumowy szelest wkładanych rękawiczek. Lekarz się odwrócił, popatrzył na mnie i:

– O, pani profesor! – Palce prawej ręki wsunął mi głęboko do pochwy, lewą starannie naciskał brzuch.

– Pracuje pani jeszcze w Słowackim? Słyszałem, że ma pani jakieś kłopoty, to prawda? – spytał rzeczowo. Wojtek! Wojtek, któremu poprawiłam w pracy maturalnej trzy błędy ortograficzne. Zachichotał widząc, jak się zaczerwieniłam: to ten sam jego zaraźliwy śmiech, dochodzący zawsze z ostatniej ławki po lewej stronie.

– Nie mogłeś z tym przywitaniem poczekać, aż zejdem? – spytałam.

– I tak by mnie pani profesor poznała. Przynajmniej się zemściłem za wszystkie gole z

czterech lat!

Od ginekologa poszłam do kolejnego ekage. Robił mi je sam ordynator czynnościówki. To nie był przypadek. Zajmowali się mną tu wyjątkowo starannie. Deptałam na rowerze przepiślowo pod czujnym okiem lekarza i siostry, starając się uregulować oddech, zmniejszyć walenie serca. Może powinnam im wytłumaczyć, że jestem wytrącona z równowagi, odwołać badanie.

– No, nie jest dobrze... – powiedział po chwili wolno, rozwijając szeleszczący wykres – ale mój jest gorszy!

Pakowałam się prędko. Ubijałam w torbie swoje rzeczy. Na szczęście udało mi się je przechować w pokoju, w szafce. Sprawdziłam jeszcze, czy mam pieniądze na taksówkę. Do siatki, pożyczonej od współlokatorki, schowałam grzałkę, kubek, cztery książki. Wymknęłam się z sali tak, aby nie zobaczyła mnie oddziałowa. I dopiero w domu zadzwoniłam do Bumka, że mu bardzo dziękuję i przepraszam, po wypis zjawię się w poniedziałek. Nie chcę żadnych zwolnień, komisji i renty. Prędko, nim zdążył cokolwiek powiedzieć, odłożyłam słuchawkę.

* * *

Na maturze pisemnej dyżurowałam w auli. Moje dwie klasy siedziały po lewej stronie przejścia. Wszystko odbywało się według ustalonego rytuału. Te same czynności, sprawdzanie pieczęci na kopertach, otwieranie kopert, odczytywanie pytań, mozolne pisanie tematów na dwóch ogromnych tablicach. Potem zejście na dół, między młodzież, informacje o brudnopisach, czystopisie, marginesach, planie prac itd. Twarze uczniów takie same jak co roku, nagle jakby mniejsze, z czujnymi oczami. Zaskakujące podobieństwo między nimi, na pierwszy rzut oka dziesiątki wersji tego samego modelu. Chodzę pomiędzy stolikami rytmicznie, jak po klasie w trakcie lekcji. Po raz ostatni jesteśmy tu wszyscy razem. Podczytuję ich notatki, konспекty, czasem uderzę palcem w miejsce, gdzie powinien być przecinek. Niektórych to rozprasza, wybija z rytmu, gdy jestem blisko, pochylają się niżej nad papierem, osłaniają go przede mną, inni – przeciwnie – unoszą ku mnie twarze z niemą prośbą. Wiem, że nie uspokoją się, póki nie przeczytam ich planów i nie kiwnę głową: może być.

Mam o każdym z nich rozległą wiedzę, która już za kilkanaście dni okaże się zupełnie zbyteczna. Nadmiar szczegółów, z którymi nie wiadomo co robić. Czasem wracają po latach z zaskakującą wyrazistością (jak choćby ten śmiech Wojtka – ginekologa, cała fraza).

Czytam plan Laury (zupełnie dobry), patrzy na mnie z napięciem, próbując z wyrazu oczu wyczytać, czy jest sensowny, czy nie. Jednocześnie ściga mnie nadal ten szpitalny, ściszony chichot Wojtka. Ile lat temu siedział na tej sali, dziesięć, dwanaście? Tego już nie ustalę. W którym miejscu? Zatrzymywałam się przy nim, czy nie? Chyba tak, miał przecież kłopoty z ortografią. Identyczne zresztą jak Laura. No tak, w słowie „oryginalny” brakuje litery „y”. Dotknęłam tego słowa palcem, ale Laura nie rozumie, zdziwiona unosi w górę brwi. Trudno.

Florek siedzi przy ostatnim stole i jeszcze nie pisze. Patrzy przed siebie. Stoję na linii jego spojrzenia, ale dla niego jestem wycięta z przejrzystego papieru. Skupia się intensywniej od kolegów. Spuścił głowę i dłonią lekko, automatycznie gładzi papier, jakby go wyrównywał, badał fakturę. Nim ostatecznie wybierze temat pracy, ułoży sobie w myślach wszystkie trzy plany, potem spokojnie porówna je, dokładnie wymierzy swoje szanse – to jeszcze potrwa, co najmniej pół godziny. Piotr siedzi tuż koło mnie. Widzę jego nisko pochylone ramiona, włosy ścięte na jeża. Piszę prędko. On już nie tylko wybrał temat, ale jest na pełnym rozbiegu. Oczywiście, swoim zwyczajem opuścił plan. – To tylko haczy, pani profesor – tłumaczył mi wielokrotnie – hamuje, niszczy mi inwencję.

Poszliśmy więc na kompromis: Piotr po temacie zostawia stronę wolną, na której już po napisaniu wypracowania rekonstruuje plan całości, a ja udaję, że tego nie widzę.

Powtarzalność całych lat, scen, sytuacji, ludzi, powielanie czasu, zataczanie kół stale wo-

bec tego samego ośrodka – Gmachu, wydało mi się nagle, może po raz pierwszy – marnowaniem życia. Spojrzałam ku podium. Cztery stoły zestawione ze sobą są przykryte wielometrowym, zielonym sukniem. Gdzieś tam na środku jest duża, ciemna plama. Kilka lat temu przewróciła mi się w tym miejscu szklanka z kawą. Błyskawicznie odsuwałam wtedy stopy papierów, ratowałam zagrożony protokół z matury.

Bez żadnego sentymentu, przeciwnie, z zimną satysfakcją pomyślałam, że ten zaciek pozostanie tutaj uwięziony w niciach jeszcze przez wiele lat, gdy ja tymczasem będę już wolna.

Po raz ostatni, jak mówiła matka, „odbierałam” w Słowackim maturę. Nie było we mnie gorczy, może jedynie z większą niż normalnie uwagą rejestrowałam różne szczegóły, na przykład oświetlenie auli.

Dopiero teraz zauważyłam, że oprócz secesyjnego kandelabra, wiszącego na środku, światło prószło jeszcze zza stiuków, wprost w biały sufit. Przez trzy umieszczone wysoko nad podium okna wpadało słońce. Trzy żywioły światła: ostre, dzienne, neonowe zza stiuków i mleczone z żarówek otoczonych płatkami porcelany zmieszały się teraz pod sufitem, tworząc pulsującą poświatę, przypominającą oświetlenie ze starych zdjęć.

Są w naszym albumie rodzinnym trzy zdjęcia z tej auli. Pierwsze na tle jednej ze ścian bocznych zrobiono wiosną 1928 roku. Klasa maturalna Seminarium Nauczycielskiego. Ojciec siedzi na pierwszym planie między kolegami-nauczycielami. Dorabiał w Seminarium jako student polonistyki. Prawa ręka wciśnięta głęboko za zapięcie marynarki, stopa prawej nogi założona za lewą łydkę. W tej pozycji jest wygodnie tylko mnie i jemu, odziedziczyłam ją po nim: jak kształt dłoni, czoła, wyraz oczu. Nad ojcem, w trzecim rzędzie, między swoimi koleżankami stoi matka. Włosy założone za ucho. Jest piękna z tymi regularnymi rysami Madonny. Jeszcze są sobie dalecy, jedynie nauczyciel i uczennica. Gdzieś tu (w którym miejscu?), tuż po rozdaniu świadectw, całą grupą w radosnym podnieceniu ustawiali się hałaśliwie przed aparatem fotograficznym. Znosili krzesła, ławki, rozsuwali się, tasowali, aby nikt nikogo nie zasłaniał. Drugie zdjęcie jest z balu absolwentów, który odbył się w auli, po kilku latach. Ojciec nie umiał tańczyć, więc tylko mijał, tylko oglądał roztańczone pary, dotykał swoim ciężkim spojrzeniem sukien, ciał, włosów podpiętych, unoszących się w powietrzu. Dawno zdecydował, że żonę znajdzie sobie w klasie matki. Mógł wybierać. Przechodził między dziewczynami, rozglądał się uważnie. Czy dojrzał matkę w walcującym tłumie? Jej małą, gładko zaczesaną głowę? Może akurat tutaj, gdzie właśnie stoję, pomyślał jej imię, rozejrzał się – szukając jej wzrokiem, albo przedzierając się przez salę zahaczył dłonią o jej długi szal. Na zdjęciu matka stoi obok obcego mężczyzny o kwadratowej twarzy, ojciec daleko od niej, z boku, ze swoim nieobecny uśmiechem. Ma taki uśmiech, który zakłada jak maskę, gdy coś, co dzieje się wokół niego, jest mu absolutnie obce. Dopiero w parę miesięcy po tym balu umówili się w kawiarni.

Trzecie zdjęcie z naszego albumu zostało zrobione w auli w 1978 roku, na zjeździe wszystkich przedwojennych roczników Seminarium. Na tle głównego wejścia około dwięćdziesięciu starych kobiet i kilku bardzo starych profesorów. Ojciec siedzi w środku z naręczem kwiatów, a matka daleko, z tyłu, wśród przyjaciółek. Dla ojca praca w Seminarium była tylko studenckim epizodem, ale matka pracowała tutaj po zakończeniu szkoły, aż do wybuchu wojny. (Przy Seminarium była podstawowa szkoła ćwiczeń.)

Wędrują więc nadal po Gmachu cienie rodziców, ich myśli, uśmiechy, jakieś spojrzenia wprost w oczy i całe zdania. Ich kroki, powtórzone przez echo na parterze, zostały niespodziewanie połączone z echem moich kroków, z moim codziennym biegiem przez klatkę schodową. Splecione pozostaną tutaj, chcę w to wierzyć, na zawsze: uwięzione pod płaskim dachem Gmachu. Przed wojną był na nim taras widokowy. Tutaj także zrobiono zdjęcie. Zastanawiający jest ten dawny kult przestrzeni, ta chęć utrwalania mijanego – w porównaniu z dzisiejszym lekceważeniem miejsc, w których żyjemy, przekonaniem o ich bylejakości, tymczasowości. Wszyscy są w rozwianych ubraniach, widocznie wiał silny wiatr, otoczeni uniesio-

nymi w górę szalami, falbanami, połami płaszczy. Matka jest już parę lat po ślubie, dorosła kobieta, nauczycielka ze stażem.

Nagle szum na sali, uczniowie unoszą głowy, patrzą w stronę drzwi. Podkoń prędko wstaje i prawie biegnie do wejścia, taki ciężki kłus przez podium, schody. Wprowadza na aulę Żarnoskrońskiego; wizytator niski, chudy, z ptasią twarzą i dyrektor zwalisty, z falą włosów opadającą na czoło. Zarządcy, właściciele auli, szkoły, uczniów, Polski.

Patrzę na nich z daleka, zza głów młodzieży (usiadłam z tyłu), obserwuję, jak pochyleni szepczą sobie coś wprost do uszu. Przypominają mi „namawiających się” chłopaków: zaraz wspólnie wybiją szybę lub spiorą kolegę. Wiem, że powinnam traktować ich poważnie, coś się tam wyraźnie knuje przeciwko nam, coś wylega się przy stole komisji... Monika siedząca obok (pracuje nad protokołem z matur) udaje, że ich nie słucha, a przecież słucha w napięciu. Nie spuszczam wzroku z jej twarzy, nagle staje się czujna, przypomina twarze maturzystów. Boi się. Czego się boi? Co jeszcze mogą nam zrobić? – Mam was gdzieś – pomyślałam, wstając. Przeszłam parę kroków, odwróciłam się plecami do podium, aby wreszcie nie widzieć tych cholernych, spiskujących łobuzów.

Po wyjściu Żarnoskrońskiego (znowu szum na sali, skrzypnięcie drzwi) Podkoń zszedł do mnie, na dół. Usłyszałam jego kroki za plecami.

– Dostałem polecenie... – powiedział przejmującym szeptem, paru uczniów podniosło głowy, patrzą na niego tępo, przeszkadza im, rozbija myśli. – Polecono mi, aby prace maturalne pani uczniów i profesor Dendzik przekazać do Kuratorium. Musi je pani poprawić przynajmniej o dzień wcześniej niż inni poloniści. Rozumiemy się?

* * *

Na rynku, w powietrzu tak nasyconym słońcem, że jest jak przedmiot z kryształu, rzecz osobna, w której środku ludzie poruszają się wolniej niż zazwyczaj, jakby płynęli pod prąd – zobaczyłam Janę i Kiejstuta. Jana wybierała jarzyny. Wiedziałam, że potrafi znaleźć te najdrodniejsze. Ze stosu selerów wyciągnie na pewno tego jednego, którego nie naruszył mróz.

Szli naprzeciwko mnie między straganami. Nie mogłam już zboczyć ani na prawo, ani na lewo. Minęliśmy się więc o krok, dwa, bez słowa. Tylko kiwnięcie głowami. Zabolało i mnie, i ich. Było w tym okrucieństwo naszych czasów, szara miazga, w której tkwimy po uszy, szary kurz, może piasek, w każdym razie grzęźliśmy w tym coraz bardziej. Pod pachą dźwigałam sześćdziesiąt pięć prac maturalnych. Sama je niosłam do Gmachu, aby Podkoń mógł je jak najwcześniej przekazać do kontroli. Żarnoskroński miał nadzieję, że zdoła w nich wytropić sądy nieprawomyślne, akapity świadczące, iż uprawiam na lekcjach „antysocjalistyczną propagandę”. Mogli to zrobić bez mojej wiedzy, ale chcieli widocznie, abym przy każdym nowym wypracowaniu przeżywała upokarzający lęk, abym po parę razy przeglądała każdą stronicę, roztrzasała zdanie po zdaniu, tropiła rzeczy, których nie ma, bawiła się we własnego oskarżyciela.

I rzeczywiście, wyczytywałam wczoraj w nocy Edwardowi przez kilka godzin krótsze i dłuższe fragmenty, konfrontując mój sąd z jego sądem. Czy aby z danego sformułowania nie można wypreparować, wyrwać z kontekstu jakichś oskarżających mnie słów?

Był moment, że chciałam podejść do Kiejstuta i Jany, i pozalić im się. Opowiedzieć ze szczegółami o tym, co dzieje się w Gmachu. Umieli słuchać. Kiejstut potrafił pocieszyć, pomóc. Pochylał się nisko ku mówiącemu, „gulgotał” gardłowym, głębokim basem. Towarzyszył mówieniu, wyrażał swoje oburzenie, podziw lub aprobatę. Teraz jednak wiedziałam na pewno, nie byłaby mu moja wiedza poręczna. Jak ją oswoić? Jak pogodzić się z faktami? Uznałby ten typowy, realizujący się w Gmachu scenariusz, za rzecz jednostkową, splot przypadków. Chora sytuacja jako wynik działania kilku niepoczytalnych maniaków, jedynie prywatna zemsta, a nie reguła i powrót do wypróbowanych mechanizmów. Moje

„czarnowidztwo” przeciwko jego pozytywistycznej nadziei, mój pesymizm przeciwko jego energii.

Oddalaliśmy się od siebie. Oni zostali na rynku, w jego straganiarskich wnętrznościach, w przestrzeni nasyconej światłem, ze słońcami sałat i palącymi się górami rzodkiewek, a ja jechałam już w dusznym tramwaju z zimnymi dłońmi i ciężką teczką. Zamiast radości (nikt nie napisał na niedostateczny i mogłam z czystym sumieniem dać piętnaście bardzo dobrych i aż trzydzieści sześć dobrych!) czułam mokry, spocony niepokój i serce. Znowu wiedziałam, że mam serce.

* * *

Ciotka Bacha umarła w środku ustnych matur. Przez siedem dni od rana do wieczora słuchałam moich uczniów. Zdawali dobrze. Nie ulegało wątpliwości – to była z m o w a. Chcieli mi pomóc. Łudzili się, jeszcze się łudzili, że ich oceny będą „pracowały na moją korzyść”. Podkoń uśmiechał się, był miły, w przerwach parzył kawę, częstował drożdżówkami. Nie miałam wątpliwości: zawieszenie broni przed generalnym atakiem.

Nie mogłam pojechać na pogrzeb Bachy, trzeba by było zmieniać cały harmonogram matur, ale jednocześnie, to prawda, nie chciałam jechać. To ja rzuciłabym pierwszą grudkę ziemi na jej trumnę. I tak słyszałam, nie słysząc przecież, jak głucho uderza o drewno, a potem rozpryskuje się po wieku, a zaraz po niej prędko, coraz prędszy gruchot pełnych łopat ziemi. Pośpiech grabarzy, to widoczne nagłe przyśpieszenie tempa. Zawsze tak jest – chcą, aby trumna zniknęła jak najprędzej, aby wreszcie nie było widać jej okuć, blasku drewna. Jest w tym coś z nienawiści. Nienawidzą śmierci czy swojej przy niej pracy? A może to litość? Maksymalnie skrócić czas zasypywania. Płaskimi uderzeniami łopat sprawnie formują grób, rzucają wieńce...

Nie chciałam tego oglądać. Pod moimi powiekami Bacha nadal pochylała się nade mną, wkładała mi jabłko pod poduszkę, śmiała się odchylając głowę do tyłu i śpiewała swoim niskim głosem: „chryzantemy złociste w kryształowym wazonie”. Widziałam jej gołę, zaczerwienione od zimnej wody ciało, jej wielkie piersi dotykające brzucha.

– Dlaczego nie zamykasz łazienki? – strofowała ją matka.

– Też coś, wielkie rzeczy! I co się stało? Zobaczyłaś moją gołą rzyć! – śmiała się Bacha i podstawiła kark pod strumień wody.

– Nie mogę na to patrzeć, ty się zaziębisz na śmierć.

„Zaziębisz na śmierć” – przypominały mi się te słowa i wracały przez całe przedpołudnie. Za każdym razem były jak uderzenie gongu w teatrze tuż przed podniesieniem kurtyny. Wejście w inny wymiar. W pewnym momencie chwyciłam się na tym, że zamykam uszy dłońmi, jakby ten metalowy brzęk był nie we mnie w środku, a gdzieś na zewnątrz: „zaziębisz się na śmierć”. Podkoń spojrzał na mnie z niepokojem i zapytał: – Może zrobimy przerwę?

Przedłużyłam życie ciotki o całe trzy tygodnie. Trzy tygodnie nie widziałam jej świeżego grobu w jasnym, prawie morskim piasku. Na takim piachu lubiła leżeć godzinami owinięta w prześcieradło, słuchając bicia fal. Jedyne dużym wysiłkiem woli zdołałam później opanować ochotę, aby podnieść do ust grudkę piasku i spróbować, czy nie jest słony. Może dociera aż tutaj gdzieś podskórnymi drogami woda morska? W rzeczach Bachy nie znalazłam pękniętej srebrnej bransoletki z przedwojenną złotówką. Chciałam ją mieć z powrotem. Talizman? Ciotka wzięła ją ode mnie, gdy okazało się, że już jej nie można złutować.

Ostatnia fala moich uczniów przewaliła się przez Gmach, odbiła się od niego i popłynęła. Wiedziałam, że niedługo stracę ją z oczu. Wymówienie Podkoń wręczył mi po egzaminie Stefana Z., ostatniego z listy zdających. Zeszliśmy do gabinetu dyrektora, podpisałam, włożyłam pismo do torebki, wyszłam.

Gdyby on wiedział jaki spokój był we mnie, jaka cisza: – Każdy układ, poza układem

krwionośnym, można wymienić – mówiłam do ciotki w myślach, zamykając bramę Gmachu. Każdy ludzki układ.

* * *

Żarnoskroński spytał, nie ukrywając zdziwienia:

– Pani podobno chce pracować w szkole?

– Pracuję od dwudziestu trzech lat.

– Tak, wiem. Do dyspozycji pozostały tylko zawodówki. Rozmawiałem już wstępnie z jednym dyrektorem z Zespołu Szkół Elektrycznych, on by ewentualnie zaryzykował i wziął panią na parę godzin do wieczorówki, z tym, że sprawa sfinalizuje się dopiero w końcu sierpnia. Uczyła pani jego syna czy kogoś takiego – wypił łyk kawy i teraz wolno, dobitnie: – Nie będę pani umoralniać ani wychowywać, ale do tych uczących się robotników trzeba mieć serce!

Myślałam, że wstanę i dam mu w mordę, ale zamiast tego spytałam rzeczowo:

– To znaczy, że do września nie będę wiedziała czy pracuję, czy nie?

– Przecież pieniądze pani otrzymuje! – podniósł głos.

– Ja nie mówię o pieniądzach, tylko o pracy – powiedziałam jeszcze głośniej.

Patrzyłam mu prosto w oczy. Nie spuszczał wzroku, ale był poirytowany. Niby mnie wyrzucił, jak mu jednoznacznie polecono, a jednak nie wyrzucił. Do końca miał więc nadzieję, że zdoła mnie obrazić, upokorzyć, że się sama wycofam.

– Rozumiem, że się pani czuje rozżalona – powiedział kiedyś.

– Rozżalenie? To ostatnia rzecz, jaką mogłabym poczuć.

– A co pani czuje? – spytał prędko, jak na przesłuchaniu.

Nie wliczył mojego oporu i uporu broniących nas ludzi. Zrobili wszystko, co w tej sytuacji można było zrobić. Sprawa stała się głośna. A moje miasto nie lubi takiego rozgłosu.

Ten zwariowany pomysł, aby Monikę i Dyrektorkę przesunąć na trzy lata do szkół zawodowych dla podniesienia w nich poziomu, musiał kosztować Żarnoskrońskiego kilka nie przespanych nocy.

– Mówią, że u nas nie ma demokracji – zauważyła wzgardliwie Piggie – a trójki nauczycieli nie można zwyczajnie wyrzucić!

* * *

Wróciliśmy z gór ostatniego sierpnia, tuż przed nowym rokiem szkolnym. Jeśli chcę nadal uczyć, a chcę, muszę brać, co mi dają. Nie mam wyboru.

Mieszkanie przegrzane, ze stojącym w powietrzu kurzem, wypełniał odór z rur wodociągowych. Otworzyłam balkon w kuchni, puściłam wodę pełnym strumieniem. Jung wyciągnął się na dywanie. Dochodził do siebie po dziesięciogodzinnej jeździe syreną. Po paru minutach kichnął z podniecenia, wstał, powąchał swoją wiklinową budę, włożył do środka, obrócił się w kółko dwa razy, jakby sprawdzając, czy leże ma nadal właściwą długość (przynajmniej on odzyskał swoją przestrzeń!). Wylazł, skoczył na fotel. Zwiedzał swoje domowe królestwo, a jego uśmiechnięty pysk mówił wyraźnie: – Może być! Dostyc już tego szlajania się po świecie.

Edward wnosił bagaże. Szamotał się z nimi na korytarzu, coś mu spadło na podłogę, chyba torba z książkami, gdy zadzwonił telefon:

– Pani profesor? Nareszcie! Tu Piotr. Chciałem tylko powiedzieć, że jutro o jedenastej u dominikanów są obłóczyny Florka. Bardzo mu zależy, żeby pani profesor przyszła. Ja tak dzwonię już od kilku dni, co parę godzin.

– Obłóczyny Florka? Co ty gadasz, przecież on zdał na polonistykę!

– Wziął urlop dziekański i wstępuje do klasztoru.

* * *

Wieczorem przyszła Monika z Ryniem. Rozgorączkowani, podnieceni. Pili herbatę i prędko, nieuważnie jedli kruche ciasteczka. Monika kładła swoje ciastko raz na talerzyku Rynia, raz na swoim. Patrzała na mnie – nie widząc mnie. Mówiła do nas, pochylając się jednocześnie nad Jungiem, który walczył z pchłami. Znów je chwycił, tym razem od wiejskich kundli.

– Strasznie się wierci. Chory? – spytała.

– Zdrowy. Ma pchły.

Cofnęła gwałtownie nogi, przesunęła krzesło.

– Jeszcze tylko tego brakowało, żebym złapała pchły.

Chemiczka odeszła ze szkolnictwa. Prowadzi recepcję w zajeździe gdzieś pod Poznaniem. Taki nauczyciel! Proces w Sądzie Najwyższym ma się odbyć dopiero w końcu listopada. Do tego czasu razem z Dyrektorką będą swoje etatowe godziny odsiadywać w pokoju nauczycielskim. Tak im poradził adwokat. Lekceważąc wyrok Sądu Wojewódzkiego Podkoń zatrudnił już na ich miejsca nowych nauczycieli. Ale to nie jest istotne, to należało przewidzieć, z tym nie przyszliby do nas tak nagle, bez telefonu: jest coś znacznie ważniejszego.

Dzisiaj po konferencji przekazano Monice w wielkiej tajemnicy, gdzieś w mrocznym zakamarku Gmachu, pewną wiadomość. Nie, nie może powiedzieć, kto to nadał, lepiej nie...

Rynio przeszedł przez pokój, odsunął firankę, spojrzął na dół. Za szybami – podwórze z ogromną czereśnią i ogrodem; dokładnie je obejrzał, zlustrował wszystkie okna oficyny i dodatkowo okna klatki schodowej. Wszędzie pusto. Trochę się uspokoił, ale już nie usiadł, stoi za zasłoną.

Monika ma wątpliwości. Nie wiadomo, może ta informacja została specjalnie spreparowana, a teraz śledzą, komu ją przekazuje. Nie można tego wykluczyć. W każdym razie „cynk” pochodzi podobno wprost z ulicy Jana z Czarnolasu. Przeciek. Rzecz ma się tak. Rozpracowano organizacje młodzieżowe w Słowackim. Mają zamiar na redakcję pisma międzyszkolnego. Organizacje są trzy. Znają już wszystkie nazwiska, większość to tegoroczni absolwenci. Aresztowanie ich to kwestia czasu.

– A teraz uważaj – Monika usiadła, przytuliła Junga (zapominając o jego pchłach). – Dobrze uważaj! Padło ciekawe zdanie, brzmiało mniej więcej tak: „Ale ten najważniejszy uciekł nam do klasztoru”.

Było słyhać, jak ktoś na dole uderza wiadrem o pokrywę kubła ze śmieciami, usiłując wytrząsnąć jakieś poprzyklepiane do dna resztki. Rynio nadal uważnie obserwował podwórze.

– Rozumiesz coś z tego? Uciekł im do klasztoru. Kto im uciekł?

* * *

Nie umiałam zasnąć. Po zasłonach wędrowały prostokąty światła. W dole szumiąły auta jak wzbierająca co parę minut rzeka. Leżałam na jej grzbiecie. Czas mnie unosił, płynęłam ponad jego wirami. Pętla czasu. Moja biografia zataczała koło, cofała się o dwadzieścia parę lat. Znowu zaczynam od początku.

Obca przestrzeń na drugim końcu miasta. Osobna. Rzecz zamknięta inaczej – innymi ulicami, korytarzami. Nowy układ dźwięków. Bieg. Skąd, z góry czy z dołu schodów, z której klatki schodowej będzie płynął ten zwarty tupot? A szelest rozmów w trakcie przerwy – jak się rozchodzi po tej nowej szkole, w jakie wnęki wpadnie i gdzie zwinie się w dzwoniące półgłosem spirale? Jak się tam stąpa po schodach? Czy są z kamienia, szerokie, płaskie, lub może wysokie, jak w blokach? O której godzinie, w której klasie trzeba zaciągać story, aby słońce nie raziło w oczy? Czy blaty stołów są powleczone plastikiem? Słońce odbija się od niego

jak od tafli szklanej, prószy, bije w oczy. Lepsze są pulpity ze zwykłego drewna. Miejsca chore w podłogach, skrzypiące deski, zamki do klas, do pokoju nauczycielskiego: jak należy pochylić klucz, aby mechanizm miękko odskoczył? Jak biegnie numeracja sal, od najwyższego piętra – czy od parteru? Kolory ścian, figury świateł; w jaki sposób otwierają się okna? Którędy chodzą po tej szkole przewiewy, gdzie są te miejsca szczególnie niebezpieczne, w których każde wtargnięcie wiatru grozi wybicciem szyby?

Muszę tę wiedzę zdobyć jak najprędzej. Obłaskawianie nowej ziemi kosztuje mnie zawsze sporo wysiłku. Gubię się w miejscach nie znanych, tracę orientację, myślę kierunki i poziomy. Trudniej jest mi chodzić po obcym terenie niż poznawać obcych ludzi. Ludzi rozszyfrowuję prędzej. Mam długą praktykę, co roku kilkadziesiąt nowych twarzy. Świat mebli, ścian, korytarzy jest zbyt stabilny, samoswój, trzeba oswajać jego obcość, a to długi proces.

Jestem pewna, że już pierwszego dnia zgubię się w tym gmachu, gdzieś na przykład między sekretariatem a pokojem nauczycielskim. Będę po dzwonku biegać z dziennikiem pod pachą nie po tym piętrze co trzeba, zaglądać do zajętych już sal i prosić o pomoc wszystkich napotykanym po drodze.

Wyobrażam sobie twarze moich dorosłych uczniów. Sami mężczyźni (kobiety boją się prądu). Ci dojeżdżający wstają o czwartej rano. Z całą pewnością część z nich ma żony i dzieci. Będą przychodzić po mężów do szkoły, czekać na nich w holu, na parterze, z wózkami lub „na ostatnich nogach”. Lotne kontrole, czy mąż rzeczywiście bywa na lekcjach. Na pewno spróbują się ze mną skontaktować, oczywiście w tajemnicy gdzieś przy zakręcie schodów, za otwartymi drzwiami pokoju nauczycielskiego. Rozmawiając, będą się nerwowo rozglądać. Mogę przewidzieć ich prośby: niech pani spojrzy na męża „ludzkim okiem”, spróbuje wczuć się w naszą sytuację, żyjemy w takiej udreće bez mieszkania, on się uczy dosłownie między pieluchami, w nocy wraca do domu, świtem wyjeżdża do pracy.

Po dwóch, trzech tygodniach najprawdopodobniej odkryję, że niektórzy z uczniów źle czytają. Dowiem się, że gdy czytają głośno, nie potrafią uchwycić sensu informacji, bo cały wysiłek wkładają w sam proces łączenia sylab.

Stanę przed tak zwaną „twardą realnością”. Nie zamienię wykładu w dyktowanie – postanawiam, zacznę ich zmuszać do robienia notatek, ślęczenia nad książkami i pisania wypracowań. Nie ulega wątpliwości, że prędzej czy później wzniecą bunt. Ich atak – jedyna szansa obrony – będzie gwałtowny. Aż do krzyku. *Dziady* to są przecież same głupoty. Konrad – ewidentny czub, co to znaczy, że rosną mu skrzydła, co on wygaduje, tego „nie idzie zrozumieć”. Po co im te wszystkie lektury, przecież w pracy to się i tak nie przyda. Aby wyrzeć na mnie większe wrażenie, zaczną opuszczać zajęcia. Wiem także, że nie ustąpię. Na którejś lekcji walnę wreszcie dziennikiem w pulpit i wysyczę swoim belferskim, wielokrotnie już wypróbowanym szeptem przez zaciśnięte zęby: „spokój”, lub „dosyć tego dobrego”. – Wy jesteście fachowcy od telefonów – powiem – i ja się do waszej pracy nie wtrącam. Ja jestem fachowcem od uczenia. Musicie mi zaufać, po prostu nie macie innego wyjścia.

Można wprowadzać drobne ułatwienia, rozważam, przewracając się na drugi bok, na przykład po każdej lekcji dyktować pytania, w trakcie wykładu co parę minut kontrolować notatki, po analizie wiersza dać im czas na zapisanie wniosków. Jednocześnie do upadłego sprawdzać zeszyty, plany wypracowań, wypracowania. Wiem, zajmie mi to cały wolny czas, przez rok nie będzie mowy o własnej prozie, przyjdzie zadowolić się „wierszykami”, jak dawno temu Koń nazywał moją pasję, ale przecież w końcu nauczymy się ze sobą porozumiewać. A wtedy – może być nawet ciekawie, więcej, bardzo ciekawie!

Ilu nowych ludzi, jakie nieprzewidywalne sytuacje, rozmowy! Cały obcy świat otworzy się nagle przede mną. Tylko wejść. Pchnąć drzwi, minąć próg.

Myślałam o tym wszystkim w środku tej bezsennej nocy, dokładnie ze szczegółami.

Będę wysiadać na ostatnim przystanku siódemki, przy pętli tramwajowej – „Ogrody”. Byłam tam tylko kilka razy w życiu.

Nagły niepokój. Ile jest jeszcze takich pętli, takich miejsc żyjących własnym rytmem, które kiedyś staną się moimi miejscami? Gdzie one leżą? Na jakich szlakach, kiedy do nich dotrę? Nieodkryte wyspy. Bogactwo, które czeka na mnie, abym je zawłaszczyła, przejęła.

*Poznań–Bukowina Tatrzańska–Poznań, 1985–1987 r.
Przejrzane i poprawione w 1994 r.*